

**BILL**  
**PROZINI**  
**DIABELSKI**  
**CZAS**

*Tytuł oryginału: IN AN EVIL TIME*

Przekład:

Anna Kielczewska

Marta Kielczewska

C&T

TORUŃ



*Dla Marka Terry'ego.*

*Przyjaciela, współowcy książek  
oraz przewodnika po cyberprzestrzeni.*

*Bo też i nie zna człowiek swego czasu,  
jak ryby, które się łowi w sieć zdradliwą,  
i jak ptaki w sidła schwytane.  
Jak one, tak uwikłani zostaną ludzie w złej chwili,  
gdy spadnie na nich zniecka.*

*Księga Koheleta 9,12*

# *CZEŚĆ I*

\*

## *PIERWSZA POŁOWA MAJA*

### *- RAKUBIAN*

#### *1*

##### *Środa w nocy*

Siedział w swoim czarnym lexusie, zaparkowanym na ciemnej ulicy, czekając z zaschniętymi ustami na człowieka, którego miał zabić.

Tarcza jego zegarka wskazywała za dwadzieścia jedenastą. Siedział tu już godzinę i wciąż ani śladu po Rakubianie. Każda minuta w życiu tego zorganizowanego sukinsyna była zazdrośnie wyliczona - reżim regulujący jego wieczory w tygodniu był tak rygorystyczny, jak rekruta w wojsku... Od dawna więc powinien być już w domu.

Hollis zmienił pozycję, żeby rozluźnić przykurczone mięśnie, odczuwał coraz większe parcie na pęcherz. W mroźnych ciemnościach mógł słyszeć bicie swojego serca, czy raczej wydawało mu się, że mógłby. Równomierne. Przyspieszone, ale równomierne. Jedną ręką spoczywała spokojnie na udzie, drugą trzymał na woodsmanie, leżącym na siedzeniu obok. Nie wilgotniały mu dłonie, nie pocił się. Miał tylko tak wysuszone usta, że czuł, że zaraz nie będzie w stanie przetykać śliny, czuł, jak jego nerwy drgają mu w środku, niczym wijące się glisty.

Po przeciwnej stronie tonącej we mgle ulicy, zza płataniny rosnących przed domem cisów i krzewów, majaczył czernią dom Rakubiana o niewyraźnych konturach. Niewielki dom zbudowany według standardów St. Francis Wood, w stylu hiszpańskim, usytuowany był z dala od ulicy i z dala od sąsiadów. Rząd eukaliptusów biegł wzdłuż zachodniej strony, cienie ich wysmukłych konturów były gęste niczym niezmacony atrament. To była jedna

korzyść. Drugą była mgła. Była na tyle gęsta, że rozmazywała światła i zacierała kształty, dobrze go kryjąc, kiedy szedł w stronę domu i z powrotem, prawie równie skutecznie, jak kryła go teraz za gęstą warstwą wilgoci, która osiadła na przedniej szybie.

Dom i posiadłość były dosyć znajome - razem z Cassie odwiedzał kilkakrotnie Angelę w początkowych miesiącach, kiedy jej małżeństwo było jeszcze do zniesienia i kiedy ukrywała prawdę o Rakubianie. Przez lojalność, nie ze strachu. Ale jednocześnie to miejsce było całkowicie obce. Nigdy do niej nie należało, on nigdy nie pozwolił na to, żeby w jakimkolwiek stopniu było jej. Umeblowanie, wystrój, zagospodarowanie zieleni, wszystko było starannie wybrane i surowo zarządzane przez Rakubiana. Tak samo jak ją sobie wybrał i nadal usiłował kontrolować, mimo że został orzeczone ich rozwód. Rakubian, ten maniak kontroli! Rakubian, ten psychotyczny zwyrodnialec!

Jeszcze raz Hollis zaczął sobie przypominać noc sprzed sześciu tygodni, kiedy Angela miała już dosyć i kiedy cała ohydna prawda wyszła na jaw. Szczegóły, niczym kwas, wypaliły ślady na ścianach jego mózgu. Angela stojąca na ciemnej werandzie z Kennym płaczącym obok niej, ściskającym ją za rękę, pobladłym, skulonym, mówiąca zranionym głosem małej dziewczynki: - Tatusiu, czy możemy wejść do domu, proszę, czy możemy wejść do domu? Jej zawstydzone pokazywanie siniaków, obrzęków, strupów po nacięciach i zadrapaniach. Starych i świeżych śladów. Jej przyznanie się do bycia bitą przez Rakubiana, najczęściej pięścią, ale tamtej nocy zabytkową laską, i opowieść o jego groźbach, że będzie jeszcze gorzej, jeżeli nie będzie go słuchała. Nazywał to dyscypliną - karanie za wyimaginowane flirty czy przekroczenie jednej z wielu surowych zasad zachowania się żony. Wreszcie jej oplakana, przybita boleść w głosie, kiedy prosiła ich o wybaczenie, że tak długo to trwało, mówiąc: - Odeszłabym od niego wcześniej, gdyby skrzywdził Kenny'ego, ale nic mu nie zrobił... Straszyl go, ale nigdy go nie uderzył. Tak naprawdę Kenny dla Davida nie istniał, bo jest synem innego mężczyzny. On ma obsesję na moim punkcie, to mnie chce skrzywdzić.

Hollis trzymał się tych wspomnień, używając ich niby miechu do podtrzymania ognia swojej nienawiści i determinacji. To było to, co miało mu umożliwić wyjście z samochodu, kiedy Rakubian w końcu wróci do domu, dojście do drzwi, naciśnięcie dzwonka i strzelenie mu z bliska prosto w głowę, kiedy je otworzy.

Żadnych słów, żadnego wahania.

Spojrzeć mu prosto w oczy i zastrzelić go.

Odebrać ludzkie życie, nawet tak chore i nic nie warte, jak Davida Rakubiana. On, Jack Hollis, prawy obywatel, mocno wierzący w judeochrześcijańską etykę oraz świętość życia ludzkiego z zimną krwią popułni morderstwo z premedytacją.

Po prostu nie było żadnej innej opcji. Tak często rozmyślał nad różnymi rozwiązaniami, ale żadne nie było dobre. Co do jednego eksperci byli zgodni - nic tak skutecznie jak śmierć nie powstrzyma zaangażowanego prześladowcy. Ani orzeczenie rozwodowe, ani prawo zakazujące prześladowania, ani nakazy sądowe, ani grupy wsparcia, ani całodobowa ochrona, ani zmiana przez ofiary miejsca zamieszkania i nazwiska, ani nawet wynajęcie kilku zbirów, żeby połamali mu kości. A Rakubian był dokładnie kimś takim - zaangażowanym i niebezpiecznym prześladowcą. Mówiły o tym wszystkie listy i telefony, z ledwie skrywanymi i nasilającymi się groźbami. Podobnie jak incydent z zeszłego tygodnia - jego nagłe pojawienie się, kiedy Angela była w Long Drugs, próba zmuszenia jej i Kenny'ego, żeby wsiedli do samochodu, na oczach świadków, pobicie jej, kiedy stawiała opór. Został aresztowany, a kilka godzin później wyszedł za kaucją. Kiedy sędzia w końcu wydał nakaz sądowy, on już w międzyczasie znalazł sposoby, chytre sztuczki prawne, żeby go obejść.

Hollis przywołał kolejne wspomnienie - rozmowę w biurze Rakubiana, tego dnia, kiedy popełnił błąd i poszedł się z nim zobaczyć, niedługo po tym, jak Angela wróciła do domu.

- Nie masz prawa ingerować w moje osobiste sprawy, Hollis. Angela nie jest już twoja, jest moja.

- Cholera, właśnie, że jest moja! Wystąpiła o rozwód, nie chce mieć już z tobą nic wspólnego.

- Nie wierzę w rozwody. Nie wyrażę na to zgody. Angela nigdy nie będzie ode mnie wolna. Dlaczego ani ty, ani ona nie możecie tego zrozumieć? Zawsze będzie moją żoną. I zawsze będę ją kochał, bardziej niż życie.

- Bijesz ją jak psa.

- Ukaralem ją. Żona potrzebuje dyscypliny, żeby nauczyć się wiernie trwać przy mężu.

- Jesteś przeklętym sadystą, Rakubian.

- Ależ nie. Jestem raczej staromodnym realistą. Świat byłby lepszy, gdyby było więcej takich mężczyzn jak ja. Swoje małżeńskie przysięgi i obowiązki traktuję poważnie i wierzę w nie co do joty. Na dobre i na złe, dopóki śmierć nas nie rozłączy.

- Nie pozwolę ci jej więcej skrzywdzić.

- Nie masz w tej kwestii nic do powiedzenia. Co zrobię bądź czego nie zrobię, to sprawa pomiędzy mną a moją żoną.

- Trzymaj się od niej z daleka! Trzymaj się z daleka od mojego wnuka!

- Sugerowałbym raczej, żebyś zapamiętał, co ci powiedziałem i powtórzył Angeli, żeby o tym nie zapominała. Na dobre i na złe, dopóki śmierć nas nie rozłączy.

To, co te słowa niosły ze sobą, ta obietnica, była krystalicznie czysta - jeżeli on jej nie może mieć, to nikt inny jej mieć nie będzie. Dokładnie tak, nie było co do tego wątpliwości - Rakubian miał klasyczny profil niebezpiecznego dla otoczenia prześladowcy. Sztywny niczym kamień, egotyczny, cierpiący na urojenia, socjopatologiczny. Tykająca bomba z opóźnionym zapłonem. Pozwolić mu żyć oznaczało, że prędzej czy później eksplodowałby w najgorszy możliwy do wyobrażenia sposób.

Przed wszystkim odebranie mu życia nie było zabójstwem - było działaniem w obronie własnej, aktem przeżycia. Albo umrze David Rakubian, albo umrze Angela. Bardzo możliwe, że Kenny także. Cassie, Eric, on sam... Każdemu, kogo Rakubian postrzega jako stojącego mu na drodze, grozi niebezpieczeństwo. A dla Hollisa jego rodzina znaczyła więcej niż cokolwiek innego, włączając w to jego własne życie.

Nadal jednak potworność tego czynu wywoływała w nim strach i obrzydzenie. Z jednej strony determinacja, z drugiej obrzydzenie. Zupełnie jakby istniał w dwóch, nakładających się na siebie płaszczyznach, pół na pół w każdej z nich, w schizoidalnym stanie, który skończy się dopiero wtedy, kiedy naciśnie na spust.

Jeżeli naciśnie.

Jeśli uda mu się przez to przejść.

Cały czas sobie powtarzał, że przejdzie, ale jak człowiek z jego wykształceniem i jego kodeksem moralnym może być całkowicie tego pewien, dopóki ten moment nie nadejdzie? Podjąć decyzję o odebraniu komuś życia, być przekonanym, że z moralnego punktu widzenia jest to uzasadnione, wręcz marzyć o uldze, jaką to przyniesie... To konceptualne abstrakcje, niczym w przypadku budynków, które projektował w ich embrionalnym stadium. Konstrukcje umysłu. Szkice, plany nie czynią budynku rzeczywistym. Metal, kamień, drewno, cegła, praca fizyczna tworzą jego faktyczną strukturę. Tutaj obowiązywała ta sama zasada. Śmierć Rakubiana oraz bezpieczeństwo jego rodziny nie staną się rzeczywistością, dopóki nie pociągnie za spust, kula nie przetnie ciała, kości, mózgu.

W jego umyśle pojawił się obraz Rakubiana leżącego na podłodze, na terakocie jego przedpokoju. Osmalona dziura w twarzy, skurcze ciała, szklane i bez wyrazu oczy. Inny obraz - on sam stojący na werandzie, z dymiącą bronią w ręku, świadomość odpowiedzialności rosnąca i zniekształcająca kształty aż do całkowitej niemożności ich rozróżnienia.

Inny obraz - obraz jelenia, trzydzieści pięć lat temu.

On jako dziecko wciśnięty w jasną czerwoną kurtkę, jego uciskające pionierki, ciepło-

zimna strzelba w jego rękach i oczy utkwione nisko w krwawym, wstrząsanym spazmami ciele jelenia i przyglądanie się jego śmierci. Ramię ojca oplatające mocno jego ramiona, spokój lasu i wybrzmiewające echo wystrzału, i ostatnie charknięcie zwierzęcia, jego zamierający oddech. I słowa ojca, który mówił:

- Dobry, czysty strzał w płuco. Jestem z ciebie dumny! Tylko spokojnie, pierwszy strzał zawsze jest najtrudniejszy! Bądź mężczyzną, teraz otrzyj twarz z wymiotów i doprowadź się do porządku! To twój jelen, Jack, ty go zabiłeś i, na Boga, ty go wypatroszysz i przyrządzisz.

Jedenastolatek. Pierwsze zabicie. Jedyne. Potem jeszcze dwa razy poszedł ze swoim starym, zmarł i nie mógł strzelić do innego jedyne jelenia, jaki znalazł się na jego drodze. Wtedy zde gustowany tata powiedział: - Trzęsiesz się ze strachu po tym, jak już straciłeś dziewictwo. Wstyd mi za ciebie, chłopcze! - Tata był czerwony na twarzy i wściekły również w następnym roku, kiedy dowiedział się, że jego syn opuścił obozowisko z nienaładowaną strzelbą. - To ostatni raz, jak idziesz ze mną, *ostatni* parszywy raz. Nie masz jaj potrzebnych do męskich sportów.

Pudło, tato. Wcale nie chodziło o odwagę. Starszy mężczyzna, lubiący otwartą przestrzeń, cały był kanciasty, szorstki, pozbawiony wyobraźni. Wziął wrażliwość i empatię za tchórzostwo. Jego syn miał jaja, o tak - każdy mężczyzna wie, czy je ma, czy nie, dorastając, udowadnia to sobie na tysiąc różnych sposobów. A odmowa Jacka Hollisa zastrzelenia kolejnego jelenia czy złowienia ryby w Tomales Bay, czy grania w sporty grupowe, czy jakiegokolwiek spośród pozostałych rzeczy, które Bud Hollis uważał za męskie, nie miała nic wspólnego z tym, jak był ukształtowany. Tak samo jak zabicie czy niezabicie znieawidzonego wroga nie było testem jego odwagi. Jego człowieczeństwa, owszem. Jego esencji, także. Ale nie jego męskości.

„Chodź tu, Rakubian” - pomyślał. „Niech cię diabli, chodź tu!”

Z minuty na minutę był coraz bardziej zdenerwowany i nic na to nie mógł poradzić. Z reguły był cierpliwym mężczyzną, ale po godzinie siedzenia w zimnym samochodzie zaczynały mu puszczać nerwy. Im dłużej trwało czekanie, tym trudniejsze będzie użycie 22-ki. Nie mógł temu zaprzeczyć. Mógłby to odwołać, pojechać do domu, wrócić następnego dnia wieczorem, ale byłoby to dwa razy trudniejsze, denerwowałby się jeszcze bardziej. Wytrzyma jeszcze kolejne przynajmniej dwadzieścia albo trzydzieści minut. Tyle może jeszcze wytrzymać.

Potem zaczął się zastanawiać, że może powinien był się za to zabrać trochę inaczej. Podejść już teraz do domu, schować się w cieniu obok garażu, gdzie mógłby opróżnić



pęcherz. Kiedy Rakubian nadjedzie, wślizgnąć się za samochodem do garażu i tam użyć broni. Ściany garażu były grube i wygłuszą dźwięk strzału, nawet przy otwartej bramie. Drugi ważny czynnik - w garażu będzie wystarczająco ciemno, żeby nikt nie mógł nic zobaczyć od ulicy. Na werandzie byłby wyraźnie widoczny, bo Rakubian prawie na pewno włączy światło przed domem, zanim otworzy drzwi...

Nie. To zły pomysł. A co, gdyby Rakubian miał się pojawić dopiero za kolejną godzinę? Przy tej nasilającej się mgle, noc była przejmująco zimna. Czekając na zewnątrz, nawet otulony w płaszcz, zdrętwiałyby i ścierpłyby w szybkim tempie. Nie miał swoich rękawiczek i nie mógłby oddać strzału ze swojej 22-ki zdrętwiałymi palcami. Poza tym nie miał żadnej gwarancji, że będzie mógł wślizgnąć się do garażu niezauważony przez Rakubiana, który mógłby przecież jakoś zareagować. Ani że uda mu się podejść na tyle blisko czy widzieć na tyle wyraźnie, by zabić go jednym strzałem.

Plan wyjściowy był wciąż najlepszy. Czekać, tu gdzie jest. Odczekać pięć minut, jak Rakubian wróci do domu, potem podejść do drzwi, zadzwonić i zastrzelić go, jak tylko otworzy te drzwi. Szybko upewnić się, że nie żyje, i wrócić, idąc, nie biegnąc, do samochodu i odjechać.

Były spore szanse, że nikt nie usłyszy strzału. Wystrzał z woodsmana, kaliber 22, jest niewiele głośniejszy niż dźwięk korka przy otwieraniu butelki szampana. Jeśli dopisze mu szczęście, nikt go nie zobaczy, nie zauważy ani nie zidentyfikuje marki czy koloru samochodu. Będzie oczywiście podejrzany z powodu tego głupiego wybuchu w biurze u Rakubiana, ale Gabe Mannix da mu alibi na dzisiejszą noc, jeżeli będzie taka konieczność - będzie tylko musiał o to poprosić. Dwie jeszcze rzeczy działały na jego korzyść - mężczyzna pokroju Rakubiana, bezwzględny adwokat, musi mieć wielu wrogów. Poza tym woodsman należał do ojca - stary pistolet, którego nigdy nie chciało mu się zarejestrować.

Mógłby i z sobą skończyć, przynajmniej w tym życiu. Jeśli tego nie zrobi, no cóż, dużo czasu już nie zostało. Nawet jeżeli dobremu obrońcy udałoby się wskazać na łagodzące okoliczności i oskarżenie o zabójstwo zmienić na nieumyślne spowodowanie śmierci, to nadal ma tego cholernego raka, z którym musi walczyć. Choć może i w tym miejscu będzie miał szczęście i odwróci los... Albo i nie. Nie ma sensu teraz się tym przejmować. *Jedyna* ważna rzecz w tej chwili to chronić własną rodzinę.

Hollis przejechał dłonią po twarzy, poczuł i usłyszał chrzęst włosków pod dłonią. Kiepsko się dzisiaj rano ogolił. Zbyt spięty, nie miał pewnej ręki. Ominął kilka miejsc, zaciął się trzy czy cztery razy. Cassie zauważyła zarówno to, że jest źle ogolony, jak i jego podenerwowanie. Skomentowała to. Po dwudziestu sześciu latach małżeństwa byli wrażliwi

na zmienne nastroje drugiej strony. Patrzył jej w twarz, kiedy mówił, że późno wróci, bo ma ważne spotkanie z potencjalnym klientem. Potem ten jej popołudniowy telefon do biura, pytania, niepokój w jej głosie. Jeżeli szybko nie uciałby tej rozmowy, mogłaby zacząć próbować otwarcie mówić o swoich niepokojach. Nienawidził oszukiwania jej, ale to było lepsze niż otwarta konfrontacja. Zresztą cokolwiek by powiedziała, nie zmieniłoby to jego decyzji.

Na skrzyżowaniu dwie przecznice w dół ulicy pokazały się światła, dawały rozproszone żółto-białe światło we mgle, w miarę jak samochód skręcał w górę ulicy, jadąc prosto w jego kierunku. Opuścił się niżej, poniżej kierownicy, tak samo, jak tyle razy wcześniej, kiedy widział zbliżające się światła, jedną rękę zaciskając wokół twardego gumowego uchwyty 22-ki. Światła zbliżały się powoli, na przedniej zaparowanej szybie dając prostokąt oślepiającego światła. Samochód przejechał obok, słychać było szum opon na jezdni. To nie był Rakubian. Auto pojechało dalej i znikło za następnym zakrętem.

Jego serce waliło jak bęben. Chciał się zrelaksować, poruszając mięśniami ramienia, kiedy z powrotem usiadł prosto. Boczne okno było uchylone na tyle, że mógł patrzeć ponad szybą. Odkręcił je do samego końca żeby zetrzeć ślady skroplonej pary, zaczerpnął głębokie hausty zimnego nocnego powietrza. Jego skóra była lepka i drżała od wilgotnego, przesyconego zapachem soli wiatru. Z powrotem zakręcił do połowy okno i przybliżył do oczu zegarek.

Była jedenasta pięć.

A co, jeżeli Rakubian będzie całą noc poza domem? Upłynęło sześć tygodni, od kiedy jest sam. Jakaś inna kobieta? Nie. To niemożliwe, zważywszy na to, co czuje do Angeli. Jego apetyty, seksualny i inne, zbyt obsesyjnie koncentrowały się na niej.

Długie spotkanie biznesowe albo kolacja? Jakaś funkcja społeczna? Gdzie on się, do diabła, podziewał?

Jackowi wydawało się, że jego ślinianki przestały pracować, przełykanie śliny zaczęło sprawiać mu ból. Nie mógł swobodnie oddychać, czuł narastające parcie na pęcherz, a teraz w dodatku bolał go dół pleców i biodra. Jeden z objawów tego, że rak prostaty się rozwija. Dotkliwy ból w plecach, w biodrach albo w miednicy. Poza tym to objaw stresu, uspokajał siebie. Nie trzeba od razu zaczynać sobie wyobrażać Bóg wie czego.

Pojawiły się nowe światła, rozmazane przez mgłę i wilgotną szybę w jeden długi zniekształcony wachlarz, zbliżający się od strony West Portal. Światła omiotły mały ogrodzony park na końcu ulicy St. Francis, a kiedy skręciły w ulicę Monterey i zaczęły zbliżać się w jego kierunku, znów zjechał w dół siedzenia, tak że wzrok miał dokładnie nad

ramą okna. Znow przednia szyba zamieniła się w oślepiający prostokąt - a w chwilę później światła skrzyły ostro w stronę podjazdu.

Rakubian.

Głośno, nierówno oddychał, schwycił swojego woodsmana i trzymał go na kolanach. Lewą ręką starł parę z bocznej szyby. We mgle paliły się czerwone światła. Automatyczne drzwi od garażu zaczęły się podnosić, odsłaniając powoli fragmenty wnętrza. Słyszał chrapliwy dźwięk jałowego biegu samochodu - srebrnego bmw, mającego niecały rok, znaku rozpoznawczego sukcesu gnoja. Patrzył, jak samochód wjeżdża do środka, drzwi od strony kierowcy otwierają się, podczas gdy drzwi od garażu zaczynają się zamykać. Rzucił jeszcze szybkie spojrzenie na Rakubiana w ciemnym płaszczu i wtedy drzwi całkiem się zamknęły, i znow patrzył w ciemność.

Nadal siedział, wpatrując się w dom. Czuł się... raczej w porządku. Było mu trochę niedobrze, wyraźniej czuł to mrowienie pod skórą, ale poza tym był spokojny. Ręce? Dostyc spokojne, wnętrza dłoni nadal suche.

Zapaliło się światło za jednym z zasłoniętych frontowych okien.

No dobra, nie ma co dłużej czekać.

Wysiąść z samochodu, podejść tam.

Zadzwoń.

Podnieść broń i kiedy Rakubian otworzy drzwi, zastrzelić go. Nie wahać się, nie myśleć, tylko go zastrzelić.

Uwolnić świat od potwora.

Dla Angeli. Kenny'ego. Cassie. Erica. Dla samego siebie.

Nadal siedział w samochodzie.

Zrób to. Co się z tobą dzieje? Zrób to!

Nie mógł się zmusić do ruszenia się z miejsca.

„Trzęsiesz się ze strachu po tym, jak już straciłeś dziewictwo. Wstyd mi za ciebie, chłopcze!”

Teraz oblał go pot. Zaczął się trząść, skrócił mu się oddech i poczuł, że popuścił krople moczu, niczym przerażony stary człowiek. Sklął samego siebie, gorzko i ostro. Kiedy po minucie, dwóch reakcja ta się skończyła, zostało po niej poczucie słabości i choroby. Wiedział, że już może się ruszyć. Nawet byłby w stanie przejść na drugą stronę ulicy, aż do drzwi Rakubiana. Ale po tym wszystkim... Nie.

Nie poradziłby sobie po tym wszystkim.

Nie tej nocy. Nie w ten sposób.

Ale to nie był koniec. *On* nie był skończony. Coś trzeba było zrobić z Rakubianem i nadal to on musiał się tym zająć. Jedyne, co się zmieniło, to czas, miejsce i być może sposób. Jakiegokolwiek kroki miał w końcu podjąć, żeby chronić rodzinę, nie będą one tak proste i tak tchórzliwe jak wciśnięcie dzwonka do drzwi i naciśnięcie na spust.

## 2

### *Czwartkowy świt*

Kiedy wrócił do Los Alegres, pomimo późnej pory większość świateł w dużym piętrowym domu była zapalona. Gdy to zobaczył, wiedział, że coś jest nie tak.

Spiął się. Skręcił gwałtownie na podjazd i tam zostawił samochód, zamiast parkować go w garażu. Fritz - doberman, zaczął szczeleć, jak tylko pognał schodami na wejściową werandę. Drzwi się otworzyły, zanim do nich dobiegł, a w nich stała Cassie. W wyrazie jej twarzy, w oczach, w głosie było wypisane, że coś jest nie w porządku, no i w fakcie, że nadal była ubrana.

- Mój Boże, gdzieś ty się podziewał? Szalałam z niepokoju. Bez przerwy dzwoniłam na komórkę, ale cały czas miałam sygnał, że jesteś niedostępny.

Wyłączył ją, jak jakiś cholerny kretyn.

- W tym momencie to już nieważne. Co się stało? Dlaczego wszystkie światła są zapalone?

- Wejdz do środka.

- To Angela? Kenny?

- Nic im nie jest. - Pociągnęła go za ramię. - Nie możemy rozmawiać na zewnątrz.

Przeszedł obok żony i wkroczył do pustego salonu. W jej oddechu wyczuwalny był alkohol, na stoliku obok jej krzesła stała szklanka do połowy wypełniona szkocką whisky, a przecież od jakiegoś czasu nie piła żadnego alkoholu. Pies nadal ujadł, musiała go zamknąć w kuchni, z tyłu domu. Odwrócił się w jej stronę.

- Powiedz mi, co się stało.

- On tu znowu był. Rakubian tu był.

- Tutaj? W domu?

- Nie, w mieście. W Parku McLearn. Angela zabrała Kenny'ego do parku na chwilę na spacer przed kolacją. Próbowałam ją przekonać, żeby nie wychodziła z domu, ale jej wydawało się, że z Fritzem będą bezpieczni. Tam się pokazał. Musiał szpiegować ją gdzieś tu

w okolicy i widzieć, jak wychodziła z domu.

- Niech to szlag! A co się stało z sąsiedzką kontrolą?

- Nie wiem. Sąsiedzi jeszcze nie powracali do domów, nie zwrócili uwagi...

- Nie próbował znów zmusić jej, żeby wsiadła z nim do samochodu?

- Nie. Z powodu psa trzymał się w pewnej odległości. Angela mówiła, że tym razem był spokojny, nie podnosił głosu.

- Co jej powiedział?

- Jack, on od razu przeszedł do rzeczy. Powiedział, że ją zabije, jeżeli do niego nie wróci. Ja, Kenny'ego i każdego, kto spróbuje go powstrzymać, a potem siebie samego.

Hollis zacisnął zęby, na tyle silnie, żeby poczuć przeszywający ból w szczęcie.

- Czy ty albo Angela dzwoniłyście na policję?

- Nie. Chciałam to zrobić - to oczywiście pogwałcenie nakazu sądowego, można by go za to znów aresztować. Ale Angela powiedziała, że to go tylko sprowokuje, że będzie jeszcze gorzej.

- Prawdopodobnie ma rację.

- Co może być gorszego? - zapytała Cassie. - Zachowuje się całkowicie nieracjonalnie. Nie łamałby otwarcie nakazu sądowego ani nie posuwałby się do bezpośrednich gróźb, gdyby myślał sensownie...

- Wiem o tym.

- Mój Boże, czuję się kompletnie bezradna!

- Ja też - skłamał. Podszedł do barku, nalał sobie podwójnego drinka bushmills, którego wypił jednym długim haustem. Alkohol spłynął mu do gardła niczym ogień, ale mogłaby to równie dobrze być woda, jeżeli chodziło o efekt.

Cassie podeszła do niego od tyłu.

- To jeszcze nie wszystko - powiedziała. - Dotarł za nimi aż tutaj, zaparkował w dole ulicy na prawie godzinę. Potem odjechał i myślałyśmy, że zrezygnował, ale po chwili był z powrotem. Podjeżdżał kilkakrotnie pod dom, parkował, wysiadał i znów odjeżdżał. I tak kilka razy.

„Czekałem na niego tam w mieście, podczas gdy on w tym czasie był tutaj i grał w te swoje chore gry. Powinienem być się domyślić, gdzie był, wystarczyło zadzwonić, żeby się o tym przekonać. Głupiek ze mnie!”

- Jack?

- ...Tak. Co było dalej?

- Cały czas do nas wydzwaniał - powiedziała Cassie. - Sześć albo siedem razy. Wiem,

że po ostatniej nocy zdecydowaliśmy się z nim nie rozmawiać, ale byłam tak zdenerwowana, że za pierwszym razem nie wytrzymałam, podniosłam słuchawkę i zaczęłam na niego krzyżeć. Nawet nie pamiętam, co mu powiedziałam. Poradził mi, że bym się uspokoiła. Możesz w to uwierzyć?

- Co jeszcze mówił?

- To samo co zawsze. Znów te wszystkie lekko zawołowane groźby pod moim adresem. Następnym telefonów już nie odbierałam. Włączyłam automatyczną sekretarkę.

- On wie, że nagrywamy jego telefony. Przynajmniej jest na tyle myślący, że nie chce, byśmy mieli nagrane, jak grozi nam śmiercią.

- To nie jest żadne pocieszenie.

- Nie to miałem na myśli. Gdzie jest Angela?

- Była mocno zdenerwowana po incydencie w parku. Położyłam ją z Kennym w jej pokoju. Zaglądałam do nich, obydwójce śpią.

- To dobrze.

- Ona nie jest na tyle silna, żeby znosić to szaleństwo bez końca. Nikt z nas nie jest.

Co zrobimy?

„Ciągłe kręcenie się w kółko”. Pokręcił głową.

- W tej chwili nie jestem w stanie myśleć. Ten pies... Uspokój go, proszę, zanim obudzi pół sąsiedztwa.

Cassie skinęła głową i wyszła z pokoju. Dużo lepiej niż on radziła sobie z dobermanem. Fritz był dobrze wytresowany, ale to jej ufał bardziej niż komukolwiek innemu. Miała wprawę, dzięki swojej praktyce weterynaryjnej. Zwierzęta instynktownie jej słuchały. Powoli podszedł do barku nalać sobie kolejnego drinka - czuł, jak jego żołądek kurczy się, a alkohol uderza mu do głowy. Z tyłu domu szczekanie ucichło. Cassie dosyć szybko wróciła.

- Gdzie byłeś dzisiaj wieczorem? - Brzmiało jej pierwsze pytanie.

- Miałem spotkanie biznesowe. Wspominałem ci.

- Nie okłamuj mnie.

- Dlaczego myślisz, że kłamię?

- A dlaczego twoja komórka była wyłączona?

- Nie wiedziałem, że była. Musiałem ją niechcący wyłączyć.

- Bzdura - odpowiedziała - coś kombinujesz.

- Nie.

- Coś radykalnego. Czuję to.

- Nie.

- Lepiej mi powiedz. Mam prawo wiedzieć.

- Cass, na miłość boską!

- Cokolwiek któreś z nas zrobi, musi to być legalne. Musi mieć sens.

- Mieć sens - powtórzył za nią gorzko. - Zdobyć nakaz sądowy, kupić psa obronnego, zapisać się na kurs samoobrony, powiadomić sąsiadów, notować, kiedy krąży wokół domu, przechowywać wszystkie listy, nagrywać rozmowy, mieć cały czas włączoną komórkę, przyłączyć się do grupy wsparcia. Czy cokolwiek spośród tych rzeczy ma sens? To go nie powstrzymało i nie powstrzyma.

- Angela znów zaczęła mówić o wyprowadzeniu się od nas - odpowiedziała. - O zmianie nazwiska, rozpoczęciu nowego życia. Tym razem to poważna sprawa.

- A czy *to* ma sens? Wyśledzi ją, gdziekolwiek by nie wyjechała, nawet jeśli miałby jej szukać do końca swojego przeklętego życia...

- To jedyny wybór, jaki mi pozostał, tato.

Angela zeszła z górnego piętra i weszła do salonu tak cicho, że nie zauważyli jej, dopóki się nie odezwała.

Szlafrok, kapcie, krótkie włosy, proste i nieuczesane, nieumalowana i blada twarz. Ruchy powolne, apatyczne. Dwadzieścia pięć lat, śliczna, zawsze była taka śliczna, smukła, blond włosy w kolorze pszenicy - wierna kopia Cassie w tym samym wieku. Teraz wyglądała mizernie, starzej niż jej matka, która miała czterdzieści sześć lat - ostrzejsze linie wokół oczu i ust, same oczy zaś, kiedyś tak pełne życia, były zgaszone i szkliste od ciągłego napięcia. Ślady po Rakubianie, głębsze i trwalsze niż rany i siniaki, które nosiła niczym piętno wstydu, wtedy, kiedy po raz pierwszy zjawiła się w domu.

Angela. Jego mała córeczka. Idealna córka - mawiał do wszystkich, kiedy dorastała, z dumą i całą powagą. Takie szczęśliwe dziecko, zawsze roześmiane, bez przerwy zadające pytania, wszystkiego ciekawe. Nigdy się nie buntowała ani nie sprawiała problemów, w przeciwieństwie do Erica, kiedy był nastolatkiem. Nigdy nie było żadnych problemów, aż do tego lata po maturze, kiedy zaczęła się spotykać z Ryanem Pierce'em i kiedy straciła głowę, a potem dziewictwo i zaszła w ciążę z Kennym. Nawet nie to było najgorsze - ten chłopak chętnie ją poślubił i nawet jeżeli nie był w stanie z powodu swojej niedojrzałości utrzymać stałej pracy i dbać o swą rodzinę, a potem, w rok po rozwodzie, był ojcem od siedmiu boleści, to przynajmniej nie był porywczy ani szalony. Jej sytuacja byłaby teraz dobra, gdyby po rozstaniu z Pierce'em wróciła do szkoły, pozwoliła Cassie i jemu wychowywać syna, aż zdobyłaby dyplom i uzyskała uprawnienia nauczycielskie. Ale nie. Tak bardzo usiłowała być niezależna, upierała się, żeby płacić za siebie - w ciągu dnia pracowała, wieczorami uczyła

się... Ta cholerna praca sekretarki w San Francisco, Rakubian i ten jego powierzchowny czar i troskliwa opieka, szybkie i impulsywne ponowne wyjście za męża. Jeden poważny błąd, który naraził jej życie i życie jej syna na śmiertelne niebezpieczeństwo...

- Tato, nie patrz na mnie w ten sposób!

Zdał sobie sprawę, że musiał się w nią wpatrywać. Podeszedł do niej, przytulił, zmierzwił włosy i zapytał: - Pies cię obudził, kochanie?

- Nie. Nie spałam. Słyszałam, jak przyjechałeś. - Wyswobodziła się z jego objęć i blado się do niego uśmiechnęła. - Ty też wyglądasz, jakbyś miał za sobą raczej ciężki wieczór.

- Nie zajmujmy się mną. Myśl o sobie.

- Właśnie o tym myślałam. O Kennym i o mnie. To nie jest nagła decyzja. Wczoraj ją podjęłam. Nie możemy tak dalej żyć, w ciągłym strachu, nigdy nie wiedząc, co David wymyśli. Muszę zrobić to, co jest dla nas obydwójga najlepsze.

- Ucieczka to nie jest żadne rozwiązanie.

- Być może. W każdym razie jest to jakaś nadzieja. Jeżeli tutaj zostaniemy... David naprawdę jest w stanie zrobić to, o czym dzisiaj mówił. On nas zabije i nikt go nie powstrzyma.

„Ja go mogę powstrzymać i ja go powstrzymam” - pomyślał Hollis.

- Odnajdzie cię, nieważne gdzie pojedziesz - powiedziała Cassie.

- Dzięki pomocy NOVA\* i Przybytku Ofiar Prześladowania nie odnajdzie nas. Oni mogą nam pomóc zmienić tożsamość, miejsce zamieszkania, znaleźć pracę dla mnie. Nie odnajdzie nas. Muszę w to wierzyć.

- Ale nigdy nie możesz być tego pewna. Wiesz, że on się nigdy nie podda, że ma mnóstwo pieniędzy, nieograniczone możliwości...

- Ale przynajmniej znów będziemy mieli w miarę normalne życie.

- Mówisz tak teraz - odrzekł Hollis - ale ono nie będzie normalne ani nie będzie przypominało normalności. Będziesz się za siebie oglądała na ulicy, wzdrygała się za każdym razem, jak zadzwoni telefon albo dzwonek do drzwi, albo kiedy usłyszysz podejrzany dźwięk. Nigdy nie pozbędziesz się strachu.

- Ten rodzaj strachu jest gorszy. Nie mogę oddychać, czuję, jakbym się dusiła.

Podeszła do kanapy, opadła na nią ze złączonymi razem kolanami, z rękami

---

\* NOVA - National Organization for Victim Assistance - Krajowa Organizacja Pomocy Ofiarom. (Wszystkie przypisy od tłumacza).



złożonymi wysoko na podółku. Siedząc w ten sposób, wyglądała tak młodo i tak staro zarazem. Czuł, jakby sam się dławił. Od miłości i wściekłości, i od niepokoju.

- Nigdy więcej cię nie zobaczymy - odezwała się Cassie. - Obojga was. Nie zniosłabym tego.

- Będziemy się widywać. Znajdziemy sposób, żeby utrzymać kontakt, żeby spotkać się, kiedy upewnimy się, że to bezpieczne.

- Nigdy nie będzie dość bezpieczne. I nie będziesz miała odwagi zadzwonić czy napisać...

- Zapominasz o mailach. W grupach wsparcia mają dostęp do zabezpieczonych stron internetowych do przesyłania wiadomości. *Proszę*, nie starajcie się wciąż przekonywać mnie do zmiany zdania, bo przez to stanie się to dla nas wszystkich jeszcze trudniejsze.

Cassie spojrzała na Hollisa, potem podeszła i usiadła obok niej.

- Dokąd pojedziesz? Nie możesz tak po prostu spakować manatków do samochodu i ruszyć przed siebie bez określonego celu.

- Mam pewien pomysł.

- Ciotka Celia?

- Mamo, już nieraz była o tym mowa. Nie jesteśmy z ciotką Celią w dobrych stosunkach, wiesz, że ona mnie nie akceptuje. Nie ma znaczenia, że jest twoją siostrą; czasami jest niezłą suką, a wujek Frank pozwala jej sobą pomiatać. Poza tym David wie o nich, wie, że mieszkają w Cedar Rapids. To będzie pierwsze miejsce, do którego by pojechał nas szukać.

- Tylko na parę dni...

- Wyłącznie jako ostatnia deska ratunku.

- Więc gdzie? W którą stronę?

- No cóż... Do Bostonu.

- Na miłość boską, czemu Boston?!

Angela zawahała się, zanim odpowiedziała: - To najdalej od Los Alegres, jak się da. I to duże miasto, łatwo się w nim zgubić do momentu, kiedy będę mogła znaleźć inne, jeszcze bezpieczniejsze miejsce.

- Coś przed nami ukrywasz - wtrącił Hollis.

Zaczęła zaprzeczać, znów się zawahała, potem westchnęła i powiedziała: - To pomysł Erica.

- Erica?

- Zna kogoś na uniwerku, studenta, którego rodzice mają rzadko używane mieszkanie

w pobliżu centrum Bostonu. Stara się nam je załatwić, żebyśmy mogła się tam zatrzymać z Kennym na jakieś dwa, trzy tygodnie.

- Myślałem, że ustaliliśmy, że w miarę możliwości będziemy twojego brata trzymać od tego z daleka.

- Nic nie mogłam na to poradzić, tato. To nie ja się do niego zwróciłam. Zadzwoił wczoraj, kiedy byłam sama w domu. Staralam się zbagatelizować sprawę, ale był bardzo dociekliwy. Nie mogłabym go oszukać, nawet jeśli bym chciała. Za dobrze mnie zna.

- I zaproponował Boston?

- Tak.

- Jak bardzo był zdenerwowany?

- Wcale nie był, nie tak, jak myślisz. On naprawdę nie jest tak w gorącej wodzie kąpany, jak był, zanim poszedł na studia.

Hollis chciałby w to wierzyć. Eric odziedziczył po dziadku jego milczące usposobienie i miał skłonność do złej oceny sytuacji. Wybitne dziecko, IQ najwyższe w rodzinie, mnóstwo zalet, ale czasem trudno go było zrozumieć. Nigdy nie byli ze sobą tak blisko, jakby Hollis pragnął, niezależnie od tego, jak bardzo zależało mu na nawiązaniu bliższego kontaktu. Ta buntownicza nutka Erica nieraz wpędziła go w kłopoty - dwa razy został zawieszony w prawach ucznia w liceum za bijatykę, siedział w areszcie za palenie marihuany w miejscu publicznym. I niezliczoną ilość razy naruszył rodzinne zasady. Mimo to miał dobre stopnie, utrzymał dość wysoką średnią i w swoim SAT\* osiągnął na tyle dobre wyniki, że dostał się na Cal Poly\*\*, dawną Alma Mater Hollisa. A teraz, na przedostatnim roku studiów, specjalizując się w inżynierii, znajdował się w czołówce grupy. Hollis był pewien, że w głębi serca to dobre dziecko, które z czasem będzie porządnym mężczyzną. Chociaż ta jego ciemna strona wciąż go w nim niepokoiła.

- Kiedy ma ci dać znać w związku z mieszkaniem?

- Myślał, że może będzie coś wiedział jeszcze dzisiaj, ale do tej pory się nie odezwał. Jeśli nie zadzwoni do jutra w południe, skontaktuję się z nim...

- Nie, ja to zrobię. Chcę z nim porozmawiać.

- Tato, nie będziesz chyba starał się...

- Nie, nie martw się. - Mięśnie twarzy miał stężałe od napięcia. Czuł, że zacznie mu drgać tik pod prawym okiem, starał się go powstrzymać, utrzymać neutralny wyraz twarzy. -

---

\* Scholastic Aptitude Test - egzamin, którego wyniki decydują o przyjęciu na studia.

\*\* California Polytechnic State University-Uniwersytet Stanowy Politechniki Kalifornijskiej.

Nie będę się z nim kłócił ani mu prawil kazań.

- Nie rób tego, proszę.

- Jeśli wypali mieszkanie w Bostonie - dociekała Cassie - to kiedy wyjedziesz?

- Jak najszybciej. W najbliższy weekend.

- Tak szybko...? W porządku, nic nie mów, nie będę się starała wybić ci tego z głowy.

Ale na moment założmy, że tamto mieszkanie nie wypali. I co?

- Tego nie wiem. Jest jeszcze coś innego, co mogłabym wówczas zrobić. Jednak bez względu na wszystko, wyjedziemy na początku przyszłego tygodnia, zanim nie będzie za późno.

Jeszcze chwilę rozmawiały, ale Hollis już nie słuchał. Podeszedł do kanapy, schylił się, żeby pocałować córkę w czubek głowy.

- Pójdę sprawdzić, co u Kenny'ego - powiedział.

Pokój Angeli pozostał prawie niezmieniony od czasu, kiedy tu dorastała - wypchane zwierzęta na półkach, plakaty z gwiazdami kina i muzyki na ścianach, porządnie ustawiona jej kolekcja książek Nancy Drew i Judy Bolton. Sentyment zarówno Cassie, jak i Angeli. Kenny spał na plecach na kozetce obok jej starego łóżka, z jedną ręką ściśniętą w piąstkę przy policzku, z drugą zwisającą z łóżka, ze skopaną, jak zazwyczaj, pościelą. Nocna lampka i blade światło z korytarza sprawiły, że wydawało się, że jego twarz promieniała. Słodka buzia, jak jego mamy. Był podobny do Angeli, mimo że odziedziczył po Pierce'ie ciemne włosy i karnację.

Hollis wszedł na palcach do środka, podniósł część skłębionej pościeli i przykrył chłopca do pasa. Delikatnie musnął ustami jego gładkie czoło, wyprostował się i stał, patrząc na wnuka w przyćmionym świetle.

„Nic się nie przytrafi ani tobie, ani twojej mamie - obiecał mu w myślach. - Przysięgam. Przysięgam na moje życie”.

W ciemności sypialni znów żadne z nich nie mogło spać. Leżeli obok siebie, nie dotykając się. Cassie poprosiła, żeby ją przytulił i przez jakiś czas to robił, ale bał się, że w ramach pocieszenia spróbuje czegoś więcej. Wiedział, że nie będzie mógł temu sprostać. Seksualna dysfunkcja, niemożność utrzymania erekcji - to były kolejne symptomy postępującego raka prostaty. Udawał, że jego ostatnia niemoc była związana ze stresem, bo nie chciał jeszcze, żeby znała prawdę. Wcześniejsza diagnoza, nadzieja, że rak rozwija się na tyle wolno, by móc rozwlec w czasie kontrolę, pod hasłem „poczekamy, zobaczymy”, nie miała teraz znaczenia. Symptomy i ostatnie badania nie pozostawiały wątpliwości. Kiedy znów się spotkają, Stan

Otaki będzie nalegał, żeby zaczął intensywne leczenie - operację, radioterapię. To z tego powodu odwołał dwa spotkania pod rząd. Ze względu na obecny stan spraw między Angelą a Rakubianem nie mógłby znieść wykańczających sesji napromieniania czy nalegania Cassie, by zgodził się na operację. Kiedy Rakubian nie będzie już im zagrażał, spotka się z lekarzem, powie o chorobie żonie, w pełni skoncentruje się na walce z rakiem.

- ...Gdzie byłeś dziś wieczorem?

- Co takiego?

- Mówiłam, że wciąż nie usłyszałam, gdzie byłeś dziś wieczorem.

- Zostaw to, Cass.

- Nie mogę. Ani mi się śni. Gdzie byłeś?

Wiatr huczał w japońskim wiąznię za oknem. Słuchał, koncentrując się na dźwiękach. Znowu odczuwał parcie na mocz, a nie chciał wstawać i iść do łazienki zaraz po tym, jak stamtąd wrócił.

- Odpowiedz, Jack.

- Pojechałem do miasta - powiedział.

- Wiedziałam! Ruszyłeś w pościg za Rakubianem.

- Wyciągasz pochopne wnioski.

- Czyżby? Co zamierzałeś zrobić?

- Nie było go w domu, był tutaj, terroryzując Angelę.

- To nie jest odpowiedź. Co zamierzałeś zrobić?

Zmienił pozycję, żeby zmniejszyć ból w pęcherzu.

- Porozmawiaj ze mną - dodała.

Nie mógł ją w to wtajemniczać. Nie zrozumiałaby, ale przede wszystkim nie może z niej uczynić współwinnej zbrodni.

- Chciałem z nim znowu pogadać, to wszystko. Błagać go. Wiedziałem, że to nic nie da, ale czułem, że muszę jeszcze raz spróbować.

- Jeśli to tylko tyle, czemu mi nie powiedziałeś?

- Z powodu dumy, jak sądzę. I nie chciałem cię martwić.

Krótką ciszą. - To nie wszystko - orzekła. - Miałaś coś innego w planach.

- Co na przykład? Co masz na myśli?

- Cały dzień byłam śmiertelnie przerażona, że zrobisz coś szalonego.

- Nie jestem wariatem - odparł.

- W tym momencie wszyscy jesteśmy po trochu szaleni. Ale nie jesteśmy na tyle zdesperowani, żeby uciec się do morderstwa.

Zdawało się, że słowo to zawisło w ciężkiej czerni. Niemalże je słyszał niby echo ponad szumem wiatru.

- To o tym myślisz, prawda? - zapytała Cassie. - Nie obchodzi mnie Rakubian, pogardzam nim tak samo jak ty - to o ciebie się martwię. Nie zniósłabym, gdybym miała stracić i ciebie.

- Nie stracisz mnie.

- Jak inaczej nazwałbyś poświęcenie samego siebie dla Angeli?

- Daj spokój...

- Nie, to ty daj spokój. To by było właśnie to - poświęcenie. Nawet jeśli uszłoby ci to na sucho, zniszczyłyby cię.

- Nie, jeśli zapewniłoby bezpieczeństwo jej i Kenny'emu.

- Niezależnie od wszystkiego. Nie mógłbyś żyć z czymś takim na sumieniu. Znam cię, Jacku Hollisie.

- Nikt nie zna do końca drugiego człowieka - odpowiedział. Ale miała rację i nie miało sensu zaprzeczać. Sumienie wykończyłoby go. Choć był daleki od tego, by ten fakt miał go powstrzymać.

Na zewnątrz, w oddali coś huknęło, na tyle głośno, że odgłos do nich dotarł. Normalny dźwięk, huk w nocy, ale oboje przez chwilę nasłuchiwali, leżąc cicho.

- Jedyłą moją nadzieją jest to, że nie będziesz w stanie przez to przebrnąć. Przez odebranie komuś życia, nawet jeśli miałyby to być życie Davida Rakubiana.

„Siedzenie w zimnym samochodzie z 22-ką na kolanach, zastygły w miejscu, sparaliżowany. Niemoc przebrnięcia przez to”.

- Nie staraj się tego sprawdzić - ciągnęła. - Błagam cię. Nie rób tego.

Ciemność zaczynała gęstnieć, stawała się przytłaczająca, jak wełna, tak jakby zaciskała się wokół niego.

- Nie pozwolę temu sukinsynowi skrzywdzić dzieci. Ani ciebie. Ani mnie. To podstawa.

- To nie od ciebie zależy. Problem jest sprawą Angeli i czy nam się to podoba czy nie, decyzja o tym, co trzeba z tym zrobić, też należy do niej. *To* jest podstawa.

- Ucieczka, życie w ciągłym strachu. Też mi rozwiązanie!

- Jeśli ona może to znieść, to my też. Mnie się ten pomysł nie podoba tak samo jak tobie, ale musimy ją wspierać.

- A co z Rakubianem?

- Musi być inny sposób...

- Żeby zapobiec temu, by ją wytropił? On jest nieustępliwy. Nie podda się, nie zniknie z jej życia czy z naszego.

- Boże, jak bardzo bym chciała, żeby zniknęła!

„Załóżmy, że zniknęłaby”, pomyślał Hollis.

„Załóżmy, że zniknie”.

- Obiecuj mi, że będziesz rozsądny - poprosiła Cassie. - Że nie zrobisz czegoś, czego wszyscy będziemy żałować.

- Rozsądny. O tak.

- Obiecuj.

- Obiecuję.

To nie było kolejne kłamstwo. Rozsądny to dokładnie to, jak będzie się od tej pory zachowywał. Potrzebował planu, takiego, który wykluczałby zagrożenie ze strony ewentualnych świadków, czy potrzebę fałszywego alibi. Planu, w którym żadne ciało ani żaden dowód nie łączyłby go z jakąkolwiek zbrodnią. Racjonalny, szczegółowy plan, wytyczony z taką samą uwagą, z jaką on rysował swoje projekty domów. Czy wtedy będzie mógł przez to przebrnąć?

Tak, bo musiał to zrobić.

- Masz rację - powiedział. - Musimy pozwolić zrobić Angeli to, co ona uważa za słuszne. Dać jej tyle wsparcia, ile możemy.

- Mówisz szczerze?

- Tak. Ale ten pomysł z Bostonem... Wcale mi się nie podoba. Przyjęcie pomocy od ludzi z grupy wsparcia to jedno - oni wiedzą, co robią. Ale darzenie zaufaniem ludzi całkiem nieznanymi, mieszkających pięć tysięcy kilometrów stąd? Nawet jeśli Eric może to załatwić, myślę, że to błąd.

- Ja też. Porozmawiam z nią jutro, postaram się ją przekonać, by nie spieszyła się z decyzją. Jeśli nie będzie chciała mnie słuchać, po prostu będziemy musieli jej na to pozwolić. Ale przynajmniej dowiedz się czegoś od Erica o rodzinie tego jego znajomego, jak będziesz z nim rozmawiał.

- Tak zrobię.

- Jedyne, co nam pozostaje, to modlić się - dodała. - Ufać, że Bóg ich ochroni.

„Bóg - pomyślał. - Bóg stworzył Davida Rakubiana, prawda? Bóg nie jest rozwiązaniem”.

„Ja nim jestem”.

### 3

#### *Czwartek rano*

Angela i Kenny leżeli jeszcze w łóżkach, kiedy wychodził z domu. Cassie zazwyczaj wstawiała razem z nim, mimo że nie musiała być w Klinice dla Zwierząt przed dziesiątą, ale dzisiaj było inaczej. Zrozumiał jej dystans i skupienie się na własnym wnętrzu, brak zainteresowania dla kawy czy rozmowy, i był jej za to wdzięczny. Bolała go głowa od napięcia i braku snu. Podobnie jak ona, nie miał siły podjąć ciężkiego, pełnego goryczy problemu z zeszłej nocy. Porozmawiają później, najpierw on rozmówi się z Erikiem, a ona kolejny raz spróbuje dogadać się z Angellą.

Jadąc do miasta, spróbował dodzwonić się na numer Erica w akademiku Cal Poly. Zajęte. Numer jego kolegi z pokoju, Larry'ego Sherwooda, też nie odpowiadał. Dzisiejsze życie w akademiku było zupełnie inne niż za jego studenckich czasów. Teraz każdy w swoim pokoju ma dostęp do komputera i prywatnej linii telefonicznej. Ciągłe korzystanie z komputera sprawia, że ciężko jest się dodzwonić. Będzie musiał próbować do skutku.

Budynek Mannix & Hollis - Architekci, dzielony z dwoma innymi małymi firmami, był zaadaptowanym, wyremontowanym, niegdyś eleganckim domem w stylu wiktoriańskim na brzegu rzeki Los Alegres, nieopodal portu dla łodzi. Atrakcyjne położenie, z widokiem na część historycznej, śródmiejskiej dzielnicy po drugiej stronie rzeki. To dowód na to, jak dobrze się wiodło jemu i Gabe'owi, jak daleko zaszli, odkąd połączyli swoje talenty i założyli firmę w starych, ciasnych pomieszczeniach na North Main czternaście lat temu.

Zaparkował na sąsiedniej parceli, obok małego i głośnego - „pierzącego”, jak mawiała Gloria - nissana. Gloria Rodriguez - od czasu do czasu wybuchowy, często ordynarny (zarówno po angielsku, jak po hiszpańsku), nieodzowny, zręczny i wszechstronny pracownik firmy: kreślarz, buchalter i księgowy, recepcjonistka, sekretarka. Zazwyczaj rano była już w biurze i pracowała, nim zdążył dojechać. Gabe, który miał notorycznie powolny rozruch, rzadko kiedy pojawiał się przed wpół do dziesiątej. Stanowisko komputerowe Glorii było zadbaną wyspą w chaotycznym oceanie biura, pełnego pochylonych desek kreślarskich i stołów zavalonych rysunkami, wytycznymi projektów, amerykańskimi i kanadyjskimi regulaminami, katalogami, które nie zostały odstawione na półki obok dokumentacji zajmującej całą ścianę. Kiedy wszedł, odwróciła się od swojego Maca, dźwignęła pulchne ciało z krzesła i popatrzyła na niego gniewnie. Znał ten grymas niezadowolenia. Jeszcze zanim przesunęła w jego stronę trzy białe, podłużne koperty, wiedział, że chodzi o Davida

Rakubiana.

- Rano zastałam je wepchnięte pod drzwiami - powiedziała. - Wygląda na to, że ten *verga* wziął się teraz za ręczne roznoszenie swojego gówna.

Hollis wziął koperty. Takie same, jak poprzednie: białe z wypisanym komputerowo jego pełnym imieniem i nazwiskiem: Jackson M. Hollis. Gloria nie odczuwała skrupułów, jeśli chodzi o otwieranie cudzej korespondencji. To, że koperty były nienaruszone, znaczyło, że nie zależało jej na poznaniu ich zawartości, tak samo jak jemu. Wiedziała wszystko o Rakubianie. Choćby bardzo chciał, nie mógłby ukryć prawdy ani przed nią, ani przed Gabe'em, od kiedy listy i telefony zaczęły ścigać go nie tylko w domu, ale i w pracy.

- Założę się, że zeszłej nocy na dodatek pojawił się u was w domu - skomentowała Gloria. - Nie tropił chyba ponownie Angeli i Kenny'ego?

- Nie. Głównie dzwoni i krąży wokół domu samochodem.

- Boże, Jack, jak długo ona to jeszcze wytrzyma?

- Niedługo. Podjęła decyzję, że skryje się razem z chłopcem.

- O cholera! Kiedy?

- Wkrótce. Wątpię, żeby tym razem udało nam się ją od tego odwieść.

Gloria zmarszczyła brwi i głęboko westchnęła.

- Wolalabym tego nie mówić, ale może to najlepsze rozwiązanie. To znaczy, faceci pokroju Rakubiana, prześladowcy, psychole... - Przeżegnała się i dodała: - Nie rozumiem, jak Bóg może pozwolić, by tacy ludzie chodzili po świecie.

Hollis nic nie odpowiedział. - Będę u siebie - oznajmił i przeszedł przez pokój, by dojść do swojego prywatnego boksu w głębi pomieszczenia.

Rzucił koperty na biurko, przysiadł na jego krawędzi i kolejny raz spróbował dodzwonić się do Erica. Obie linie były wciąż zajęte. Powstrzymał się od rzucenia słuchawką, podszedł do okna, by podnieść rolety.

Poranna mgła zaczynała się podnosić. Słabe światło słoneczne skrzyło się na bagnistej, burej wodzie. Przez jakiś czas stał, patrząc w dół rzeki, śledząc wzrokiem małą motorówkę sunącą pod mostem zwodzonym na D Street. Zwykle na rzece można było zobaczyć jedynie stateczki rekreacyjne i pogłębiarki. Nie tak dawno temu, kiedy Los Alegres było centrum rolniczym, raczej z rzadka odwiedzanym przez jednodniowych turystów, przez dojeżdżających do San Francisco do pracy, przez pracowników firm internetowych z Silicon Valley i nienasyconych, podmiejskich deweloperów, płynęły nią liczne barki wyładowane paszą i ziarnem ze starych młynów. Aż do połowy lat sześćdziesiątych w Zatoce San Francisco barki i małe statki towarowe woziły kurczaki, jaja, produkty rolne i inne towary



dostarczane na targowiska.

„Wszystko się zmienia - pomyślał. - Z dobrego powodu, ze złego, albo nawet bez przyczyny. W mgnieniu oka znajome rzeczy, które przez całe życie, czy choć przez jego większość, brałeś za pewnik - nagle się zmieniają. W mgnieniu oka wszystko, co zbudowałeś, cała idealnie zaprojektowana, solidna jak skała struktura twojego życia staje się tak niestabilna, że może się zawalić w każdej chwili”.

Odwrócił się od okna i usiadł przy biurku. Gruba teczka z wypisanym na niej nazwiskiem Rakubiana leżała w zamkniętej, dolnej szufladzie biurka. Wyjął ją, położył obok trzech kopert. Przeniósł z nich wzrok na wiszące na ścianie oprawione w ramki światłokopie dwóch swych projektów domów nagrodzonych przez AIA\*. Słyszał, jak Gloria puszcza w ruch wielką kopiarke. Dotarł do niego słaby, dość miły zapach amoniaku używanego do druku światłokopii, nierozłącznie związanego z każdym biurem architektonicznym, trudnego do zniesienia tylko tuż po dostawie nowego wsadu do koparki przez obsługę serwisu. Znajomy, krzepiący. Jeszcze jeden element jego życia na krawędzi nieodwracalnej zmiany z powodu maleńkiego, źle funkcjonującego gruczołu i czyjejś psychotycznej obsesji.

Upłynęło kilka minut, zanim otrząsnął się, wziął do ręki jedną z kopert i rozdarł ją. Pojedyncza kartka białego, grubego papieru wysokiej jakości, z czarnym komputerowym wydrukiem na środku. Trzy słowa ogromnymi wersalikami.

### ONA JEST MOJA!

Odłożył kartkę na bok, otworzył drugą kopertę. Kilka linijek tekstu na pojedynczej kartce papieru, również idealnie wycentrowanych.

*Lecz w naszej miłości choć była dziecięca  
Tak silnych uroków moc tkwi  
Żeśmy się kochali i lepiej i więcej  
Niż starsi i mędrsi niż my...  
I nigdy anioły, co w niebie królują  
Ni czarnych demonów rój zły,  
Nie mogły oderwać jej duszy od mojej  
Ni mojej od Angeli B.*

---

\* American Institute of Architecture-Amerykański Instytut Architektury.

Hollis poczuł, jak żółć podchodzi mu do gardła. Znów Poe. Rakubian i Poe, jeden szaleniec zafascynowany drugim. „Annabel Lee”. Wiedział, że zwrotka pochodziła z tego wiersza, bo Rakubian wysłał inne do Angeli, każdy z nich, tak jak i ten, z jej imieniem - Angela B. oznaczającym Angelę Beth - w miejsce Annabel Lee.

Trzecia koperta. I znów kolejna strofa z tego samego wiersza, intencje ukryte za nią równie jasne, co odrażające.

*I dziś, skoro drżąca srebrzystość miesiąca  
I gwiazd pozłocistych rój łśni.  
Śnię o niej i czuję na sobie płonące  
Jej oczy. Mej Angeli B.  
I co noc w snów bieli, wśród srebrnej topieli  
Spoczywam z nią razem na zimnej pościeli  
Tam w jej królestwie nad mórz pianą,  
Tam w jej mogile pod mórz pianą...\**

Zaciskając usta, otworzył teczkę i pod gruby plik kartek wsunął trzy nowe. Trzymać całą korespondencję w porządku chronologicznym... Tak jakby to mogło w jakikolwiek sposób powstrzymać morderczego prześladowcę. Zostawił teczkę otwartą przed sobą na stole, znów podniósł słuchawkę.

Tym razem linia Erica była wolna, ale słuchawkę podniósł Larry Sherwood.

- Rozminal się pan z nim, panie Hollis. Wyszedł jakieś pięć minut temu na zajęcia na dziesiątą.

- Czy mógłbyś spróbować go dogonić? Albo przekazać mu coś w sali? Muszę z nim jak najszybciej porozmawiać.

- Coś się stało? To znaczy...

- Nie, to nic poważnego. Ale trochę pilne.

- Powiem mu. Gdzie można pana zastać telefonicznie?

- W biurze.

Hollis odłożył słuchawkę, ponownie spojrzął na teczkę. Na wierzchu leżały notatki dotyczące Davida Rakubiana, które opracował na podstawie rozmów z Angelą i z pewnym adwokatem z San Francisco, który go znał, oraz na podstawie własnych poszukiwań. Były

---

\* Edgar Allan Poe „Annabel Lee” (*Annabel Lee*), [w:] „Poezje”, Wydawnictwo C&T, Toruń 1999. Przekład: Barbara Beaupré.

dość dokładne: poznaj swojego wroga. Jeszcze raz przejrzał fakty i cyfry, szukając czegoś, co mógłby wykorzystać w nowym planie, który właśnie formułował.

David Thomas Rakubian. Urodzony we Fresno trzydzieści pięć lat temu, jedyny syn armeńskich rodziców, z drugiego pokolenia emigrantów. Ojciec uprawiał winogrona, matka była bibliotekarką, oboje już nie żyli. W dzieciństwie samotnik, nie interesował się sportem czy innymi zajęciami, wolał towarzystwo książek. Nie miał wielu dziewczyn ani jako nastolatek, ani jako dorosły - wyznał Angeli, że był prawiczką do dwudziestego czwartego roku życia i wydawał się dumny z tego powodu. Wysoki iloraz inteligencji, wystarczający, by zakwalifikować się do MENSY, dobry student - miał same szóstki, wygłosił mowę na zakończenie nauki w liceum jako celujący uczeń. Studiował prawo na UCLA\*, również tam miał świetne stopnie. Dyplom licencjacki w dziedzinie prawa i natychmiast po ukończeniu studiów staż w szanowanej firmie w Los Angeles. Przeprowadził się do San Francisco po zdaniu stanowego egzaminu adwokackiego, by podjąć lepiej płatną pracę w staroświeckiej i renomowanej firmie na Montgomery Street. Po trzech latach zdecydował, że praca zespołowa zbyt go ogranicza, i otworzył własną praktykę, specjalizując się w agresywnie prowadzonych, wysoko dochodowych sprawach o obrażenia ciała. Odnosił sukces w swojej pierwszej sprawie, wygrał dwie duże ugody w ciągu dwóch lat, druga z nich pozwoliła mu na zakup posiadłości w St. Francis Wood przed ukończeniem trzydziestego roku życia. Od tamtej pory odmawiał rozszerzenia działalności, bo przyjęcie wspólników oznaczałoby zrzeczenie się części kontroli. Wciąż utrzymywał małe biuro z dwiema tylko pracownicami - asystentką, Valerie Burke, która pracowała dla niego od pięciu lat, i Janet Yee, ostatnią w licznym szeregu sekretarek.

Konserwatysta w kwestiach politycznych. Zdecydowane przekonania antyaborcyjne i obrońca wartości rodzinnych, ale bez żadnych tendencji prawicowo-religijnych. Twierdził, że wierzy w Boga, ale wydawało się, że uważa zorganizowaną religię za coś niegodnego siebie. Zagorzały zwolennik Drugiej Poprawki, ale bez jakichkolwiek związków z NRA\*\* czy z inną grupą optującą za ogólną dostępnością broni. Z tego, co wiedziała Angela, wynikało, że Rakubian nie posiadał żadnej broni. Co oczywiście niczego nie dowodziło. Jeśliby tylko chciał, nie miałby żadnego problemu w załatwieniu jej sobie.

Pozornie czarujący, wewnątrz zimny i nieugięty. Nieustępliwy, często bezwzględny w stosowanych metodach prawniczych. Bezkompromisowy. Bezlitosny.

---

\* Uniwersytet Kalifornijski.

\*\* National Rifle Association - Krajowy Związek Myślistwa Sportowego.

Bardzo rozbudowane ego - typ „pępek świata”. Angela: - Mało mu brakuje do bycia solipsystą. No wiesz, kimś, kto uważa, że jest jedyną rzeczywistością i że wszystko i wszyscy to kreacje jego umysłu.

Maniak kontroli. Tak, jak on chce, albo wcale. Nigdy nie przyzna się do błędu, wady czy ułomności. Nieustraszony. Uważa, że jest sprytniejszy niż inni i przez to niezniszczalny.

Tendencje do przemocy. Przed próbą porwania Angeli nie był nigdy aresztowany za jakiegokolwiek przestępstwo ani nic nie było wiadomo o wcześniejszym maltretowaniu przez niego kobiet. Jak jej wyjaśnił, miał przedtem jeden poważny związek, ale nie powiedział kiedy ani z kim. Nikt inny nie wiedział albo nie chciał powiedzieć, kim była ta kobieta, więc nie było sposobu, by dowiedzieć się, czy nad nią też się znęcał.

Żyjący krewni: brak. Przyjaciele: brak. Przez jedenaście miesięcy, podczas których Angela z nim mieszkała, ani razu nie podejmowali gości w domu (poza tymi kilkoma razami, kiedy Hollis i Cassie zostali wpuszczeni do domu) ani nie spotykali się z nikim towarzysko, poza sporadycznymi znajomościami w związku z pracą.

Hobby i zainteresowania: książki prawnicze oraz mroczna proza i poezja Edgara Allana Poe'go, Nathaniela Hawthorne'a, Henry'ego Jamesa, Williama Blake'a. Zwłaszcza jednak Poe'go. Zbierał rzadkie wydania jego dzieł oraz opracowania na ich temat i o życiu poety. Kolekcjonował grafiki z motywem gotyckiej ornamentyki. W jego domu wałało się pełno dziewiętnastowiecznych obrazów, statuetek złowrogich kruków i gargulców, było też popiersie Poe'go naturalnej wielkości. Rakubian sam siebie nazywał „neoantykwariuszem”. Lubił symfonie i ciężką rosyjską muzykę klasyczną. Nie lubił opery, sztuki, muzyki współczesnej czy filmów jakiegokolwiek rodzaju. Odmawiał posiadania telewizora. Nie pozwalał Angeli używać w domu komputera. Zabraniał jej też, by kontynuowała swoją pracę, by spędzała czas ze swymi przyjaciółmi i rodziną, rozmawiała z innym mężczyzną w jego obecności czy robiła cokolwiek, co odbiegało od jego koncepcji służalczej, posłusznej żony.

Rakubian w odrażającym i gorzkim streszczeniu.

Reszta papierów w teczce zawierała dowody - przejrzyste, jeśli nawet nierozstrzygające od strony prawnej - na to, że Rakubian był tykającą bombą zegarową. Listy, notatki, krótkie, jednowersowe wiadomości kierowane do Angeli, do Hollisa, do Cassie, wyznające miłość, jego urojone prawo własności, wściekłość i frustrację, żądania i ukryte groźby. Cytaty o miłości i śmierci z Poe'go i innych poetów. Wykazy wszystkich przez niego wykonanych telefonów, niezapowiedzianych wizyt, krążenia wokół domu samochodem i starć. Niezrealizowane czeki wystawione na Angelę, jeden na 500 dolarów, drugi na 750. Odnotowane dostawy drogich ubrań, egzotycznych perfum, bukietów kwiatów oraz innych

przedmiotów - ucharakteryzowanych na prezenty, w przewiązanych kokardą i w fantazyjnie opakowanych pudełkach - takich jak koronkowa bielizna pocięta na paski nożyczkami czy portret Angeli z odciętym czubkiem głowy. Zdjęcia ich dwojga, zrobione przed i tuż po ślubie, na których uśmiechają się do siebie, obejmują, są roześmiani. Każde opatrzone zagadkowym, ręcznym zapiskiem. I inne zdjęcia, czasem wymieszane z tymi fotografiami, czasem wysłane oddzielnie, przedstawiające pogrzeby, zmarłe kobiety w trumnie i krwawe usunięte płody.

„Wystarczy - pomyślał Hollis. - Już dość”. Zamknął teczkę, na powrót wsadził ją do zamykanej szuflady biurka. „Żadnych więcej listów, telefonów, niezapowiedzianych wizyt, krążenia samochodem, starć, prezentów, zdjęć, bzdur, obłąkania, strachu, niepewności, desperacji. Dosyć!”

Włączył komputer, otworzył plik Chestertona. Miła gratka dla Mannix & Hollis i w dużej mierze jego dziecko - ponad czterysta metrów kwadratowych powierzchni domu mieszkalnego i zabudowań gospodarczych w Paloma Mountains na wschód od miasta. Pieniądze nie grają roli, pełna kontrola nad procesem twórczym. Shelby Chesterton posiadał firmę oprogramowania komputerowego w Silicon Valley, zmęczyło go życie pośród wyścigu szczurów w South Bay, spodobało mu się wolniejsze tempo North Bay i szykował się do przeniesienia zarówno własnej firmy, jak i rodziny do Los Alegres. Kupił obszerny kawał posiadłości na stoku z prywatnym jeziorem i zanim zlecił projekt swego domu firmie Mannix & Hollis, spotkał się z tuzinem firm projektowania architektonicznego w hrabstwie. Hollis od samego początku był z nim w dobrych stosunkach - byli zgodni również w kwestiach nie dotyczących współczesnej architektury - i dostał *carte blanche*. W rezultacie powstał ekologiczny, nowatorski, regionalnie stylizowany dom, który wykorzystywał elementy wizji Maybecka z jego własnym, niepowtarzalnym stylem pracy nad detalem. Chestertonowie byli zachwyceni. W wyniku ich entuzjastycznej rekomendacji wśród przyjaciół Mannix & Hollis dostali już inne zlecenie. Jeśliby zdjęcia wykończonego domu ukazały się w jednym z branżowych czasopism, zleceń tych może być więcej.

Budowa zaczęła się trzy miesiące temu. Z powodu Angeli i Rakubiana nie był na placu budowy od blisko miesiąca. Sprawdził najnowsze raporty firmy PAD Construction o postępach prac. Część płyt fundamentowych była już wylana, ale raport nie precyzował, o które chodzi. Reszta była zaplanowana na ten tydzień i następny. Będzie musiał tam pojechać, sprawdzić osobiście...

Pukanie do drzwi. Odwrócił głowę i w uchylonych drzwiach zobaczył bujną czuprynę Gabe'a Mannixa.

- Jesteś zajęty, Bernardzie, czy mogę wejść?

Tego ranka ma na imię Bernard, kiedy indziej jest Paulem. Żart, który narodził się dwadzieścia kilka lat temu, kiedy razem pracowali w mieście, a któremu Mannix odmawiał prawa do śmierci z powodu zużycia i starości. Dwaj kalifornijscy architekci z początku XX wieku, który mieli największy wpływ na styl Hollisa - biały, wykształcony w Paryżu członek bohemy, oraz czarny, o tradycjonalistycznych poglądach, w głównej mierze samouk: Berndard Maybeck i Paul Williams.

- Wejdz. I tak właściwie jesteś już w środku - kliknął na plik Chestertona, zamykając go, i obrócił się gwałtownie na krzesło, kiedy Mannix zwałił się na jedyne krzesło w boksie poza jego własnym.

- Więc duppek pojawił się tu zeszłej nocy.

- No.

- Gloria twierdzi, że u ciebie też.

- Przedtem w Parku McLear. Angela była tam z Kennym. Tym razem groził jej otwarciem.

- W obecności świadka?

- Nie, jeśli nie liczyć Fritza.

- Co dokładnie powiedział?

- Że zabije ich oboje, jeśli do niego nie wróci.

- Pieprzony skurwiel! To dlatego jest gotowa uciekać.

- Właśnie.

- Chyba jej na to nie pozwolisz?

- Nie mogę jej powstrzymać, Gabe.

- Jeśli tego nie zrobisz, może już nigdy więcej nie zobaczysz ani jej, ani małego. Nawet jeśli Rakubian jej nie znajdzie, zaszyje się głęboko i nie odważy się wychylić na powierzchnię.

- To jej decyzja.

- Czyżby? Wiesz, co ja bym zrobił, gdybym był na twoim miejscu? Kupiłbym pistolet i zrobiłbym z niego użytek.

Hollis zachował kamienną twarz. Słyszał to już wcześniej. Mannix kompletnie nie ukrywał tego, co myślał. Spośród wszystkich osób wtajemniczonych w sytuację to właśnie Gabe'owi o mało co się nie zwierzył. Ale nie był w stanie tego zrobić. Ani wcześniej, przed zeszłą nocą, ani teraz.

- Nie sądzisz, że wziąłem to pod uwagę?

- Poważnie to rozważyłeś?

- Bardzo poważnie.

- I?

Pokręcił tylko głową, wykonał bezradny ruch.

- Taak, wiem - rzekł Mannix. - A założmy, że zrobiłbym to dla ciebie...?

- Chyba żartujesz.

- Tak myślisz? Wiesz, co czuję do ciebie, Cassie i Angeli. Nie miałbym żadnych skrupułów, moralnych czy innych. To tak, jakby zastrzelić wściekłego psa.

Hollis przyglądał mu się przez chwilę, starając się stwierdzić, czy naprawdę tak myśli. Gabe Mannix nie był łatwy do rozszyfrowania. Znali się od dwudziestu dwóch lat, pracowali ramię w ramię przez osiem lat w firmie Simmons Glenn Wspólnicy, zanim założyli własną spółkę, ale wciąż istniała w Gabe'ie pewna dwuznaczna, niedostępna część, której Hollis nie mógł do końca rozgryźć. Duży, kudłaty, łatwy w obejściu, z nieprzebranym zasobem anegdot i sprośnych historii... Ale potrafił być też posępny, cyniczny i nieprzewidywalny w swoim prywatnym życiu. Błyskotliwy, choć konwencjonalnie myślący architekt, z dyplomem z Instytutu Pratta w Nowym Jorku, który mimo to wolał zajmować się bardziej przyziemnymi zadaniami, jakie im się trafiały - biurami, centrami handlowymi, kompleksami mieszkaniowymi - i pozwalać, by Hollis pracował nad bardziej ambitnymi, pojedynczymi projektami, takimi jak dom Chestertona. Dwukrotnie żonaty, dwukrotnie rozwiedziony, obecnie zatwardziały kawaler i „koneser przygód jednej nocy”, a mimo to wydawało się, że zazdrości Hollisowi jego stałego związku z Cassie. I sposób, w jaki patrzył na Angelę przez ostatnie kilka lat - tęsknie, czule, z cieniem smutku w oczach - wskazywał na to, że chciałby być dwadzieścia lat młodszy i żeby ona była atrakcyjną córką kogoś innego.

- Zrobiłbym to - powiedział. - Mówię naprawdę szczerze, nie wciskam kitu.

- To nie twoja walka, Gabe.

- Akurat!

- Nie poprosiłbym cię o to. Nie o coś takiego.

- To znaczy, że nie akceptujesz pomysłu?

- Tego nie powiedziałem.

- Faceci w stylu Rakubiana nie zasługują na to, żeby żyć - oświadczył Mannix. -

Wyświadczyć światu przysługę, wyeliminuj go z puli genetycznej.

- Mówisz teraz jak członek samozwańczej straży obywatelskiej.

- Może nim jestem. Może lepiej, żebyś zaczął myśleć jak jeden z nich.

„Gdybyś tylko wiedział, stary”.

- Czy możemy zakończyć ten temat? Żadnemu z nas nie przynosi to nic dobrego.

- Zakończmy, jeśli tego chcesz, ale jeden z nas powinien go podjąć na nowo. Zanim będzie za późno.

- Słuchaj, Gabe...

Mannix wstał. - Pora wracać do roboty. Emerson znów psioczy na zmiany w tym projekcie centrum handlowego.

- Ja też mam coś do roboty. Niedługo wychodzę.

- Nie spiesz się. Masz ważniejsze sprawy na głowie niż ołówki i suwaki logarytmiczne.

Kiedy został sam, Hollis ponownie otworzył plik Chestertona i jeszcze raz sprawdził raport z postępu prac i plan budowy. W porządku. A jeśli prace na zboczu wzgórza nie są dostatecznie zaawansowane albo jeśli wylali płyty piwnicy na wino przed terminem przewidzianym w harmonogramie? Będzie się tym martwić później, jeśli będzie musiał.

Teraz pozostała część planu. Nie znalazł niczego konkretnego w aktach Rakubiana, co mógłby wykorzystać, ale było wystarczająco pomiędzy wierszami. Bardzo rozbudowane *ego*. Nigdy nie przyzna się do błędu, wady czy ułomności. Nieustraszony - uważa, że jest sprytniejszy niż inni, niezniszczalny. Zbierz to wszystko do kupy i masz faceta bez wyobraźni, bezbronny, jeśli się go właściwie podejdzie.

Pasuje. Ogromne *ego* sukinsyna pomoże go pogrzebać.

## 4

Wciąż nie miał wieści od Erica, kiedy o dziesiątej trzydzięci zadzwoniła Cassie z Kliniki dla Zwierząt. Jej rozmowa z Angellą przyniosła mieszane efekty. Angella była skłonna zostać przez weekend niezależnie od tego, czy ustalenia dotyczące Bostonu się potwierdzą, czy nie, ale kategorycznie odmawiała pojechania do Cedar Rapids. Kobieta w miejscowej grupie wsparcia miała krewnych w Utah, których zapewne będzie można przekonać, by przyjęli ją i Kenny'ego na jakiś czas. Będzie starała się tam pojechać, jeśli Boston nie dojdzie do skutku.

- Utah jest o wiele bliżej niż Massachusetts czy Iowa - powiedziała Cassie. - Nawet jeśli to oznacza mieszkanie z obcymi.

Hollis nie mógł się z tym nie zgodzić, choć wolałby, by istniał jakiś sposób, który powstrzymałby ją, nawet na krótko, przed wyjazdem dokądkolwiek.

Było prawie południe, kiedy Eric w końcu zadzwonił. Do tego czasu Hollis był niespokojny i nie pracowało mu się dobrze. Odebrał telefon u siebie w boksie i zaczął



rozmowę źle, wbrew sobie, mówiąc zbyt ostro: - Czy oddzwonienie musiało zająć ci tyle czasu?

- Ejże, nie urwij mi głowy!

- Larry nie przekazał ci mojej wiadomości od razu?

- Przekazał. Pilne, ale nie poważne. Angie powiedziała ci o Bostonie, tak?

Angie. Eric nazywał ją tak jako jedyną w rodzinie. - No tak. A nie rozmawiałaś z nią dzisiaj...?

- Właśnie próbowałem się skontaktować z nią w domu. Nie odpowiada.

- Jest na spotkaniu grupy wsparcia. Jeśli chodzi o ten Boston. Wiem, że starasz się pomóc, ale...

- Nie wypaliło - uciął Eric.

- Nie?

- Wydawało mi się, że mam dla niej nagrane mieszkanie, ale Jeff udał głupa, bo wyjaśnił swoim starym powody. Oni nie chcą, żeby kobieta, która jest prześladowana, mieszkała u nich w mieszkaniu, nie chcą kłopotów, stara śpiewka.

Z poczuciem ulgi Hollis powiedział: - I dobrze.

- Uhm. I rozumiem, że chcesz, żebym odtąd trzymał się od tego z dala?

- Chciałbym.

- Gdybym tylko mógł, załatwiłbym dla niej coś innego.

- Eric... - Uciął to. - Być może Angela znalazła inne miejsce, gdzie mogłaby pojechać - powiedział i wyjaśnił sprawę z Utah.

- Na jakiś czas brzmi nieźle - przyznał Eric. - Więc ty i mama nie próbujecie jej odwieść od pomysłu wyjazdu?

- Nie stoimy jej na drodze, nic takiego.

- Ale pomysł nie bardzo wam się podoba.

- Jasne, że nie. Ucieczka nie ochroni jej przed Rakubianem.

- Ani zostanie w domu, gdzie on może do niej dotrzeć, ilekroć przyjdzie mu na to ochota.

Hollis milczał. Wciąż ten sam, jałowy spór.

Linia buczała i pusto trzeszczała. Potem Eric powiedział zimnym, bezbarwnym głosem: - Nienawidzę tego szalonego skurwysyna. Chciałbym mu rozwalić ten jego pieprzony łeb.

- Skończ z takim gadaniem - powiedział ostro Hollis. - Nie powinieneś tak mówić.

- Nie udawaj, że nie widzisz tego w ten sam sposób.

- Przemoc nie jest rozwiązaniem. - „Ty przekłety hipokryto” - pomyślał.

- A co nim jest? Nie mogę przestać o tym myśleć...

- O czym? Co takiego myślisz?

- Nic. Nieważne.

- Posłuchaj mnie, synku. Tylko bez żadnych dzikich pomysłów.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Myślę, że wiesz.

- Nie stracę głowy, nie martw się.

- Jednak się martwię.

Długa przerwa. - Przyjeżdżam do domu na dwa dni - oznajmił po chwili Eric. - I nie mów mi, żebym tego nie robił, jasne?

- Dlaczego?

- To oczywiste. Żeby zobaczyć się z Angie, zanim wyjedzie.

Hollis przemyślał to przez kilka sekund, zanim odpowiedział: - W porządku. Kiedy przyjeżdżasz?

- Jutro po zajęciach. Piątkowy ruch pewnie będzie parszywy, więc nie spodziewajcie się mnie wcześniej niż po kolacji.

- Zadzwon, kiedy będziesz blisko San Francisco. Zaczekamy z kolacją, jeśli nie będzie za późno.

Hollis odłożył słuchawkę i rozparł się w krzesło. Nie widział syna przez sześć tygodni. Dobrze będzie mieć go znowu w domu przez chwilę. I uszczęśliwi to Cassie. Ale czy mógł zaufać Ericowi, że będzie się trzymał z daleka od Rakubiana? Lepiej wbić mu to do głowy jeszcze raz, osobiście, jak tylko będzie mógł z nim porozmawiać w cztery oczy. Jeśli wszystkie elementy nowego planu się zbiegną... Plany dotyczyły soboty. Do tego czasu wiele było do załatwienia i istniała dowolna liczba ewentualnych komplikacji, które mogły zawalić termin i logistykę. Nie mógł pozwolić, by jego w gorącej wodzie kąpany syn stał się jedną z nich.

### ***Czwartek po południu***

Paloma Mountains, tak jak rzeka Los Alegres, były górami raczej z nazwy. W rzeczywistości był to grzbiet wysokiego pogórza, porośniętego gdzieś zielonym zimą, ale już teraz, późną wiosną, zaczynającym brązowieć wrzoścem oraz dębowym lasem, który oddzielał tę dolinę od porośniętej bujną roślinnością Paloma Valley, położonej dalej na wschód. Niższe

zbocza były usiane ranczami, pofałdowanymi pastwiskami dla bydła, prywatnymi domami na rozległych parcelach. Wyżej, tam, gdzie teren stawał się bardziej stromy, po wzgórzu porozrzucone były sporych rozmiarów skały, fałdy terenu wcinały się głęboko pomiędzy zaokrąglone pagórki, tworząc cieniste kotliny pokryte drzewami i krzakami, a funkcjonujące rancza i prywatne domy, położone tu daleko jedno od drugich, można było policzyć na palcach jednej ręki. Połacie lasu rosły wzdłuż linii fałd i blisko nich, skrywając trzy małe jeziora i kilometry jelenich tropów na terenach będących w prywatnych rękach oraz szlaków turystycznych i ścieżek do jazdy konnej, ciągnących się na przestrzeni kilku tysięcy akrów należących do miasta.

Działka Chestertona była położona na wysokości więcej niż dwóch trzecich wzgórza, w jednej z najwyższej i najlepiej wybranej lokalizacji dla domu. Siedemdziesiąt dwa akry kosztowały go jakieś dwa miliony. Dom, zabudowania gospodarcze i szeroko zakrojone prace kształtowania krajobrazu, które zaplanował, wynosiły mniej więcej drugie tyle. Cztery miliony dla Shelby'ego Chestertona były jak cztery tysiące dla Jacka Hollisa - nie był żadnym Billem Gatesem czy Stevem Jobsem, ale majątek, którego dorobił się na rynku technologii, był ogromny i wciąż rósł. Co oznaczało więcej władzy dla niego. Nie był typowym, rozrzutnym egocentrykiem z firmy z najwyższej półki, wręcz przeciwnie, był praktycznym, zaskakująco łatwym w obyciu, miłym facetem. Praca z nim należała do przyjemności.

Z tego też powodu, ponieważ lubił i szanował gościa, Hollisowi nie bardzo podobała się ta część planu. Była równoznaczna ze zdradą i fakt, że Chesterton nigdy się o tym nie dowiedział, był tu słabym pocieszeniem. Względy praktyczne, cóż - był to jedyny bezpieczny i pewny sposób, bezzwłocznie dla Hollisa dostępny. Ale przez to rzeczywistość nie miała ani trochę mniej gorzkiego smaku. Kolejna mała część jego prawych zasad rozdarta i utracona z powodu Davida Rakubiana.

Droga biegła mniej więcej prosto na niższych wysokościach, potem wiała się, a z czasem - kiedy pisał się wśród kęp brudno wyglądających drzew i kamienistych pól, gdzie mleczne krowy pasły się w słońcu - stawała się wąska i kręta. Miał opuszczoną szybę i czuł popołudniowy, ciepły wiaterek, ciężki od zapachu wrzośca, suchej trawy, obornika. W tyle za sobą mógł podziwiać całą dolinę rozpostartą u dołu, miasto z jego wschodnią, bezładną zabudową podmiejską, rzekę i autostradę 101. Z położonego na górze terenu Chestertona widok był olśniewający. W pogodny dzień można było dostrzec Mt. Tam<sup>\*</sup>, Zatokę San Pablo, część Zatoki San Francisco i w odległości sześćdziesięciu pięciu kilometrów linię dachów

---

\* Mt. Tamalpais State Park-Park Narodowy Mt. Tamalpais.

miasta.

Droga pięła się coraz bardziej stromo. Od strony południowej teren zaczynał opadać, w niektórych miejscach stopniowo, w innych bardziej gwałtownie. Hollis pokonał ostry zakręt, wjeżdżając w serpentynę i jadąc teraz w żółwym tempie z powodu ostrych zakosów, z ograniczoną widocznością i dlatego, że pasmo wyboistego asfaltu było tak wąskie, że dwa samochody nie mogłyby się tu swobodnie wyminąć. Ta droga, jak i większość innych w Paloma Mountains, została zbudowana w latach dwudziestych na potrzeby ranczerów i mało kto jej używał poza mieszkańcami i dzieciakami szukającymi odosobnionego miejsca do picia i do uprawiania seksu. On i Cassie przyjeżdżali tu kilka razy, prawie trzydzieści lat temu... Licealna para, licealny seks. To tu właśnie ofiarowała mu swoje dziewictwo.

Czy to także tu Angela ofiarowała swoje Ryanowi Pierce'owi? Myśl ta zaniepokoiła go bardziej niż powinna i nie był pewien dlaczego.

Zgodnie z jego licznikiem na jakimś ósmym kilometrze droga rozwidła się - prawa odnoga urywała się przed bramą, lewa biegła dalej krzewiastym wąwozem w górę. Ta droga kończyła się nowiutką bramą, otwartą teraz na oścież. Jej nawierzchnia była zwirowana, a w przyszłości miała zostać utwardzona. Hollis wjechał w nią, wznosząc tumany kurzu, który zawisł w przejrzystym powietrzu i powoli zaczął się rozpraszać, jak kłęby dymu.

Plac budowy znajdował się kolejne osiemset metrów dalej, na szerokiej, głębokiej półce skalnej pomiędzy dwiema, porośniętymi dębami, fałdami terenu. Cztery wyrównane i wypoziomowane akry ziemi, na których za sześć miesięcy, jeśli pogoda dopisze, stanie dom - piętrowy, z sekwoi i kamienia, z czterospadowym dachem i z wnętrzem o ścianach zbiegających się pod kątem ostrym i z ogromnymi, grubo ciosanymi belkami nośnymi. Pięć zabudowań gospodarczych w tym samym stylu, ale z subtelnymi zmianami, by podkreślić ich odrębność i wyjątkowość. I z dwudziestoczwierometrowym kamiennym tarasem, z basenem, kortem tenisowym i dwoma eleganckimi ogródkami. Teraz teren pokrywała bezładna mieszanina sprzętu do robót ziemnych, wywrotek, furgonetek, przyczepy mieszczącej biuro, szop na narzędzia, przenośnych toalet, stosów tarcicy, stert kamieni, żwiru i kurzu, dwunastoosobowej brygady Pete'a Dulaca i wszystkich innych „komponentów” placu budowy średniej wielkości.

Hollis znalazł miejsce do parkowania nieopodal przyczepy i dobudowanych, wzmocnionych stałą wiat. Dookoła panował wielki hałas: sprzęt rozkruszający, silniki rozcierające, wspomagające bipery, krzyczący mężczyźni. „Sprowadzenie tu na górę niektórych z tych ciężarówek i sprzętu musiało być cholernie ciężkim zadaniem” - pomyślał Hollis, szukając Pete'a Dulaca. Kierowcy ciężarówek, zwłaszcza ci, którzy przetransportowali

w górę East Valley Road pojazdy gaśnicowe, koparki i kontener uczciwie zarobili przy tej robocie na swoje wynagrodzenie.

Dulac znalazł go sam, nim zdążył przebyć połowę drogi dzielącej go od wytyczonych zarysów przyziemia i fragmentów wylanych już fundamentów domu. Właściciel PAD Construction był krzepkim mężczyzną pod sześćdziesiątkę, z obwisłymi policzkami, z czapką z daszkiem drużyny 49ersów, którą zazwyczaj nosił zsuniętą na tył głowy, z przybornikiem narzędzi zawieszonym w pasie. Dawno temu pracował dla jego starego, ale to nie z tego powodu Hollis wybierał go do współpracy, kiedy tylko mógł. Dulac był najlepszym i najbardziej solidnym przedsiębiorcą budowlanym w hrabstwie. Rzadko kiedy kończył robotę po czasie czy przekraczał budżet. Zmuszał swoją załogę do ciężkiej pracy, ale nie cięższej niż ta, jakiej wymagał od siebie.

- Widziałem, jak wjechałeś - powiedział. - Jak tam ci wiszą, Jack?

Teraz był to przekłety cierpki żart, ale Hollis przystał na niego. - Każdego dnia trochę niżej.

- Poczekaj, aż będziesz w moim wieku. Przyjechałeś w jakiejś konkretnej sprawie?

- Tylko na oględziny, żeby Chesterton był zadowolony.

- No cóż, wciąż całkiem dobrze trzymamy się harmonogramu.

- Nigdy nie miałem co do tego wątpliwości.

- Będę w przyczepie przez kilka minut - powiedział Dulac. - Krzyknij, jak będziesz mnie potrzebował.

Hollis przeszedł się po placu budowy, raz zatrzymując się, by porozmawiać z robotnikiem, kiedy indziej, by udać inspekcję fundamentów, a za trzecim razem, żeby wejść do przenośnej toalety. Mocz, który udało mu się wyprodukować, wywołał pieczenie i wypłynął wąskimi, przerywanymi strumykami, tak jakby funkcja jego pęcherza miała wyłącznik czasowy. Sfrustrowany tym walnął dłonią o ścianę toalety, a kiedy wyszedł, facet pracujący w pobliżu dziwnie na niego spojrzał. Udał, że tego nie widzi.

Stamtąd podszedł, jak gdyby nigdy nic, do wykopów pod dużą piwnicę na wino. Trzyście metrów na dwadzieścia, wycięta głęboko w ilastej skale wzgórza. Prace przy kopaniu podziemia były już ukończone, ściany i sufit podtrzymywane i wyłożone drewnianą sklejką. Zauważył z ulgą, że szlichta podłogowa nie była jeszcze wylana. Twardo ubita ziemia była przykryta luźnymi płytami sklejką.

Gdy znalazł się w środku, schylił się, by podnieść jedną z leżących na środku płyt, a następnie przykucnął plecami do wejścia do piwnicy. Wiedział, że nigdzie nie natrafili na podłoże skalne, ale musiał się upewnić, że ziemia nie jest tu zbyt kamienista, by móc kopać w

niej bez trudności. Wetknął dwa palce w ziemię, przesypał ją przez palce. Z kilofem i łopatą będzie to dosyć łatwe, ale trudno przewidzieć, jak głęboko da się tu kopać. Będzie po prostu musiał przyjąć na wiarę, że wystarczająco głęboko bez zbyt dużego wysiłku.

Odłożył sklejkę na miejsce, wyszedł na zewnątrz. Najbliższa sterta ziemi i kamieni znajdowała się w odległości czterdziestu pięciu metrów. Zarejestrował jej położenie i fakt, że obok niej znajdowały się taczki. Potem poszedł do przyczepy, żeby porozmawiać ponownie z Dulakiem.

- Wszystko wygląda w porządku, Pete. Wylewacie resztę fundamentów w przyszłym tygodniu, zgadza się?

- Tak - odparł Dulac. - Powinniśmy z nimi skończyć od jutra za tydzień.

- Ta płyta fundamentowa w piwnicy na wino wygląda, jakby miała sprawić trochę trudu...

- Nie powinna. Ją akurat będziemy wylewać w poniedziałek czy wtorek.

- Dobra - rzekł Hollis. - Aha, jeszcze jedno. Bardzo możliwe, że Chesterton z żoną przyjadą tu na weekend. Jeśli tak, to będą chcieli sami sprawdzić postępy. Więc lepiej, żebym wziął twój zapasowy klucz do kłódki przy bramie.

- Jasne, nie ma problemu. - Dulac dał mu ten klucz. - Przyjedziesz z nimi?

- Raczej nie.

- No nic, lepiej przypomnij Chestertonowi, żeby zamknął wszystko przed odjazdem. Na placach budowy oddalonych jak ten, trzeba pilnować, żeby nie dostał się tu ktoś niepowołany.

- Tak - przyznał Hollis - to ostatnie, czego nam trzeba. Ktoś, kto nie byłby tu mile widziany.

## 5

Kiedy zjechał ze wzgórz, ruszył prosto do domu. Już trzecia trzydzieści. Nawet jeśli miałby wrócić do biura, do końca dnia pracy zostało niewiele czasu. Teraz najważniejsze było porozmawiać z Angelą, powiadomić ją, że Boston nie wchodzi w grę i postarać się o mocne argumenty przemawiające za tym, by opóźniła opuszczenie domu.

Tylko że ona jeszcze nie wróciła z Santa Rosa. Nigdzie nie było śladu po jej małym chevy geo. Cassie też nie było w domu. Ale za to nieznany mu pickup dodge stał zaparkowany przed domem, stary i trochę zdezelowany i kiedy Hollis zaczął skręcać na podjazd, na ganku pojawił się marnie ubrany mężczyzna, wychodząc zza siatki bugenwilli.

Hollis poznał go i zacisnął usta.

Pierwszy duży błąd Angeli.

„Co znowu, u diabła?”

Stał, czekając, aż Ryan Pierce zejdzie po schodach i podejdzie do niego. Wysoki i chudy jak tyczka dzieciak, do tego teraz dość niechlujny: kilkudniowy zarost, brązowe kręcące się dobrze poniżej kołnierzyka włosy, poplamione kowbojskie buty, lewisy i koszula jak z westernu. Niewiele za nim przemawiało, teraz czy kiedykolwiek, poza parą łagodnych, brązowych oczu i intrygującym uśmiechem. Mało rozumu, brak prawdziwego celu czy ambicji. Hollis nigdy nie zrozumiał, co Angeli w nim widziała. Cassie sądziła, że chodziło o jego delikatność, jego ukrytą głębię, do której Angeli udało się dokopać. Być może. Osobiście był zdania, że Pierce przemówił do silnie w niej rozwiniętego instynktu macierzyńskiego. Że uwierzyła, że da radę coś z niego zrobić, nauczyć go, jak być mężem, ojcem, mężczyzną. No cóż, myliła się. Przez cztery trudne lata małżeństwa i od tamtej pory przez większość czasu, jeśli nie zawsze, był niedojrzały, mało zdecydowany - nie przynosił pożytku komukolwiek, nawet sobie samemu.

- Dzień dobry, panie Hollis. Kopę lat.

„I tak za mało”. - Co ty tutaj robisz?

- Szukam Angeli. Chyba wiedział pan, że przyjeżdżam, co?

- Nie. Gdybym wiedział, powiedziałbym ci, żebyś został w Wyoming.

- W Montanie. Mówiłem jej w ostatnim mailu, że szykuję się na przyjazd. Nie powiedziała panu?

- Nie. - I zapyta ją, czemu tego nie zrobiła, choć był prawie pewien, że zna odpowiedź.

- Słyszałem, że zostawiła faceta, za którego wyszła w San Francisco, o tych wszystkich kłopotach, jakie z nim ma. Nie od niej, od mojej siostry Rhony. Brzmiało to kiepsko, a nie mogłem jej samej skłonić, żeby o tym mi opowiedziała, i martwiłem się o nią i o Kenny'ego. Rzuciłem więc pracę na ranczo, choć byliśmy w samym środku...

- Martwiłeś się, mówisz... Z pewnością. Jak dawno nie widziałeś swojego syna? Osiemnaście miesięcy? Ile razy przez ten czas do niego zadzwoniłeś? Ile napisałeś kartek czy listów?

- Proszę posłuchać, panie Hollis. Wiem, że byłem beznadziejnym ojcem...

- Jasne, że byłeś.

- ...Ale nie jestem tym samym człowiekiem, jakim byłem, zanim Angeli i ja zerwaliśmy ze sobą i przeprowadziłem się. Nauczyłem się kilku rzeczy, odkąd jestem na swoim. Dorosłem.

- Czyżby?

- Tak, proszę pana. Wiem, że pan w to nie wierzy i nie mogę za to pana winić, ale zależy mi na Angeli i na moim synu. Nigdy mi nie przestało zależeć. I teraz... Jestem gotów stać się prawdziwym ojcem dla Kenny'ego. Naprawdę. Angela musiała panu powiedzieć o pieniądzach, które przez ostatnie kilka miesięcy wysyłałem na jego utrzymanie.

- Czy to dla ciebie oznacza bycie ojcem? Wysyłanie co miesiąc czeku na dwieście dolarów?

- Nie, proszę pana - odrzekł Pierce. - To dlatego tu jestem. Chcę od tej pory być częścią jego życia.

- Ot tak, po prostu. I dlatego, że tak twierdzisz, mamy cię przyjąć z otwartymi ramionami?

- Nie oczekuję tego. Jedyne, o co proszę, to żeby wszyscy dali mi szansę, bym mógł udowodnić, jak bardzo się zmieniłem.

- Masz kiepskie wyczucie czasu, Pierce. Twierdzisz, że siostra ci powiedziała o Davidzie Rakubianie. Ale w rzeczywistości nie zdajesz sobie nawet w połowie sprawy z tego, jak bardzo zła jest sytuacja. Angela stara się poradzić sobie z najpoważniejszym kryzysem w swoim życiu i twoje pojawienie się i próba ponownego wkupienia się w jej łaski może tylko pogorszyć sprawę.

- Nie zrobiłbym niczego, co mogłoby jej przysporzyć kłopotów. To ostatnie, czego bym chciał.

- To, co ty chcesz, nie ma znaczenia. Liczy się to, co jest najlepsze dla niej i dla chłopca.

- Skąd pewność, że to nie mógłbym być ja?

- Świadczy o tym twój życiorys.

- Mówiłem panu, zmieniłem się. Naprawdę.

- Zaczynaj to udowadniać, kiedy sprawa z Rakubianem się skończy. Do tego czasu zostaw ją i Kenny'ego w spokoju.

- Kenny jest moim synem...

- I moim wnukiem. Ja nie zniknąłem z jego życia na osiemnaście miesięcy. Ty tak. To ja byłem na miejscu, gdy mnie potrzebował.

- Nie chcę z panem walczyć, panie Hollis.

- Więc trzymaj się od mojej rodziny z daleka.

- Tego nie mogę zrobić - odparł Pierce. - Przykro mi, ale nie mogę - już nie. Oni są też moją rodziną.



- Posłuchaj mnie...

- Nie, proszę pana. Proszę tylko powiedzieć Angeli, że byłem i że zatrzymałem się u Rhony i jej rodziny. Zrobi pan to?

- Nie.

- Zobaczę się z nimi, z nimi obojgiem. Czy się panu to podoba, czy nie...

Złość Hollisa zaczęła się z niego wylewać. Ruszył do przodu, napierając na Pierce'a, ale nie dotykając go. Był zaskoczony, że chłopak nie dał się zastraszyć.

- Jeśli będziesz się jej naprzykrzał, w jakikolwiek sposób przysporzysz jej zmartwień, będziesz miał ze mną do czynienia. A teraz wynoś się, zanim sam cię wyrzucę.

Pierce patrzył mu w oczy przez dobrych dziesięć sekund, zanim odwrócił się i powoli odszedł w stronę pickupa.

„Niech go szlag!” - pomyślał Hollis. Po osiemnastu miesiącach i w najgorszym możliwym momencie. Może Pierce rzeczywiście się zmienił, dorósł trochę i nauczył się brać odpowiedzialność za siebie i rodzinę. Te brązowe oczy nie były tak łagodne jak kiedyś. Ale nadal był pieprzonym nieudacznikiem. Niesamowite, jak taka dobra, trzeźwo myśląca dziewczyna jak Angela mogła mieć taki kiepski gust, jeśli chodzi o mężczyzn.

Zostawił samochód tam, gdzie go zaparkował, i wszedł na ganek. I to, co znalazł pod drzwiami, sprawiło, że Ryan Pierce wywietrzył mu z głowy. Znowu kwiaty. Duża, efekciarska kompozycja, żółte i czerwone róże, z pół tuzina innych gatunków kwiatów, włączając w to orchidee, wszystko ułożone w wazie, która musiała ważyć ze dwa kilo. Całość warta co najmniej jakieś sto dolarów. I to nie wszystko. Było tam również białe, podłużne pudełko, z tą samą nazwą lokalnego kwiaciarniaka na opakowaniu.

Wyrwał kopertę z imieniem Angeli z długich, plastikowych widełek wystających z bukietu. Mało co jej nie otworzył, myśląc, że zanieś całe to słodko pachnące gówno do garażu, nim Angela czy Cassie wrócą do domu, włoży do torby i ukryje w pojemniku na śmieci, tam, gdzie jego miejsce. I tak mógł przewidzieć treść wiadomości. Ale wtedy, pod wpływem impulsu, by się przekonać, że ma rację, wyszarpnął kartkę z koperty. *Nikt nie ma większej miłości*. Niedokładnie tak sformułowane, jak sobie wyobraził, ale coś koło tego.

Gniotąc kartkę, schylił się, by podnieść białe pudełko. Równie dobrze je także może otworzyć. Miał je już w rękę, zanim uświadomił sobie, że na nalepce z adresem zamiast imienia Angeli widnieje: „Pan Jackson Hollis z małżonką”.

Zerwał wieko. Gotował się z wściekłości, stojąc i patrząc na to, co leżało w środku - wieniec pogrzebowy z jedwabną wstążką i kartką, na której małym, starannym pismem było napisane: *Ze szczerymi kondolencjami z powodu straty waszych bliskich...*

Kiedy Angela i Kenny wrócili do domu, siedział w salonie, rozparty w swoim dużym, skórzanym fotelu. Trwał tam już od pewnego czasu, bez ruchu i tak bardzo wewnątrznie skupiony, że nie zdawał sobie sprawy z otaczającej go rzeczywistości. Zagubiony i sam na sam ze swoimi myślami, blakając się wśród cieni. Nie, nie całkiem sam. Był tam też Rakubian i Pierce, a także jego stary ze swoimi surowymi oczami, ustami wiecznie pełnymi krytyki i z niezadowoleniem wyciekającym z niego jak zjełczały olej. I mama - jedyny powracający jej obraz, którego nigdy nie mógł odpędzić, i który po trzydziestu sześciu latach był tak wyraźny w każdym szczególe, jakby wydarzyło się to wczoraj.

Tamtego lata miał dziesięć lat, był w szpitalu po raz pierwszy w życiu; zapachy lekarstw, zapachy chorych, zapachy śmierci sprawiały, że kręciło mu się w głowie - przyglądał się mamie leżącej w tym białym łóżku, w białym pokoju i myślał: „Wygląda na taką małą, jak tak tu leży. Wygląda tak, jakby wsadzili ją do garnka, ugotowali i skurczyli”. Także jej głos, mówiący: „Tylko się nie martw, kochanie, będę się czuć dobrze. Będę jak nowo narodzona po kilku tygodniach, zobaczysz”, był skurczony, słaby, pigmejski. A on był tak przestraszony, widząc ją w tym stanie, że wyrwało mu się: „Czy oni muszą cię otwierać, mammo?” I jego stary górujący nad wszystkim, wielki jak dąb, mrugający tymi swoimi surowymi oczami i mówiący krytycznymi ustami: „Tylko w ten sposób mogą wyciągnąć raka ze środka. Przestań pochlipywać, chłopcze. Nic się nie stanie twojej mamie, poza tym, że nie będzie chora, jak już będzie po wszystkim”.

Umarła na stole operacyjnym.

Zabili ją na stole operacyjnym.

Zawieźli ją do wyszorowanego, białego pokoju pełnego świateł i rur, i błyszczących instrumentów, i otworzyli ją, i miała krwotok, miała jakiś rodzaj wstrząsu spowodowanego narkozą i umarła, i nigdy więcej jej nie zobaczył, bo nie mógł spojrzeć na nią na pogrzebie, zamknął oczy, kiedy przechodził obok trumny - nie mógł znieść widoku jej martwej, było dostatecznie trudno pamiętać ją zgotowaną i skurczoną w tamtym białym pokoju z zapachami lekarstw, choroby i śmierci.

W jego przypadku sprawy nie potoczą się w ten sposób. Nie zamierzał umrzeć na przeklętym stole operacyjnym z pociętym ciałem, ani w ogóle w szpitalu, jeśli miał na to jakiś wpływ. Dla niego operacja nie wchodziła w grę. Nie będzie żadnej prostatektomii, żadnej brachyterapii - leczenia polegającego na wszczepieniu promieniotwórczych ziaren. Żadnej resekcji przez cewkę moczową, tej obiecującej procedury operacyjnej, podczas której wsuwają ci narzędzie z maleńką, drucianą pętelką przez twojego ptaszka i w dół do prostaty, by zdrapać komórki rakowe. Radioterapia... Dobra, w porządku, to mógł znieść, mimo że w

ostatecznym rozrachunku mogło to utrwalić jego impotencję. Terapia hormonalna też mogłaby być. Ale nie pozwoli Stanowi Otaki, albo innemu chirurgowi, dostać się do środka jego ciała. Zresztą operacja nie dawała żadnych gwarancji. Nawet jeśli ją przeżył, rak mógł wciąż się rozprzestrzeniać i zabić go prędzej czy później...

Nie słyszał, jak geo wjechał na podjazd, nie zdawał sobie sprawy, że są w domu, dopóki nie weszli przez frontowe drzwi. Pierwszy do domu wpadł Kenny, zobaczył go, wykrzyknął: „Dziadku!” I podbiegł do niego. Rzucił mu się w ramiona z odległości jakiegoś pół metra i gdyby Hollis go nie złapał, skuliwszy się i wykonawszy lekki obrót ciałem, oberwałby kolanem tam, gdzie najbardziej by to mogło zaszkodzić jego prostaty. Sześć tygodni temu, po chodzeniu u Rakubiana przez taki długi okres czasu na pasku, chłopiec był cichy, płochliwy, kurczowo trzymał się mamy. Teraz znów był dzieckiem, jakim był przed małżeństwem - wulkanem energii, bezustannym gadułą. To niesamowite, jak szybko dzieci w jego wieku są w stanie dojść do siebie po złym doświadczeniu, jeśli są z niego wyrwane, zanim pojawi się trwały uraz.

- Cześć, tygrysie. Czym jesteś tak podniecony?

- Cały dzień grałem z Jimmym Eilersem w gry komputerowe na jego Mac-u - wyjaśnił Kenny. - On ma nowiutkiego Mac-a, to znaczy, jego mama ma. Tylko pomarańczowego, fuj! Ja lubię borówkowy. Borówkowy jest super!

- Naprawdę? A kto to jest Jimmy Eilers?

- Syn Joyce Eilers - odparła Angela, stając w drzwiach. - Ona jest ze mną w grupie.

- To ta, co ma rodzinę w Utah?

- Och, mama ci powiedziała o tym. Nie, tamta nazywa się April Sayers.

- Wygrałem z nim wszystkie partie - opowiadał Kenny. - To znaczy, pokonałem go w każdej grze. No, w prawie każdej. Mówię ci, zajebicie! Super! Ale ekstra, stary, nie do wiary!

- Skąd znasz takie powiedzonka? - zaniepokoił się Hollis. - Od Jimmy'ego?

- Jego siostra go nauczyła. Ma dziesięć lat, nosi okulary i ma duży tyłek.

Angela zareagowała: - Kenny, nieładnie tak mówić o Tinie.

- No, ale to prawda. Jest gigantyczny, człowieku! Fantastyczne półdupki.

Hollis postawił go na nogi. - Idź, weź sobie colę. Wyglądasz na takiego, co chętnie by się jej napił.

- Eee tam, nie chce mi się pić. Wypiłem sześć coli z Jimmym.

- Więc idź na górę się pobawić. Chcę pogadać z twoją mamą.

- Sprawy dorosłych?

- Sprawy dorosłych.

- W porządku. Mamo, czemu my nie mamy Mac-a?

- Nie stać nas teraz. Kiedyś sobie kupimy.

- A czy mogę odpalić twój wyjarany, stary komputer?

- Odpalić! - Angela przewróciła oczami. - Tak, nie ma sprawy. I wcale nie jest wyjarany, jest całkowicie sprawny...

Kenny nie słuchał, już biegł do przedpokoju. Wydał z siebie okrzyk i pobiegł po schodach na górę. Sposób, w jaki to zrobił, przypomniał Hollisowi Teddy'ego, nierozgarniętego brata z filmu „Arszenik i stare koronki” i jego „Do ataku!”.

Angela usiadła w fotelu Cassie, podwinęła nogi pod siebie.

- O co chodzi, tato? - zapytała nieufnie.

- Rozmawiałem dziś rano z Erikiem. Mieszkanie w Bostonie odpada.

- A niech to!

- Nie patrz tak na mnie - nie mam z tym nic wspólnego. Ci rodzice jego kumpla zmienili zdanie, kiedy się dowiedzieli, czemu chcesz tam zamieszkać.

Westchnęła, przycisnęła kciukami kąciki oczu. - Chyba nie powinnam się dziwić. Brzmiało zbyt dobrze, żeby mogło coś z tego wyjść.

- Utah może być lepsze. Jest bliżej niż Boston.

- Utah też może nie wypalić.

- Jak to?

- Rodzina April nie ma za wiele miejsca. Mieszkają w parku przyczep kempingowych.

- Więc nie byliby skłonni cię przyjąć na jakiś czas?

- Może będą. April nie jest pewna.

- Kiedy będziesz wiedziała?

- Jak tylko ona z nimi pomówi. Jeśli odpowiedź będzie na nie...

- Możesz zostać tutaj.

- Tato...

- No dobra, zapomnij, co powiedziałem. A gdzie w Utah?

- Wolalabym nie mówić. Nawet jeśli tam pojedę, lepiej, żebyście nie wiedzieli dokładnie, ani ty, ani mama, gdzie jestem.

Musiał znów iść do toalety. Nie ruszył się jednak z miejsca, tylko skrzyżował nogi.

- Twój brat przyjeżdża na weekend - oznajmił. - Głównie po to, żeby cię zobaczyć.

Wywołało to na jej twarzy uśmiech. Miała taki promienny uśmiech, jak jej mama. Kiedy obie były szczęśliwe i śmiały się, rozświetlały cały pokój.

- Kiedy przyjeżdża?

- Będzie tu jutro gdzieś w porze kolacji.

- To już tak dawno, jak nie byliśmy wszyscy razem. Chciałabym tylko... No cóż...

- Wiem - odparł. I potem dodał: - W zasadzie powinienem też ci powiedzieć, że nie tylko Eric chce cię zobaczyć. Spotkałem twój pierwszy eks kręcącego się po okolicy, kiedy wróciłem do domu dziś po południu.

- Ryana? O Boże, on jest *tutaj*?

- Czemu nie powiedziałaś nam, że przyjeżdża?

- Nie spodziewałam się go tak prędko... Myślałam, że już nas tu nie będzie, kiedy się pojawi. Nie mówiłeś mu chyba, że zabieram ze sobą Kenny'ego?

- Nie. Co do mnie, to sądzę, że to nie jego sprawa.

- Chciałam mu o tym powiedzieć, ale się bałam.

- Dlaczego? Chyba nie starałby się ciebie zatrzymać?

- Nie wiem, mógłby. Chce być z powrotem ojcem dla Kenny'ego, stać się częścią jego życia.

- Mnie też to bez przerwy powtarzał. To, i jak bardzo się zmienił. Nie wierzę w to.

- Myślę, że naprawdę się zmienił, tato. Mam taką nadzieję. Nie jest dobre dla Kenny'ego, że dorasta bez ojca, bez swojego prawdziwego ojca.

- Nie musisz się z nim widzieć ani pozwolić mu, żeby widział się z chłopcem przed twoim wyjazdem.

- Ale powinnam, teraz, jak już tu jest. Ma do tego prawo.

- Czyżby? Po całym tym czasie? Kenny ledwie go pamięta.

Angela przygryzła dolną wargę.

- Powiedział, gdzie się zatrzyma? U Rhony?

- ...Tak.

- Będzie dzwonił albo znowu wpadnie?

- Myślę, że albo jedno, albo drugie.

- Nie byłś... Nieprzyjemny dla niego, prawda? To znaczy...

- Posprzecaliśmy się trochę. Spodziewałaś się czegoś innego?

- Lepiej zadzwonię do April - powiedziała. Wstała i wyszła z pokoju tak szybko, że marszcząc brwi, pomyślał przez chwilę, czy to aby nie do Pierce'a poszła dzwonić z takim pośpiechem.

### *Czwartek wieczór*

Gdy był sam na sam z Cassie, Hollis powiedział: - Widziałas wyraz twarzy Angeli po jej rozmowie z Pierce'em? Gdybym nie wiedział, jak jest w rzeczywistości, myślałbym, że wciąż coś do niego czuje.

- Nic nie wiesz. Ona wciąż jest zakochana w Ryanie.

- Mówisz serio? Po całym tym czasie i po tym, jak się zachował?

- Nikt nie zachowuje się racjonalnie, gdy w grę wchodzi miłość, wiesz o tym. A już najmniej Angela.

- Na miłość boską! Od jak dawna to wiesz?

- Od zawsze.

- Czemu nic nie powiedziałaś?

- Nie widziałam powodu. Wyjechał z miasta, a ona z tego powodu wyszła za Rakubiana.

- Nie sądzisz chyba, że ona...?

- Że niby co? Wróci do Ryana?

- Raz już ją zranił. Zrobi to znowu.

- On już nie jest dzieckiem, ani ona.

- To nie jest odpowiedź.

- Jeśli Rakubian przestanie stanowić zagrożenie - powiedziała Cassie - ona, owszem, może zwrócić się do Ryana. Zależy od tego, czy on naprawdę zmienił się tak bardzo, jak twierdzi, i czy ona będzie dostatecznie pewna jego, no i jego uczuć dla niej i dla Kenny'ego. Utrzymywałyby pewnie, że to dla dobra chłopca, ale w równym stopniu byłoby to ze względu na nią samą.

Tak jakby nie miał dostatecznie dużo zmartwień i bez tego...

## **6**

### *Piątek rano*

Kancelaria adwokacka Rakubiana mieściła się na Harrison Street w South Beach, w czasach, kiedy San Francisco było kwitnącym miastem portowym, dzielnicy składów niedaleko Embarcadero, a obecnie dzielnicy nowobogackiej mieszaniny ekskluzywnych restauracji i klubów, małych przedsiębiorstw, profesjonalnych biur, drogich mieszkań własnościowych i

mieszkań zaadaptowanych. Stara, dwupiętrowa konstrukcja powstała jako zaplecze dostawcy okrętowego, przez dziesięciolecia służyła za składy towarowe i na początku lat osiemdziesiątych została przekształcona w budynek biurowy i poddana renowacji. Architekci nie napracowali się nad projektem. „Konwencjonalna” było najuprzejmiejszym sformułowaniem opisującym fasadę. To samo odnosiło się do wielu innych budynków w okolicy, według fachowej opinii Hollisa.

Jego zegarek wskazywał osiem po dziewiątej, kiedy skręcał w Harrison. Tego ranka ruch był większy niż zazwyczaj, zarówno w mieście, jak i na dojazdówkach. Nadzieje, jakie żywił na dotarcie na miejsce przed Rakubianem, podjęcie do niego na ulicy zamiast bycie zmuszonym do wygłoszenia swojej przemowy w budynku kancelarii, dawno się rozwiały. Gnojek był obsesyjnie punktualny. Już jest przy biurku, chyba że miał w planach wczesne stawienie się w sądzie.

O tej godzinie parkowanie na ulicy w sąsiedztwie było jeszcze możliwe. Hollis doprowadził swojego lexusa na wolne miejsce, wyłączył silnik i chwilę nie wysiadał, w myślach powtarzając to, co powie Rakubianowi, a co przerabiał już z tuzin razy zeszłej nocy i dziś rano. To ta delikatna część planu. Jeśli nie wybrnie z niej jak należy, reszta stanie się bezużyteczna.

Chciałby, żeby istniał bezpieczniejszy sposób, by podejść Rakubiana. Najlepiej byłoby na ulicy. Przeklął sam siebie za to, że nie wyszedł z domu wcześniej. Ponowne wkroczenie do tego biura, po tyradzie sprzed tygodnia, która prawie mu się wymknęła spod kontroli, było wliczonym ryzykiem. Mogło zagrać na jego korzyść, jeśli tym razem zrobi stosowne wrażenie na sekretarce i asystentce, ale i tak ściągało na niego uwagę.

Teraz nie było innego wyjścia. Zadzwonienie do niego do pracy czy do domu byłoby durnym posunięciem. Z tego, co wiedział, Rakubian nagrywał każdy telefon - pasowało to do jego charakteru - a nie mógł pozwolić sobie na ryzyko, że to, co powie, zostanie zachowane na taśmie. Jeśli pojechałby do St. Francis Wood dziś wieczorem, nie ma żadnej gwarancji, że Rakubian będzie w domu. I nie chciał ryzykować, by znów go widziano w tamtej okolicy, jeśli mógł tego uniknąć.

„Przestań grać na zwłokę - przykazał sobie. - Odtąd wszystko, co zrobisz, niesie z sobą ryzyko”.

Wysiadł z samochodu, przedostał się przez ruch uliczny, wszedł do budynku. Windą na ostatnie piętro. Kilka głębszych oddechów przed drzwiami z napisem „David Rakubian, Adwokat”, potem wkroczył do środka z ramionami lekko przygarbionymi, z twarzą starannie upozowaną, by oddawała zarówno niechęć, jak i powściągliwość.

Apartament był mały - poczekalnia, dwa biura, zaplecze biurowe i pokój z kserokopiarką - zaprojektowany, by odzwierciedlać zawodowe kompetencje. Stonowane kolory, minimum mebli i dekoracji, żadnych dodatków jakiegokolwiek rodzaju. Poczekalnia była pusta, poza atrakcyjną, młodą sekretarką, Janet Yee za biurkiem. Drzwi do biura Rakubiana były zamknięte. Gdy podchodził bliżej, uchylone drzwi do drugiego gabinetu pozwoliły Hollisowi dostrzec przy biurku Valerie Burke o wyglądzie jastrzębia.

Profesjonalny uśmiech Chinki zastygł na jej twarzy, kiedy go rozpoznała, a potem stopniał do miny pełnej niepokoju.

- Och! - wykrztusiła. - Pan, hmm, Hollis.

- Proszę się nie martwić, nie przyszedłem, by robić kolejną scenę. Muszę zobaczyć się z panem Rakubianem, jeśli jest u siebie.

- Jest pan umówiony?

- Nie, nie jestem.

- No cóż, jego rozkład zajęć na dziś rano jest przepelniony...

- Jeśli jest w biurze, proszę mu powiedzieć, że tu jestem i że to ważne, żebym z nim pomówił. Bardzo ważne.

- Nowa porcja oskarżeń i gróźb, panie Hollis?

Odwrócił głowę. Asystentka prawna stała w drzwiach swojego biura - chuda, męska brunetka w garniturze w męskim stylu, ze skrzyżowanymi na piersiach ramionami, której oczy zza okularów w złotej oprawce emanowały dezaprobatą.

- Wprost przeciwnie - odrzekł. - To, co mam tym razem do powiedzenia, jest tym, co on chętnie usłyszy.

- Czyli?

- To sprawy między mną a nim. - Spojrzał ponownie na sekretarkę. - I co, pani Yee?

Zerknęła na Valerie Burke, jakby szukając potwierdzenia, podniosła słuchawkę i wcisnęła guzik.

- Pan Jack Hollis do pana. Mówi, że to bardzo ważne. - Chwila ciszy. - Nie, proszę pana, pani Rakubian nie ma z nim.

Pani Rakubian. Sam dźwięk tych słów drażnił Hollisa.

- Nie, proszę pana, nie jest. - Chwila ciszy. - Rozumiem, proszę pana. - Pani Yee odłożyła słuchawkę i powiedziała chłodno do Hollisa: - Pan Rakubian przyjmie pana. Proszę wejść od razu.

Obie kobiety patrzyły, jak przechodził przez pokój. Czuł ich spojrzenie na plecach. Nie winił ich za brak zaufania po tym, jak się wściekł podczas swojej ostatniej wizyty. Jeśli



Rakubian powiedział im cokolwiek o sytuacji, było to zniekształcone, by pozować na pokrzywdzoną stronę i przedstawić Hollisa jako przeszkodę na drodze do pojednania.

Otworzył drzwi z napisem „Prywatne” bez pukania, wszedł do środka i zamknął je za sobą.

Biuro Rakubiana było prawie tak duże, jak poczekalnia, tak samo funkcjonalne, ale z odciskiem jego czarnego piętna. Jedna ściana pokryta książkami prawniczymi, rząd okien po przekątnej z widokiem na Ferry Building i zatokę w oddali, na drugiej ścianie replika jednego z „czarnych malowideł” Goi. I na postumencie rzeźby greckiej bogini Pallas Ateny w hełmie oraz przycupnięty trzydziestocentymetrowy, czarny kruk. Aż dziw, że nie powiesił krukowi na szyi szyldu z napisem „Nigdy już!”

Rakubian stał za swoim ciemnym, mahoniowym biurkiem, sztywny i prosty, bez określonego wyrazu na śniadej twarzy. Nie był specjalnie wysoki, ale sprawiał takie wrażenie, patrząc z góry na wszystkich i wszystko swoimi oczami czarnymi jak smoła. Jego włosy i brwi też były czarne, grube i szorstkie jak sierść zwierzęcia. Kwadratowa szczęka, orli nos, błądy uśmiech, kiedy miał ochotę się nim posłużyć. Kobiety uważały, że był przystojny, ale jeśli poświęciłeś czas na zanalizowanie tej powierzchowności, mogłeś zobaczyć, co leżało pod spodem - wijące się i pełzające jak robaki. Jedno długie spojrzenie na niego, jak tam stał, i Hollis poczuł, jak rośnie w nim nienawiść. Czuł jej smak w głębi gardła, gorący i metaliczny.

- Po co przyszedłeś, Hollis? - Żadnego wstępu, żadnych pozorów. Głęboki głos był neutralny, poza podtekstem pogardy, która zawsze tam była, od pierwszego momentu, kiedy się spotkali. *Homo* nadrzędny zwracający się do *homo* podrzędnego. - Nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia.

- Chciałbym, żeby to była prawda, ale tak nie jest. Przyszedłem ci powiedzieć, że dostaniesz to, co chcesz.

- Tak?

- Angela się poddaje. Osłabiłeś ją do tego stopnia, że wydaje się jej, że nie ma innego wyjścia.

Nic nie zmieniło się w wyrazie twarzy Rakubiana czy w jego zachowaniu. Nie był zaskoczony ani zadowolony, nie poczuł też ulgi, bo dokładnie tego się spodziewał, prędzej czy później.

- To czemu nie przyszła z tobą? - zapytał. - Sama albo z Kennethem?

- Nie jest jeszcze gotowa.

- Znaczy, że ty nie jesteś gotów na to pozwolić?

- Ona podejmuje swoje własne decyzje - odparł Hollis. - Uważam, że to duży błąd. Próbowałem ją od tego odwieść, ale ona nie chce mnie już więcej słuchać. Ale są pewne warunki, nim się z tobą pojedna. Jej warunki, nie moje.

- Jakie?

- Najpierw spotkanie z tobą - nie sam na sam, ale w mojej obecności. Żeby ustalić pewne sprawy ku jej satysfakcji. Głównie, żebyś przyrzekł nigdy więcej nie podnieść na nią ręki, z jakiegokolwiek powodu. Na piśmie, z podpisem i przy świadkach.

- Taki dokument nie jest prawnie wiążący.

- Ona zdaje sobie z tego sprawę, i ja też. Czy mimo to jesteś skłonny go podpisać?

- Nigdy nie znęcałem się nad Angelą - odpowiedział Rakubian. - Dyscyplina to nie znęcanie się.

Hollis trzymał swoje ręce płasko przy udach, by nie zacisnęły się w pięść. - Albo zgodzisz się na koniec fizycznej *dyscypliny*, pisemnie, albo Angela nie da ci kolejnej szansy. Nie pozwolę jej, żeby ci ją dała. Jeśli twoja odpowiedź brzmi nie, powiedz to od razu i wychodzę.

- Powiedziałeś swoje, Hollis.

- Podpiszesz zobowiązanie? Dotrzymasz go?

Rakubian wzruszył ramionami. Jakby pomysł ten wydał mu się śmieszny i tak czy owak bez większego znaczenia. - Kocham Angelę. Zrobiłbym dla niej wszystko.

- O ile ona zrobi to, co ty chcesz.

- Nie rozumiem, o czym mówisz...

- Park tamtego wieczoru. Pamiętasz, co jej powiedziałeś?

- Tak na poczekaniu, nie bardzo.

- Groziłeś jej. I mojemu wnukowi. Powiedziałeś, że raczej zabijesz ich oboje, niż dasz za wygraną.

- W ferworze uczuć mężczyzna mówi różne rzeczy, które nie zawsze ma na myśli.

- Tak samo tłumaczysz sobie *robienie* różnych rzeczy w ferworze uczuć?

- Nigdy nie skrzywdziłbym mojej żony i jej syna.

- W żadnych okolicznościach?

- Angela jest moim życiem, kocham też Kennetha, jakby był moim synem. Za kogo ty mnie masz, Hollis?

„Za pierdolonego potwora”.

- Ona chce, żebyś obiecał, również na piśmie, że nigdy więcej nie będziesz groził jej albo Kenny'emu, albo komukolwiek z naszej rodziny.

Tym razem Rakubian westchnął. - Czy to wszystko?

- Tak, z wyjątkiem tego, że jeśli w jakikolwiek sposób naruszysz umowę, natychmiast od ciebie odejdzie i nigdy więcej jej nie zobaczysz. Masz to zagwarantowane.

Rakubian wyszedł zza biurka, podszedł do jednego z okien, stał, wyglądając przez nie. Miał koci sposób poruszania się, zwinny i posuwisty, jak drapieżnik tropiący swoją ofiarę. Gdy go obserwował, Hollis ponownie poczuł przyływ nienawiści.

Po upływie jakiejś minuty Rakubian odwrócił się do niego. Jakby nie było przerwy w rozmowie, powiedział: - W zamian żądam podpisanego przez ciebie dokumentu, że od tej pory zostawisz Angelę i mnie w spokoju. Bez jakiegokolwiek wtrącania się w naszą relację.

Hollis udał, że to rozważa. - W porządku, jeśli to konieczne, żebyś traktował moją córkę jak człowieka, a nie jak przedmiot.

- Duża przesada, czy wierzysz w to, czy nie. Nigdy nie myślałem o Angeli jak o przedmiocie posiadania. Szanuję jej uczucia i jej inteligencję.

„Gówny prawda. Jedyłą inteligencję, którą szanujesz, jest twoja własna. Jedyne uczucia, jakie cię obchodzą, to te, które żywisz do samego siebie”.

- Więc umowa stoi? Spotkasz się z nami?

- Tak, ale najpierw chcę mówić z Angelą. Na osobności.

- Czemu?

- Żeby usłyszeć, jak sama przyznaje, że się opamiętała. Może do mnie zadzwonić tutaj czy do domu wieczorem...

- Nie - odparł Hollis.

- Nie?

- Nie będzie z tobą rozmawiać przez telefon. Jedyńie osobiście.

- To jej warunki czy twoje?

- Jej. Potwierdzi to, kiedy się spotkamy.

Brak odpowiedzi. Te czarne oczy były zimne jak śmierć.

- Więc?

- Gdzie i kiedy?

- W naszym domku w Tomales Bay. O drugiej po południu jutro.

- Czemu nie tutaj? Albo w moim domu, albo w twoim?

- Tomales Bay to neutralny grunt. Akurat tak się składa, że ona tam jest od wczoraj rana.

- Czyżby? Sama?

- Nie sama. I nie z Kennym. Więc wybij sobie z głowy jechanie tam przed drugą po

południu jutro.

Rakubian odwrócił się do okna. Przemyślał to. „No dalej, niech cię szlag, poszło dobrze, wyszło tak, jakbyś miał dostać dokładnie to, na co myślisz, że zasługujesz, powiedz tylko tak...”

- Wolałbym się spotkać tutaj - powiedział Rakubian.

„Cholera!” - Dlaczego?

- Zobowiązania mogą być tutaj łatwiej zaciągnięte.

- Nie są legalnie wiążące, czy nie tak powiedziałeś? Co to za różnica, gdzie zostaną napisane albo na czym? Przywieź ze sobą swój papier listowy, jak chcesz. Na litość boską, Rakubian, nie przygotowujemy sprawy sądowej ani nie składamy zeznań! Staramy się uratować twoje małżeństwo.

- Jestem tego świadomy.

- Więc w domku. O drugiej. Ona tak chce... Nie możesz raz nagiąć się trochę, by dostać to, czego ty chcesz?

Słaby uśmiech. Zadowolony z siebie, pobłażliwy. Hollis prawie mógł czytać w jego myślach: „Zawsze dostaję to, czego chcę”.

- Dobrze więc - powiedział ten sukinsyn. - O drugiej w Tomales Bay. Jak dojadę do tego twojego domku?

W samochodzie, po drodze przez miasto do mostu Golden Gate, Hollis skorzystał ze swojego telefonu komórkowego, by zadzwonić do North Bay Transit w Santa Rosa. Kobieta, która odebrała, odpowiedziała, że tak, w niedzielę było regularne połączenie pomiędzy San Francisco a Los Alegres. Autobusy wyruszały ze Stacji Transbay, Mission Street i First Street co pół godziny, od południa do siódmej wieczorem.

W porządku. Jeszcze jedna sprawa organizacyjna do załatwienia i problem, co zrobić z samochodem Rakubiana, będzie rozwiązany.

Zajął się tym ustaleniem, jak tylko dotarł do Mannix & Hollis. Gabe był na spotkaniu, co ułatwiało mu podejście Glorii. Łatwo było upleść kolejną małą sieć kłamstw wokół kogoś, kto był mu bliski.

- Przykro mi, że o to pytam - powiedział - ale czy nie miałabyś jakichś dwóch godzin w niedzielę rano?

- A co takiego jest w niedzielę rano?

- Potrzebuję podwózki do Tamales Bay. Do naszego domku. Fundamenty trochę puszczają, trzeba je podeprzeć. Umówiłem się tam z lokalnym wykonawcą w południe. A

teraz nawala mi samochód.

- Nieszczęścia chodzą parami - rzuciła Gloria współczująco.

- On ma coś rano, mam na myśli tego robotnika, więc nie może przyjechać po mnie.

Cassie i Angela też są zajęte. Pewnie mógłbym to odwołać...

- Och, nie ma problemu. Chętnie to zrobię. Zawsze wracamy z kościoła gdzieś o wpół do jedenastej i nie mamy planów na później. Myślisz, że jak długo to potrwa?

- Nie musisz na mnie czekać. Tylko mnie tam zawieź. Wykonawca odwiezie mnie do domu, kiedy skończymy.

- Jesteś pewien? Nie mam nic przeciwko poczekaniu...

- Zawieszenie mnie tam jest już wystarczającym nadużyciem twojej uprzejmości.

- Wielkie mi nadużycie, akurat! Podjechać po ciebie do domu o jedenastej?

Byłoby lepiej, gdyby to było gdzieś indziej niż w domu, ale nie przychodziło mu do głowy ani inne miejsce, ani inna wymówka.

- O jedenastej będzie w sam raz. Dzięki, Gloria.

- *De nada*. Od czego ma się przyjaciół?

### ***Późne popołudnie w piątek***

Kiedy wrócił do domu, Cassie już tam była, siedziała w salonie z czujnym Fritzem u stóp, z otwartym na kolanach jednym z ich dużych, zbindowanych spiralą albumów ze zdjęciami. Angela i Kenny byli na górze. Jak wyjaśniła mu Cassie, wróciła do domu wcześniej, bo zgodziła się pracować jutro do drugiej w klinice, żeby jeden z weterynarzy mógł wybrać się w odwiedzin do chorego krewnego. Skorzystał więc zaraz z okazji, żeby wspomnieć, że on także jutro po południu będzie pracował, jakieś zmiany projektu w ostatniej chwili na ich budowie w Larkfield. Skomentowała jedynie, że szkoda, że nie będą mogli spędzić całego dnia z dziećmiakami.

Wskazał na album. - Co cię naszło?

- Tak po prostu. Chyba jestem w nostalgicznym nastroju.

- Który to album?

- Chodź, usiądź i sam zobacz.

- Yosemite - powiedział, siadając obok niej.

- I Mono Lake, i Virginia City. Jedne z naszych najlepszych wycieczek.

- Pamiętam. To musiało być... Jak dawno? Prawie dwadzieścia lat temu?

- Osiemnaście. Angela miała siedem lat, Eric cztery.

- Czas leci - orzekł i potrząsnął głową.

Przerzucali kartki, wskazując na poszczególne zdjęcia, które wywoływały wspomnienia: El Capitan, hotel Ahwanee, Tuolumne Meadows, wieże tufowe w Mono, knajpa Wiadro Krwi w tym starym, górniczym mieście... Kiedy zamykała album, Hollis czuł się prawie spokojnie. Wypełniła go fala czułości. Przechylił jej podbródek w swoją stronę i głęboko ją pocałował.

- Och - powiedziała - za co to?

- Za dwadzieścia sześć lat znoszenia mnie.

- I odliczanie wciąż trwa.

- Tak, wciąż trwa. Kocham cię, Cass.

- Ja ciebie też.

- Dlaczego? To znaczy, co ty we mnie w ogóle widziałas?

- Nie masz pojęcia, ile razy sama zadawałam sobie to pytanie.

- Mówię poważnie.

- No cóż, z całą pewnością jesteś świetny w łóżku.

- Poważnie, Cass.

- No dobrze. Jesteś czuły, wrażliwy, troskliwy. Dobry człowiek we wszystkich aspektach, które mają znaczenie. Jesteś też uparty jak osioł, humorzasty i skłonny do wyciągania pochopnych wniosków, ale, jak mówią, nikt nie jest doskonały.

- Ty prawie jesteś.

- Uhm. Moja lista wad jest dłuższa od twojej i dobrze o tym wiesz.

- Nie mogę wyobrazić sobie mojego życia bez ciebie. Bez dzieci.

- Oddany mąż i ojciec rodziny. To twoja kolejna zaleta.

- Naprawdę ja też tak uważam.

- Wiem o tym. Myślisz, że ja nie czuję tego samego?

- Tak. Chciałem po prostu to powiedzieć.

- Tworzymy zespół, kolego! - podsumowała. - I mamy zamiar tak trzymać przez wiele kolejnych lat.

- Przez wiele kolejnych lat - zgodził się i zastanowił, czy ona wierzyła w to choć trochę mocniej niż on sam.

### ***Piątek w nocy***

Eric zadzwonił z Colmy, położonej na południe od San Francisco, tuż przed wpół do siódmej.

Szybciej niż przewidywał, przebił się przez korki powodowane falą osób dojeżdżających do pracy w San Jose i sądził, że będzie w domu przed ósmą. Zgodzili się, że zaczekają z kolacją. Zarówno Cassie, jak i Angela były w optymistycznych nastrojach - ponieważ przyjeżdżał Eric i Rakubian zostawił ich w spokoju na jeden dzień, i jeśli chodzi o Angelę, ponieważ krewni jej przyjaciółki z Utah zgodzili się zostać ich krótkoterminowymi gospodarzami, i dlatego że spotkała się dziś z Pierce'em i spotkanie przebiegło dobrze. A przynajmniej Pierce wykazał się zrozumieniem i okazał jej serce, był dla odmiany pozytywną siłą w jej życiu.

Eric dotarł dziesięć po ósmej. Po bliższym przyjrzeniu mu się, Hollisowi spodobało się to, co widzi. Jego syn był szczupły, sprawny i opalony: tenis, jogging, piesze wędrówki. Wydawał się też bardziej pewny siebie, z dojrzewającym w nim poczuciem humoru - dwa znamiona dorosłości. Nie całkiem wyzbył się swojego nagłego, melancholijnego popadania w milczenie albo tego nieco defensywnego, bitnego nastawienia, kiedy był sam na sam z Hollisem, ale te cechy za każdym razem, jak wracał do domu, stawały się mniej widoczne. Jeśli bliskość między ojcem a synem nadal nie była tym, czym być powinna, dystans między nimi zmniejszył się na tyle, że znajdowali się na odległość dotyku. Bycie na swoim wychodziło Ericowi na dobre. Gdy miał osiemnaście lat, był trudnym chłopcem. W wieku dwudziestu jeden stawał się mężczyzną, z którego było się już prawie dumnym.

Kolacja. Każdy z nich starał się trochę za mocno, by być pogodnym, Eric zaczepiając Kenny'ego i sprawiając, że ten stawał się chichoczącym, trajkoczącym centrum uwagi. Ale napięcie wciąż istniało, niewyraźna, ale namacalna obecność przy stole, mimo że unikali wspomniania o Rakubianie czy o wyprawdzie Angeli. Mimo to dobrze było zobaczyć, jak dzieci znów się śmiały, choć częściowo był to śmiech wymuszony. Przedsmak tego, jak rzeczy będą wyglądały, kiedy zagrożenie ze strony Davida Rakubiana zostanie zneutralizowane.

„Trzymaj się tej myśli, Hollis. Jutro miej ją na podorędziu i tym razem nie będzie żadnych gorączkowych wyrzutów sumienia ani kłopotu ze zrobieniem tego, co musisz zrobić”.

Mało jednak spał tej nocy. I kiedy wreszcie udało mu się zdrzemnąć, jego sny były zroszonymi krwią krajobrazami prosto z horroru.

***Sobota po południu***

Domek w Tomales Bay był częścią jego spadku po tacie. To właśnie tutaj, mając pięćdziesiąt osiem lat, ojciec umarł nagle na zawał serca pod koniec dnia spędzonego na łowieniu ryb nieopodal Hog Island - zasłabł na pomoście po tym, jak uwiązał tam swoją jolkę, i nie było nikogo w pobliżu poza mewami, kto by zobaczył, co się dzieje. Domek, zbudowany własnoręcznie w latach pięćdziesiątych na zalesionej polaci ziemi na południe od Nick's Cove, był jego odskocznią, jego dumą i radością. Wspomnienia Hollisa z tego miejsca, z czasów, kiedy jego stary żył, były mieszane. Nigdy specjalnie mu nie zależało na łowieniu ryb czy pływaniu łódką, nie lubił być tu zaciągany na długie weekendy sam na sam z tatą. Z drugiej strony, były też i miłe chwile. Pamiętał ogromne talerze surowych i grilowanych ostryg, długie spacery po cyplu i wzdłuż wybrzeża, wylegiwanie się z książką przed płonącym kominkiem w trzypokojowej chatce, zadymionej i ciepłej w te wieczory, kiedy mgła spowijała wodę i oblepiała wilgocią okna.

On i Cassie również spędzili tu kilka miłych chwil, tuż po ślubie i w okresie, kiedy dzieci były jeszcze małe. Ale w ciągu jakichś ostatnich dziesięciu lat tych miłych chwil nie było zbyt wiele. Ani Ericowi, ani Angeli, kiedy podrośli, to miejsce nie podobało się - było zbyt odległe, pogoda zbyt często zimna i mglista - a Cassie wzięła na siebie jeszcze więcej obowiązków w klinice, miała inne zainteresowania. Domek należał teraz w głównej mierze do niego i nadal był rzadko używany. A mimo to Hollis nigdy nie zdecydował się go sprzedać. Nie bardzo sobie uświadamiał dlaczego. Częściowo, jak mu się zdawało, ze względu na dobre wspomnienia. I dlatego, że było to ulubione miejsce taty. I dlatego, że od czasu do czasu, kiedy nie był w towarzyskim nastroju, domek stawał się *jego* męskim ustroniem.

Teraz posłuży innemu celowi.

Teraz, dzisiaj, umrze tu inny mężczyzna.

Żadnych bliskich sąsiadów, drzewa osłaniające większość posiadłości od strony autostrady numer 1, osobny garaż bez okien. Och, to było idealne miejsce, a jakże, do popełnienia morderstwa... Nie, raczej do dokonania aktu samoobrony. Zastanowił się, czy będzie myślał tak samo po dzisiejszym dniu, czy będzie w stanie kiedykolwiek jeszcze tu przyjechać. Zapewne nie. W tej sytuacji słusznym posunięciem byłoby wystawienie go na sprzedaż i pozbycie się go. Kolejna część jego samego utracona. Kolejne poświęcenie.



„Co powiedziała by tata, gdyby wiedział? Do diabła - pomyślał Hollis - byłby za tym! W takiej sytuacji zrobiłby to samo - po prostu zaszarżowałby prosto przed siebie, zamiast planować. Tak jak ja to prawie zrobiłem w środę w nocy. Człowiek czynu, brać byka za rogi, skopać tyłek i nigdy nie oglądać się za siebie... Taki był Bud Hollis, pomnik zbudowany ze stereotypów. Byłby teraz ze mnie dumny, przysięgam na Boga. Bardziej dumny, że zabiłem człowieka, wyeliminowałem zagrożenie dla rodziny, niż kiedykolwiek był z powodu czegoś, czego dokonałem za jego życia czy potem”.

Hollis zwolnił, skręcił z szosy na pociętą koleinami wąską drogę dojazdową. Drzewa, głównie sosny i cyprysy, były stare i pochylone od ciągłego naporu nadmorskich wiatrów. Przejeżdżając między nimi, miał wrażenie cofania się w czasie. Domek potęgował to wrażenie - sekwojowe deski, zapadająca się linia dachu, skrzypiące pale, głęboko zatopione w mule brzegu zatoki oraz podpierające tylny taras i krzywo dobudowane nabrzeże, wszystko pokryte szarym nalotem i niezmienione - poza nowym dachem - od czasu jego dzieciństwa. Kiedy się do niego zbliżał, nie zdziwiłby się, gdyby zobaczył w drzwiach wejściowych swojego starego, wyprostowanego i ponurego, z rybacką wędką w jednej sękatą dłoń i puszką piwa Bud w drugiej.

Hollis zatrzymał się na wprost rozpadającego się garażu, długo siedział, patrząc przez prześwit między nim a chałupą stojącą nad wzburzonymi wodami zatoki. Tego dnia wiatr mocno wiał, słyszał, jak świszczą i szumiały w koronach drzew, nawet przy zamkniętych oknach czuł słonawy zapach morza. Po jakimś czasie otworzył schowek w samochodzie, wziął z niego owiniętego zamszem kolta woodsman. Posiedział jeszcze trochę, robiąc bilans samego siebie.

Pojawiło się w nim ponownie poczucie rozbicia, podenerwowanie i uczucie pustki w piersiach. Emocjonalne przyciąganie-odpychanie: determinacja i odraza, konieczność i niepewność. Przez ostatnie kilka dni zajrzał głęboko w głąb siebie i nie wątpił, że jest człowiekiem zdolnym, *in extremis*, do odebrania komuś życia. Ale nie znaczyło to, że będzie w stanie to zrobić ani że to zrobi, kiedy wybije godzina. Może znów zastygnie, a może zastrzeli Rakubiana bez najmniejszego wahania. Po prostu nie można przewidzieć tego, co zrobi. On nie będzie w pełni znał zachowań Jacka Hollisa za godzinę z okładem. Druga po południu, godzina prawdy.

Zaczął od otwarcia garażu. W środku, poza dwoma przedmiotami, o których pamiętał, że tam były - kilofem z krótkim ostrzem oraz zardzewiałą łopatą - znajdowało się niewiele rzeczy. Ukryje bmw Rakubiana w tym garażu, żeby Gloria nie zobaczyła wozu, kiedy podwiezie go tu jutro. Potem pojedzie nim do San Francisco i zostawi go na jednym z

parkingów w centrum miasta - na Union Square albo Sutter-Stockton - i wsiądzie do autobusu North Bay Transit jadącego do Los Alegres. Proste. Nikt nie zauważy go ani nie zapamięta - garaże parkingowe i autobusy to miejsca sprzyjające zachowaniu anonimowości.

Podniósł kilof, zamachnął się nim raz, żeby się upewnić, że drewno trzonka nie zbutwiało. Nie będzie miał kłopotów z użyciem go, podobnie jak łopaty. Wakacje, kiedy tata zmuszał go do pracy na swoich budowach, by go „zahartować”, przydadzą się w końcu na coś. Zaniósł narzędzia do samochodu, włożył je do bagażnika razem z innymi rzeczami, które zapakował tam tego ranka w domu. Teraz miał wszystko, czego potrzebował, a być może nawet więcej, niż mu było potrzeba. Im lepiej będzie przygotowany, tym bardziej prawdopodobne, że będzie w stanie doprowadzić swój plan do końca.

Kiedy wszedł do domku, jego drogi oddechowe zaatakowała gęsta mieszanina kurzu, stęchlizny, przesyconej solą wilgoci i rozkładu. Od jego ostatniej tu bytności minęły długie miesiące. Położył 22-kę na stole we wnęce kuchennej, otworzył składane w harmonijkę skrzydła okiennic, a potem przesuwane, szklane drzwi balkonowe, żeby wpuścić do środka światło i świeże powietrze. Widok salonu i kuchni wzbudził w nim nostalgię. Wszystko było tu takie samo, jak przed śmiercią jego starego, niektóre elementy pierwotnego umeblowania pozostały niezmienione i niewzruszenie trwały na swoich miejscach. Sears & Roebuck z lat czterdziestych, kicz z lat pięćdziesiątych. Żółto-brązowe linoleum na podłodze, wytarte w kilku miejscach. Żółty, laminowany stół jadalny i dopasowane do niego kolorystycznie krzesła, stara lodówka, dwupalnikowa kuchenka gazowa. Kanapa z tapicerką z końskiego włosia i wyściełany fotel należący do taty, materiał na obu podarty i odsłaniający tu i ówdzie wnętrze mebli. Popielnica na żelaznej nodze, brzydkie lampy, wyblakłe i kiepsko namalowane widoczki morskie, wypchana, zawieszona nad osmalonym kominkiem rybatrofeum. Ten kominek... Kopał nawet wtedy, gdy komin był przeczyszczony. W wietrzne dni, przez stary, pokrzywiony przewód kominowy wylatywał z niego na całą podłogę popiół, wydając przy tym świszczące i wyjące odgłosy. Hollis słyszał je teraz, sprawiały, że było mu zimno. „Nie mogę tego tutaj zrobić - pomyślał. - Na zewnątrz. Odgłos wystrzału przy tym wietrze nie rozniesie się”.

Stał na zbutwiałych deskach tarasu, położył ręce na balustradzie, nie opierając się o nią. Kilka łódek bielilo żaglami zatokę, jedna z nich znajdowała się blisko Hog Island, pozostałe nieopodal portu jachtowego w Inverness i dalej, blisko parku stanowego na przeciwległym brzegu. Trwał odpływ. Na piasku, daleko na południe, morze pozostawiło po sobie ławice ostryg, widoczne kilkaset metrów od brzegu. Było cicho, poza wiatrem, odgłosem mew, odległym szumem i dudnieniem samochodów na autostradzie. Spokojnie.

Hollis spojrział na zegarek - brakowało dwudziestu minut - i wszedł zaraz do środka, zostawiając rozsuwane drzwi otwarte. Odwinął woodsmana i sprawdził magazynek tak, jak go uczył jego stary. Położył pistolet na półce nad kominkiem, by nie patrzeć potem na niego, kiedy będzie siedział. Napić się? Lepiej nie. Ale mimo to poszedł do wnęki kuchennej, znalazł w szafce pół butelki bushmillsa, nalał podwójną porcję i zaniósł drinka do fotela, gdzie postawił szklanekę na metalowej popielnicy, nie wypiwszy ani łyka. Może zrobi to później, jeśli będzie potrzebował w ostatnim momencie napić się trochę dla kurażu.

Gdy tak siedział, stęchły zapach długo zamkniętego pomieszczenia wyparował. Mimo to ciekawe... Mógłby przysiąc, że co jakiś czas dochodził go słaby zapach syryjskiego tytoniu fajkowego ojca. Po siedemnastu latach? Zapach ducha. Albo i nie. Tata palił tę swoją krótką fajkę z korzenia wrzośca bez przerwy, bez wątpienia był to czynnik, który w dużym stopniu przyczynił się do jego śmiertelnego zawału serca, a stare tkaniny, jak ta na fotelu, wchłaniały i zatrzymywały zapachy. Teraz, gdy o tym myślał, przypomniał sobie inne momenty, kiedy siedział tu, i wychwycił ten sam, ulotny zapach tytoniu.

Tata. Trudna miłość - albo to, co w każdym razie uchodziło w nim za miłość - zawsze studzona przez te oczy o surowym spojrzeniu, te krytycznie skrzywione usta, osad rozczarowania. Tak bardzo starał się go zadowolić, wydawało się, że nigdy nie sprostął jego wymaganiom. Jak w przypadku polowania, łowienia ryb. „Nie masz jaj potrzebnych do męskich sportów”. Jak w przypadku wyboru zawodu. Tata chciał, by był przedsiębiorcą budowlanym, by dołączył do niego w jego firmie budowlanej. Hollis & Syn, Główni Wykonawcy. Punkt widzenia taty - budowanie było męską sprawą, projektowanie, „majstrowanie przy planach i suwakach logarytmicznych” miało w sobie coś z lekka zniewieściałego. Chciał z pół tuzina solidnych, awanturniczych, ze smykalką do sportu, złopiących piwo drzazg z tego samego co on, grubo ciosanego pnia. Zamiast tego mama dała mu tylko jednego, średniego wzrostu, niezależnego, niewysportowanego, dużo czytającego syna o upodobaniach, które w jego oczach trąciły ukrytym homoseksualizmem. „Kim ty jesteś, chłopcze? Pieprzonym pedałem?” W głębi serca nigdy nie wybaczył swojemu jedynemu synowi tego, że był taki, jaki był, zamiast być takim, jakim powinien jednak być.

- Hej, tato! - powiedział na głos. - Jak ci się to podoba jako *prawdziwy* krwawy sport? Jeśli przez to przebrnę, czy w końcu sprostam twoim oczekiwaniom? Stanę się w końcu drzazgą ze starego pnia?

Siedział pochylony do przodu na krześle, nasłuchując odgłosu samochodu Rakubiana.

Druga.

I Rakubian się nie pojawił.

Druga pięć.

Druga dziesięć.

Zdjął woodsmana z gzymsu nad kominkiem, wyszedł na zewnątrz z bronią spuszczoną wzdłuż uda i stał, spoglądając badawczo poprzez drzewa na drogę. Przejeżdżały samochody, małe, pulsujące, kolorowe i ruchome punkty, ale żaden z nich nie zwolnił, żaden nie skręcił.

Druga piętnaście.

Druga dwadzieścia.

Coś było nie tak. Gdyby Rakubian miał przyjechać, nie spóźniałby się tyle czasu. Chorobliwy maniak kontroli, zawsze punktualny... Powinien już tu być *przed* drugą, zadowolony z siebie i triumfujący, myśląc, że odzyska swoją drogocenną własność.

Do tego czasu całość zebranej przez Hollisa odwagi ulotniła się. Miał nerwy na wierzchu, rozdygotane. Czuł frustrację, złość, konsternację. A pod spodem inne emocje, te, których istnieniu nie mógł zaprzeczyć. Ulga. W sposób, w jaki człowiek skazany na śmierć musi się czuć, kiedy w ostatniej minucie zostanie mu ofiarowane tymczasowe wstrzymanie egzekucji.

Może jakiś problem na drodze, może o to chodziło. Nie, Rakubian wyjechałby z miasta wcześniej, by być pewnym, że dotrze tu na czas albo przed umówioną godziną. Wypadek? Guma albo jakaś awaria silnika? Albo... Wczoraj mimo wszystko nie dał się nabrać, zgadł, że to pułapka? Co by zrobił w takim wypadku?

Pomyślałby, że Angela jest wciąż w domu i pojechał tam za nią?

Strach odpędził inne uczucia. Usiadł ciężko na stopniu przed domem, położył obok siebie 22-kę i z futerału przyczepionego do paska wyciągnął komórkę. Zdecydował jednak, że teraz najlepiej będzie tak to zostawić. Nie było przecież telefonów z domu. To był dobry znak, czyż nie?

Telefon sam zadzwonił mu w dłoni.

- Cholera! - przeklął i dopiero za drugim razem udało mu się odebrać połączenie. - Hollis.

- Jack, to ja - wydawało się, że Cassie była zmartwiona. - Nie jestem pewna, czy powinnam ci tym zawracać głowę, ale...

- Co takiego, co się stało?

- Może nic, być może przesadzam...

- Cass, na miłość boską! Wszystko w porządku u Angeli i chłopca?

- Tak, tak, to nie o to chodzi.

- Rakubian?

- Nie, Eric. Znalazł w garażu to przekłete pudło z dowodami, przeczytał niektóre z listów Rakubiana, przesłuchał kilka taśm. Angela powiedziała, że był mocno zdenerwowany.

- Co jej powiedział?

- O to właśnie chodzi. Nic jej nie powiedział. Tylko ten wyraz jego twarzy... Wiesz, taki, jaki ma, kiedy rozmyśla. Tak intensywny, że aż ją przestraszył.

- Daj mi z nim pomówić.

- Nie ma go. Wyszedł razem z nią - Angela zabrała Kenny'ego, żeby znów zobaczyć się z ojcem. A Eric nie chciał jej powiedzieć, dokąd jedzie.

- Kiedy to było? O której?

- Ponad dwie godziny temu. Angela wróciła do domu pięć minut temu, zaraz po mnie.

- Wpół do dwunastej, dwunasta, wpół do pierwszej?

- Przed południem - określiła Cassie. - Angela nie sądzi, że Eric robi coś szalonego - to dlatego nie zadzwoniła do żadnego z nas. Ale ja nie jestem tego taka pewna. On nienawidzi Rakubiana i wciąż myślę o tym jego usposobieniu...

Usposobienie, które może być wybuchowe. Eric był zdolny do przemocy tak samo jak jego ojciec czy dziadek. I żadnego śladu po Rakubianie tu czy w Los Alegres. Przed południem... A St. Francis Wood od Los Alegres dzieliła mniej niż godzina jazdy. Eric *mógł* dotrzeć tam przed wpół do pierwszej, może nawet trochę wcześniej. Zanim Rakubian był gotów do wyjścia.

Hollis przełożył telefon do lewej ręki. Prawa była śliska od potu. Dudnienie krwi w jego uszach sprawiło, że głos Cassie dochodził do niego z daleka.

- Jack - zapytała - czy reaguję przesadnie, czy nie?

- Zapewne tak. Mam nadzieję.

- Co powinniśmy zrobić?

„Próbuj nie panikować” - pomyślał. I powiedział: - Zadzwon do przyjaciół Erica, obdzwon jego stare ulubione miejsca spotkań, wszędzie tam, gdzie myślisz, że może być. Ja zobaczę, czy mogę namierzyć Rakubiana.

- Co mu powiesz?

- Już moja w tym głowa.

Nie pamiętał numeru telefonu domowego Rakubiana, w końcu dostał go z biura informacji w San Francisco. Linia buczała, bzyczała i trzeszczała - z tuzin sygnałów, żadnej odpowiedzi, nie odezwała się też automatyczna sekretarka. Fakt, że była wyłączona, naprawdę go przestraszył. Rakubian zawsze, kiedy wychodził z domu, zostawiał ją wyłączoną.

Według Angeli, miał na tym punkcie wewnętrzny przymus. Hollis znów zadzwonił do informacji, tym razem po numer Rakubiana do pracy, i spróbował tam się dodzwonić. Tam z kolei automatyczna sekretarka była włączona. Rozłączył się od razu.

Była już druga czterdzieści. Rakubian nie przyjedzie, już dłużej co do tego nie było żadnych wątpliwości. Eric... Nie, nie może dopuścić do siebie najgorszych przypuszczeń. Jakikolwiek był powód niestawienia się Rakubiana, dalsze czekanie tutaj było bezcelowe, podobnie jak bezcelowe były wszelkie spekulacje. Pojedzie prosto do miasta, znajdzie Rakubiana, będzie koczował na jego progu, jeśli zajdzie taka potrzeba. Uspokoi swój umysł co do Erica, a potem wymyśli inny sposób, by zrobić to, co ma być zrobione.

Jechał bocznymi drogami od Marshall do Nicasio, od Nicasio przez wzgórza i w dół do autostrady 101, pędząc z nadmierną prędkością. Powtarzał sobie, że powinien zwolnić, że nie ma rzeczywistego powodu do takiego pośpiechu, mimo to na zakrętach prawie że wprowadzał lexusa w poślizg, jakby jego ciało działało niezależnie od umysłu.

Kiedy dojeżdżał do San Rafael, znów zadzwoniła Cassie. - Nigdzie nie mogę go znaleźć - zakomunikowała. - Nikt go nie widział przez cały dzień. Rozmawiałeś z Rakubianem?

- Nie odpowiada ani w domu, ani w pracy.

- O Boże, nie podoba mi się to!

- To nie musi nic znaczyć. Może być wszędzie... O ile nie jest w Los Alegres i nie nęka ciebie i Angeli.

- Nie pokazał się tutaj. Ani nie dzwonił, ani nic podobnego.

- Przynajmniej tyle.

- Wydaje mi się, jakbyś był w samochodzie. Wracasz do domu?

Zawahał się. Powiedzieć jej prawdę? Wzmogłoby to tylko jej niepokój i nie chciał, żeby wiedziała, że był dziś w pobliżu Rakubiana czy blisko jego domu. - Nie. Jestem w drodze do Paloma, jadę na spotkanie z kimś od budowy w Larkfield. Z Nickiem Jacksonem.

- Nie możesz tego przełożyć?

- Mogę, jeśli rzeczywiście jest taka potrzeba. A nie sądzę, żeby była, Cass. Eric jest impulsywny, ale wie dobrze, że nie ma co wszczynać żadnych burd z Rakubianem.

- Nie byłabym tego taka pewna...

- Ja jestem - skłamał. - Przestań się zamartwiać, wszystko będzie w porządku.

Mgła wpełzła nad miasto, zmieniając kolor nieba na zachód od Twin Peaks na

brudnosrebrzysty. Hollis skręcił w Sloat, potem w górę w St. Francis aż do Monterey, zwalniając do prawie żółwiej prędkości, kiedy zbliżał się do posiadłości Rakubiana. Wzdłuż krętej ulicy stały zaparkowane samochody, ale żaden z nich nie był jaskrawoczerwoną miatą Erica.

Minął dom w stylu hiszpańskim. Nic godnego uwagi na porośniętym roślinnością, frontowym podwórku i na widocznej części ganku. Podjazd pusty, drzwi do garażu zamknięte. Przejechał jedną przecnicę, zrobił w tył zwrot i zaparkował na zakręcie biegnącym w dół, w miejscu niewidocznym z domu. Był w trakcie wychodzenia z samochodu, kiedy przypomniał sobie o woodsmanie. Nie myślał jasno. Poczucie rozbicia było dotkliwie, tak jakby zaczynał rozpadać się wewnątrz. Jego starannie przygotowany plan już rozpadł się na kawałki, ale wciąż jeszcze mógł go poskładać do kupy i siebie samego przy okazji. Jeśli Rakubian był w domu...

Odwinął 22-kę, wsunął ją do kieszeni kurtki. Potem wysiadł i poszedł w dół zbocza przez gęstniejącą mgłę. Nie jeździły żadne samochody, nie było nikogo na sąsiednich podwórkach czy w pobliskim parku. Przeszedł przez ulicę, zmuszając się do posuwania się spacerowym krokiem, wszedł po podejściu schodów domu Rakubiana i zadzwonił do drzwi. Melodyjka kurantowa i inny słyszalny dźwięk - ciężka, atonalna muzyka grająca gdzieś w środku domu. Wytężył słuch, żeby usłyszeć odgłos kroków, z prawą ręką na pistolecie w kieszeni.

Jedynę, co słyszał, to słabe dźwięki perkusji.

Ponownie zadzwonił do drzwi, odczekał chwilę, zadzwonił po raz trzeci. Muzyka kurantowa, muzyka, wiatr. I co teraz? Po pierwsze: sprawdzić garaż, zobaczyć, czy jest tam samochód Rakubiana. Zszedł z ganku i poszedł ścieżką w kierunku podjazdu. Na obu ścianach garażu nie było okien. Podeszedł do drzwi po prawej stronie, nacisnął klamkę. Nie były zamknięte na klucz. Wsunął głowę do środka.

Srebrne bmw było błyszczącą masą w ciemności.

„O Boże!” - pomyślał.

Spróbował otworzyć boczne drzwi do domu, były zamknięte. Prawie biegnąc, wrócił na ganek od frontu domu. Przy drzwiach zrobił to, czego wcześniej nie zrobił - nacisnął staromodną klamkę. Która szcęknęła i drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem do wewnątrz.

Z mocno bijącym sercem wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi.

Muzyka była tu dostatecznie głośna, by mógł ją rozpoznać: klasyczna, atonalna, przytłaczająca. Musorgski. „Borys Godunow”. Ulubiona muzyka Rakubiana, słuchał jej na okrągło, nigdy, kiedy Hollis i Cassie odwiedzali Angełę, Rakubian nie wyłączył tego

cholernego utworu. Muzyka wydobywała się z biblioteki i gabinetu połączonego w jedno, do którego wchodziło się z głównego korytarza.

- Rakubian? - Wykrzyczał to ponad dudnieniem muzyki.

Żadnej odpowiedzi.

Ruszył do przodu, terakotowa podłoga lekko trzeszczała pod jego stopami. W bibliotece paliło się światło; kiedy zbliżał się do sklepionego przejścia, zauważył bladą poświatę. - Rakubian? - Przez próg, jednym krokiem w bibliotece. I żołądek podszedł mu do gardła, nogi trzęsły mu się jak galareta. Po omacku chwycił się i kurczowo przytrzymał ościeżnicy, by odzyskać równowagę.

Rakubian był tam. Leżał przed biurkiem na plecach na perskim dywanie w ciemne wzory z rozrzuconymi ramionami i jedną nogą zagiętą pod sobą, i z głową...

Krew, substancja mózgowa. Porozbryzgiwana i plamiąca jego białą koszulę i niebieski krawat, jego roztrzaskaną czaszkę, dywan, statuetkę ciemnego kruka na podłodze leżącą nieopodal. Krajobraz z horroru zroszony krwią w rzeczywistym życiu.

„Nienawidzę tego szalonego skurwysyna. Chciałbym mu rozwalić ten jego pieprzony łeb”.

Eric, Eric, coś ty zrobił?!

## 8

### *Wczesne popołudnie w sobotę*

Przez minutę czy dwie Hollis nie mógł się ruszyć. Jego umysł pracował, ale zrywami, bez koncentrowania się na sednie. Chaotyczne myśli, błędzenie wzrokiem. Wszystko w pokoju - leżący tam martwy Rakubian, cała ta jątka, blade światło i cienie, przytłaczająca muzyka, ciemne meble i ciemne oprawy książek, brzydkie rzeźby i ponure obrazy na ścianach - w jego oczach i uszach zdawało się nierealne, zacierało się i zniekształcało. Tak, jakby nagle znalazł się uwięziony na jednym z obrazów Rakubiana - na „czarnym malowidle” Goi przedstawiającym dusze krzyczące w męczarniach, na jego surrealistycznej interpretacji jednej ze scen z „Piekle” Dantego.

Paraliż i błędzenie skończyły się w tym samym momencie, z nagłym, konwulsyjnym drzeniem, które oderwało go od futryny drzwi i zaniósło dwa kroki w głąb biblioteki. Znów widział jasno - pokój, ciało, wszystko takie, jakim było w rzeczywistości. Jego myśli były przejrzyste, ale gnały jak taśma do dalekopisu odwijająca się w przyspieszonym tempie w



poprzek ekranu. Muzyka uderzała w niego łomoczącymi falami. Ominął zmarłego, by dojść do staromodnego gramofonu, znalazł przycisk do zatrzymania płyty i wyłączył sprzęt. Wydało mu się, że nagła cisza niosła ze sobą dysonansowe echa w długim *diminuendo*.

Potem podszedł blisko do miejsca, w którym leżał Rakubian, ostrożnie, by ominąć plamy krwi. Myślał, że stojąc tak i patrząc w twarz zmarłego, poczuje ulgę, mściwość, nawet rodzaj okropnego uniesienia. Nie poczuł nic poza odrazą. Nie, poczuł coś jeszcze. Strach. Wróg był martwy, Angela i Kenny byli bezpieczni... Ale teraz Eric znajdował się w niebezpieczeństwie. Szalona, gorzka ironia - jego syn zamienił się z nim i z jego córką miejscami, stał się równocześnie mścicielem i ofiarą. Nawet martwy, David Rakubian stanowił dla nich wszystkich zagrożenie.

Hollis przykucnął, zmusił się do dotknięcia i podniesienia między kciukiem a palcem wskazującym jednego z nadgarstków leżącego. Zimne ciało. Sztywniejące. Martwy od co najmniej trzech godzin, leży tu cały ten czas z grającym na okrągło *Borysem Godunowem* jako pieśnią żałobną. Z tym postępującym stężeniem pośmiertnym niedługo ciężko będzie go ruszyć. Hollis poczuł, jak nachodzą go mdłości. Zaciśnął mięśnie szczęki i gardła, puścił nadgarstek martwego, wstał i z pośpiechem cofnął się na korytarz.

Pamiętał, że łazienka dla gości znajduje się na końcu korytarza po lewej stronie. Doszedł tam w samą porę, by zdążyć upaść na jedno kolano przed sedesem. Głównie same torsje. Jedyne, co z niego wypłynęło, to cienki strumień whisky, którą wypił w domku. Kiedy skurcze torsji ustąpiły, spuścił wodę, podciągnął się do pozycji pionowej przy umywalce. Oplukał twarz zimną wodą, nabrał wody w garść i wypłukał usta. Niezamierzone spojrzenie w lustro ukazało mu twarz starego człowieka: zapadłe policzki, szarawa skóra, oczy z białkami zbyt lśniącymi, jak zsiadłe mleko.

Odnalazł drogę na werandę służącą jako pomieszczenie gospodarcze na tyłach domu. Rakubian był takim samym maniakiem kontroli w domu, jak wszędzie indziej - miejsce na wszystko i wszystko na swoim miejscu. Ułatwiło to Hollisowi znalezienie potrzebnych mu przedmiotów: grubych, 120-litrowych worków na śmieci, szpulki mocnego szpagatu, rolki papierowych ręczników. Wszystko to zaniósł do biblioteki.

Poza jedną nogą, ciało Rakubiana leżało w całości na perskim dywanie - metr osiemdziesiąt na metr dwadzieścia, o gęsto tkanym, grubym włosie. Część pozostałości zmiażdżonej czaszki wsiąkła we fragment wzoru w kolorze bordo, także zanim się nie spojrzało z bliska, wydawało się, że nie było tego wiele. Przesiąkło na posadzkę? Hollis wsunął nogę pod dywan, schylił się, żeby podnieść jego skraj, a potem przeciągnął go wraz z ciałem kilka metrów w stronę wejścia. Krew nie przesiąkła przez dywan. Płytki, na których

leżała głowa Rakubiana, wyglądały na suche i takie były w dotyku.

Hollis wziął do ręki dwa worki na śmieci. Nie mógł już dłużej znieść patrzenia na tę rozbitą, pokrytą czerwonymi strugami twarz. Mimo że bardzo nienawidził tego człowieka za jego życia, było coś godnego współczucia w jego gwałtownej śmierci. Skurczona, surowa i pusta skorupa, z całym obsesyjnym szaleństwem zredukowanym do zakrzepłej krwi i szarych płynów. Jak można było nienawidzić rozbitej łupiny, skrzepłej plamy na porządnym, starym dywanie? Nawet jeśli by sam to zrobił, nie mógłby nadal nienawidzić tego, co łupina zawierała w sobie.

Uniesienie ciężkich ramion, wsunięcie torby na śmieci na głowę i na górną część ciała było zadaniem wywołującym mdłości. Kiedy skończył, miał lepłą krew na rękach, pot sprawiał, że ubranie przyklejało mu się do ciała. Wepchnięcie nóg i dolnej części tułowia do drugiej torby nie było tak trudne, ale do tego czasu ręce tak mu się trzęsły, że miał trudności z owinięciem szpagatu dookoła ciała, związaniem obu toreb razem pośrodku i na obu końcach. Zrobione. W końcu. Po omacku dotarł do czarnej, skórzanej kanapy; siedział na niej ze swoimi poplamionymi krwią rękami wsuniętymi między kolana do momentu, kiedy drzenie ustąpiło.

Pot nadal spływał z niego strugami. Było tu za ciepło... Rakubian miał zawsze, niezależnie od pogody, włączone ogrzewanie. Dzięki temu kwitł, jak pieprzony pająk. Hollis przypomniał sobie, że Angela opowiadała mu, jak czasem w nocy budziła się, niezdolna do złapania oddechu i błagała Rakubiana, by zmniejszył ogrzewanie albo przynajmniej, by mogła otworzyć okno. Oczywiście odmawiał i gromił ją za bycie dziecinną. Zawsze wszystko dla niego.

Już nie.

Hollis wstał, przeszedł obok ciała, nie patrząc na nie. W łazience dwukrotnie umył ręce, potem wyszorował umywalkę i mydelniczkę, żeby się upewnić, że nie zostawił śladów krwi. Wytarł ręce w jeden z ręczników dla gości, użył go do wytarcia muszli klozetowej, szafki pod umywalką, samej umywalki i kurków, potem złożył go i odwiesił na powrót na wieszak. Po raz pierwszy zdał sobie sprawę z uporczywego napięcia w pęcherzu. Podniósł deskę jednym palcem i oddał mocz... Albo raczej spróbował oddać mocz. Pałący, przerywany strumień. Pozbył się dowodu, spuszczać wodę.

Wrócił na ganek gospodarczy, odsunął zasuwkę tylnych drzwi i sprawdził klamkę, by upewnić się, że drzwi były otwarte. I z powrotem do biblioteki. 22-ka stała się ciężkim, zawadczającym ciężarem w jego kieszeni. Wyswobodził się z kurtki, położył ją na kanapie. Potem otworzył trzeci worek na śmieci, użył kawałka ręcznika papierowego, by wrzucić

statuetkę kruka do środka. *Nigdy już!*

Ukląkł z rolką ręczników, wyszorował krople i smugi krwi na kafelkach. Plamy były raczej suche, nie dało się ich wyczyścić całkowicie bez wody. Jeszcze raz do łazienki, żeby zmoczyć kilka papierowych ręczników. Znow szorowanie, a potem użył suchych ręczników, by wysuszyć podłogę. Zużyte ręczniki wrzucił do worka na śmieci. Na czworakach obszedł pokój, szukając plam, które być może przeoczył. Nagły obraz samego siebie - makabryczny widok z leżącym obok niego ciałem wpakowanym w worki, jak scena z horroru.

Kiedy skończył, wstał i zlustrował pokój. Nie zostały żadne ślady przemocy. Jedynym dysonansem był fakt, że podłoga przed biurkiem bez dywanu wydawała się nienaturalnie pusta. Zajmie się tym później. Schylił się, by chwycić róg dywanu z frędzlami, zaczął go ciągnąć razem z jego ciężarem do przedpokoju.

Wtedy zadzwonił jego telefon komórkowy.

W zbyt ciepłej ciszy erupcja dźwięku była wystarczająco alarmująca, by gwałtownym ruchem wypuścił z ręki chodnik. Jego serce podskoczyło, mocno uderzyło, podskoczyło. Opanowanie oddechu zajęło mu kilka sekund. Drin. Drin. „W porządku, weź się w garść, to pewnie Cassie. I na miłość boską, nie zdradź się przed nią głosem!” Wypuścił powietrze, wyszarpnął telefon z futerału na pasku i odebrał połączenie.

- Hollis.

- Jack, Eric jest w domu. Wrócił pięć minut temu.

„Ostrożnie teraz, ostrożnie”. - Gdzie był?

- Twierdzi, że pojechał na długą przejażdżkę - do Russian River, w stronę wybrzeża.

By ochłonać.

- Wierzysz mu?

- Chcę mu wierzyć.

- Ale nie jesteś pewna?

- Jestem, ale... Wiesz, jaki on jest. Powściągliwy, schowany. Nadal wydaje się cały spięty, podekscytowany.

„Spięty, podekscytowany. Rozwalił człowiekowi mózg tego popołudnia”.

- Później z nim porozmawiam - powiedział Hollis. - Najważniejsze, że jest w domu, bezpieczny i że nic się nie stało.

- Tym razem tak - odrzekła.

- Poza tym wszystko w porządku? Wiesz, co mam na myśli.

- Jak dotąd w porządku. Kiedy będziesz w domu?

- Ja... Nie wiem jeszcze. Może późno.

- Dlaczego, na miłość boską?

- Nick Jackson chce zjeść ze mną kolację.

- Nie możesz się wymigać?

- To raczej spotkanie w interesach, a nie towarzyskie, więc lepiej nie. Nie ma istotnego powodu, żebym to zrobił, prawda?

- Wydaje mi się, że nie, ale...

- Wróć, jak tylko będę mógł - powiedział i rozłączył się. Wyłączył telefon całkowicie, zanim wsunął go na miejsce. Żadnych więcej telefonów, zanim nie skończy z Rakubianem. Żadnych więcej małych szoków, żadnych więcej wielkich kłamstw.

Ponownie złapał za dywan, przeciągnął go przez korytarz i kuchnię na ganek. Zostawił go nieopodal drzwi, cofnął się, by się upewnić, że nie zostawił charakterystycznych śladów na podłodze. Kilka fałd i kłęby kurzu to było wszystko. Usunął je za pomocą kolejnych wilgotnych ręczników.

Na froncie znajdował się rzadko używany salon, umeblowany tak samo na ciemno, jak biblioteka. W środku leżały dwa orientalne dywaniki, większy z nich, o rozmiarach metr na półtora, był rozłożony przed kominkiem. Hollis przesunął dwa stoliczki, zwinął go, ustawił meble i dwa krzesła tak, żeby puste miejsce nie rzucało się w oczy. I tak nie powinno to mieć znaczenia. W pierwszych miesiącach po ślubie Rakubian wpuścił do domu bardzo nielicznych gości, a od jakichś czterech czy pięciu miesięcy - nikogo. Samotnik - żadnych bliskich przyjaciół, kilku znajomych. Jego dom był jego twierdzą, taką z fosą naokoło. Kto by zauważył, że coś tu było zmienione? Albo w bibliotece - choć Hollis wiedział, że nigdy nie będzie czuł się bezpiecznie, jeśli inny dywan nie przykryje miejsca, w którym umarł Rakubian.

Wytrzeł płytki przed kominkiem, wziął wszystkie pobrudzone ręczniki papierowe na ganek i wepchnął je do otwartego worka na śmieci. Zaniósł zrolowany dywan do biblioteki i rozłożył go na podłodze. Lepiej, o wiele lepiej. Nie wydawał się za mały na tę przestrzeń, a jego wzór był podobny do tego zaplamionego krwią.

Skończone. Ta część roboty.

Reszta... „Jeszcze nie myśl o tym, co zostało do zrobienia”.

Założył kurtkę, zapiął ją aż pod brodę. W przedsionku otworzył frontowe drzwi i wyrzwał na ulicę. Nikogo z zasięgu wzroku. Szybko wyszedł na zewnątrz i zamknął za sobą drzwi. Kiedy doszedł do chodnika, zobaczył kogoś w parku, mężczyznę w płaszczu spacerującego z psem na smyczy, który nie patrzył jednak w jego stronę. Mimo to Hollis czuł się odsłonięty, bezbronny, gdy skręcał w ulicę.

Oczy utkwione przed siebie, ten sam zrównoważony krok co przedtem - człowiek, który mieszka w okolicy, tak samo jak właściciel psa. Uderzył w niego zimny wiatr, zawodząc mu w uszach, mroząc jego pot. Kiedy dotarł do lexusa, był przemarznięty.

Gdy znalazł się wewnątrz samochodu, zamknął 22-kę w schowku. Potem przez chwilę ogarnęła go panika - nie mógł znaleźć kluczyków. Nie było ich w żadnej z kieszeni kurtki, co będzie, jeśli wypadły w bibliotece? Prawa kieszeń spodni, nie, lewa kieszeń... Czemu je tam wsadził? Nigdy ich tam nie trzymał. Włożył kluczyk do stacyjki.

Jakiś samochód przejechał za nim ulicą Monterey. Usłyszał silnik, potem ujrzał go we wstecznym lusterku. Samochód osobowy, nijaki, z dwojgiem ludzi w środku. Kiedy go mijał, odwrócił głowę, jakby czegoś szukał na siedzeniu obok. Samochód pojechał dalej, nie zwalniając. Hollis odczekał, aż będzie dwie przecznice dalej, zanim włączył silnik.

W dół zbocza obok podjazdu Rakubiana, stop, wsteczny - powtarzał sobie, żeby robić to jakby od niechcenia, niezbyt szybko, niezbyt wolno, ma całkowite prawo, żeby tu być. Za ostro skręcił kierownicę za pierwszym podejściem, prawie że wjechał w krzaki rosnące przy podejździe. No, dalej, dalej! Drugie podejście było lepsze, wjechał mniej więcej prosto. Wyrównać, wycofać powoli i stanąć prosto. Ulica na wprost niego nadal była pusta. Zatrzymaj się jakiś metr od garażu... O tak.

Wysiadł z samochodu i stał przez kilka sekund obok, sprawdzając otoczenie. Wysokie krzewy i drzewa zasłaniały sąsiednią posiadłość, była widoczna jedynie linia dachu domu. Z tyłu domu drzewa, rosnące po drugiej stronie obszernego trawnika, tworzyły gęstą zasłonę. Tak jakby stał w zatoczce z ulicą jako jedynym wejściem. OK. Ale kiedy obchodził samochód, by otworzyć bagażnik i podnieść klapę, nadal czuł, że zwraca na siebie uwagę.

Co można powiedzieć o lexusie to to, że ma szeroki, głęboki bagażnik. Przesunął narzędzia i inne sprzęty, dopychając je do wewnętrznej ściany. Potem strzepnął i rozpostarł na oczyszczonej w ten sposób powierzchni swój koc z Cal Poly.

Do drzwi werandy i do środka - do tego, co pozostało z Rakubiana obwiązanego czarnym workiem na zwłoki: już nie człowiek, tylko śmieci, które trzeba wywieźć i pozbyć się ich. Hollis schylił się, żeby wsadzić ręce pod toboł, zgiął kolana, podniósł się. Nie tak ciężki, jak się spodziewał: Rakubian tylko we własnych oczach był dużym człowiekiem. Śliski dotyk worków, ciężar zmarłego znów przyprawił go o mdłości. Przełknął. Sprawdzić ulicę. Pusta. Kiedy wychodził na zewnątrz, zrobił to zbyt szybko, potknął się, prawie upuścił dźwigany ciężar. „Ostrożnie!” Ale potem, kiedy dotarł do bagażnika, w tym swoim pośpiechu i odrazie zbyt szybko opuścił ciało. Uderzyło o krawędź z pojedynczym, głuchym odgłosem i krzywo zważyło się do środka, jeden koniec zaczepił się o zamek. Głowa... Głowa nadal

wystawała. Popchnął, szarpnął, i w końcu wsadził cały toból do środka, zwinięty i zgięty jak odwrócone S.

„Jezu!”

Odsunął się, cały zlany potem mimo zimna, i zawrócił z powrotem na ganek. I zastygł... Jakiś samochód na ulicy, sunący poprzez gęstniejącą mgłę. Kierowca nie spojrzał w jego stronę - a może spojrzał? Nie był pewien.

Jeszcze tylko kilka rzeczy do zrobienia. Wziąć worek ze zużytymi ręcznikami i statuetką, wrzucić go do bagażnika. Zrolować poplamiony krwią dywan, związać go kawałkiem sznurka, położyć go na wierzchu zwłok. Zamknąć klapę, sprawdzić zamek. Zrobić ostatni obchód w domu, by upewnić się, że niczego nie przeoczył, i sprawdzić zasuwkę we frontowych drzwiach. Gdy wrócił na ganek, użył swojej chustki do nosa, by wytrzeć klamkę po wewnętrznej stronie drzwi i zamek zatraskowy. Wcisnął go, wyczyścił klamkę po zewnętrznej stronie, zamknął drzwi, sprawdził, czy się dobrze zamknęły.

Do samochodu, włącz silnik.

Jedź.

Nie myśl, po prostu jedź.

## 9

### *Sobota wieczór*

Jazda przez miasto do mostu Golden Bridge - rozdwojona, dziwaczna, jakby prowadził samochód kompletnie pijany. Niewielkie przebłyski świadomości - ktoś trąbił na niego, bo jechał zbyt wolno przez Nineteenth Avenue, ktoś inny zajechał mu drogę w parku, mrok tunelu pod Presidio, oświetlona linia wjazdu na autostradę i ściana mgły przesłaniająca wieże mostu. Po nich następowały okresy pustki w głowie - utracony czas, w którym funkcjonował w stanie nieświadomości. Dopiero gdy był w połowie mostu, brnąc samotnie prawym pasem, ocknął się na dobre. Wyrwy w pamięci przstraszyły go. Co, jeśli potracił przechodnia, miał jakiś inny wypadek? „Skoncentruj się, Hollis. Zjedź z drogi, jeśli nie możesz prowadzić bez zapadania w niebyt”.

Potem czuł się w porządku. Jeśli coś mu przeszkadzało, to zbyt wyostrzona świadomość - białe linie wyznaczające pasy ruchu, hałaśliwy ruch uliczny, duże centra i pasaż handlowe oraz tereny pod zabudowę mieszkalną po obu stronach autostrady, pasy gęstej mgły przechodzące w zamglone niebo, kiedy dotarł do podnóża Waldo Grade - to

wszystko było zbyt jasno zarysowane, zbyt jaskrawe, tak jakby działanie jego zmysłów zostało zintensyfikowane do maksimum.

Mimo odczuwanej niecierpliwości nie mógł się zmusić do jazdy szybszej niż osiemdziesiąt na godzinę. Za każdym razem, gdy licznik prędkości przekraczał tę granicę, zdejmował nogę z gazu. Powoli, powoli... Sznur samochodów śmigał obok niego. Żaden kierowca nie zwrócił na niego uwagi, ale mimo to czuł się całkowicie nagi. Tak jakby samochód nosił zewnętrzne oznaki zawartości swego bagażnika.

Jazda wydawała się nie mieć końca. Corte Madera, San Rafael, Terra Linda, skrót przez Napa-Vallejo, Novato... Przejazd przez każdą z tych miejscowości włókł się w nieskończoność. Maksymalnie osiemdziesiąt na godzinę przez całą drogę. Słońce skryło się za wzgórzami na zachód od Novato, światło dnia na niebie zaczynało stopniowo gasnąć. Kiedy dotrze do Los Alegres, będzie już zmierzchać, gdy skończy pięć się przez wzgórza do posiadłości Chestertona, zapadnie głęboka noc. Pochówek przy świetle latarki. Dostatecznie kiepska sprawa przy świetle dziennym, a w ciemności... Upiorna robota.

„Muszę być szalony - pomyślał. - Cassie miała rację - przez cały ten czas byłem szalony”.

Granica hrabstwa Paloma. I wreszcie, wreszcie Los Alegres. Skręcił w pierwszą drogę wyjazdową, w Main Street, zjechał z przekłętej autostrady. Długa pętla wzdłuż brzegu rzeki i pod estakadą autostrady prowadzącej do miasta. Prosto na D Street, przez zwodzony most, z Lakeville, minąwszy strefę przemysłową i tereny pod zabudowę, skręciwszy w Crater Road. Teraz włączył światła, które wwierały się w zapadającą ciemność. Snopy światła z samochodów jadących z naprzeciwka odbijały się w przedniej szybie, klując oczy jaskrawymi odpryskami. Zatrzymać się i jechać, zatrzymać się i jechać, a Paloma Mountains nie przybliżały się ani odrobinę, wręcz przeciwnie, wydawało się, że oddalają się coraz bardziej. Iluzja optyczna: stres, światło, ciemność.

„Co ja powiem Ericowi? - pozwolił sobie teraz, po raz pierwszy, o tym myśleć. - Powiedzieć mu od razu, bez owijania w bawełnę, że wiem? Dać mu to do zrozumienia, zmusić go do wyznania tego, co się stało? Czy udawać, że nic się nie stało? Coś takiego... Nie ma jednej dobrej drogi, żeby sobie poradzić z taką sytuacją. Ojciec i syn, konspiratorzy niezależnie od tego, co każdy z nas powie czy zrobi. Nie, zaraz, załóżmy, że odezwie się w nim sumienie i zdecyduje zgłosić się na policję. Wpoilem mu różnicę pomiędzy dobrem a złem, mój własny kodeks moralny wywrócony do góry nogami. Nie mogę do tego dopuścić...”

Nagle migocące światło w samochodzie.

Czerwone i białe pulsujące światło.

Podniósł gwałtownie wzrok i spojrzął we wsteczne lusterko. Po szyi i plecach przebiegły mu mroźne ciarki, ciało stężało, ręce konwulsyjnie zacisnęły się na kierownicy. Za nim, blisko... Pulsary na dachu samochodu, rozsiewające w mroku czerwony i biały kolor, czerwony i biały.

Policja!

Wezbrało w nim poczucie absurdalności. Niewiele brakowało, bardzo niewiele, by wcisnął pedał gazu, jednym napięciem mięśnia stając się uciekinierem. „Nie panikuj!” - niczym krzyk w jego głowie.

Gwałtownie zdjął nogę z gazu, nacisnął na hamulec. Spokojnie, hamuj powoli, o tak. Jeszcze raz, zjedź na pobocze. Samochód policyjny zrobił to samo. Hollis wrzucił dźwignię zmiany biegów na bieg jałowy, oddech drapał go w gardle. Odkręcił szybę - wdech, wydech, powoli i głęboko. Nie powiedz ani nie zrób niczego, co by cię zdradziło. Słowa jego starego: „policjanci są jak psy, pozwól, żeby odczuły twój strach, a rzucą się na ciebie”.

Odgłosy kroków, światło latarki padające ukosem, zbliżający się kształt za oknem, który zakotłosał światłem i schylił się. W odbitym, oślepiającym świetle pojawiła się twarz młodego policjanta, dwudziestoparolatka, z wyrazem ani przyjaznym, ani wrogim. Zgodny z tym neutralny głos: - Dobry wieczór.

- Dobry... - Słowo utknęło Hollisowi w gardle. Zakaszłał i za drugim razem wydobył z siebie odpowiedź. - Dobry wieczór, panie władzo. - Głos brzmiał normalnie, podskórne napięcie było zbyt słabe, by można je było wyczuć. - Czy popełniłem jakiś błąd?

- Nie zatrzymał się pan przed znakiem stopu.

„Głupek!” - Nie widziałem go. Sądzę... Sądzę, że nie byłem dostatecznie skupiony.

- Prawo jazdy i dowód rejestracyjny proszę.

Wyjął prawo jazdy z portfela, wręczył je policjantowi. Nie miał innego wyjścia, jak otworzyć schowek. Pochylił się do przodu, rozpaczliwie starając się przypomnieć sobie, czy owinał woodsmana w zamsz. Jego ruchom towarzyszyło światło latarki. Nawet jeśli go owinał, a światło wychwyci kształt i sprawi, że gliniarz zacznie się zastanawiać...

Otworzył schowek. Przy świetle wewnętrznej żarówki zobaczył, że pistolet jest zawinięty i wepchnięty głęboko, Gliniarz nic nie powiedział, więc najwyraźniej światło latarki nie dotarło w głąb schowka. Hollis wypuścił wstrzymywany oddech, wygrzebał dowód rejestracyjny, szybko zamknął drzwiczki schowka, przekręcając w nich kluczyk.

Policjant sprawdził jego prawo jazdy, potem dowód rejestracyjny. - Pan Hollis. Jackson Hollis.



- Tak. - Głos mu zadrżał, ale wydawało się, że gliniarz tego nie zauważył. - Tak, zgadza się.

- Adres zamieszkania na Keokuk Street jest aktualny?

- Tak.

- Zachodnia strona. Nie jest więc pan w drodze do domu?

- Wyjechałem na przejażdżkę. Prawdę mówiąc, panie władzo, pokłóciłem się z żoną. Prawdziwa pyskówka. Jeśli jest pan żonaty, wie pan, jak to czasem bywa.

- Jestem żonaty. - Empatia w jego głosie? Może trochę. - Pił pan alkohol? Przed, w trakcie albo po?

- Nie, nic przez cały dzień.

- Może pan wysiąść z samochodu?

- Oczywiście. Jeśli chciałby pan mi zrobić test z alkomatem...

- Po prostu proszę wysiąść, proszę pana.

Posłuchał, wyprostowując ciało powoli, partiami, i stając wyprostowany z rękami wzdłuż ciała. Policjant zatrzymał na nim światło przez chwilę, potem powiedział, żeby na niego poczekał, i wrócił do swojego wozu. Hollis popatrzył w stronę oślepiającego blasku świateł, mrużąc oczy. Nie mógł dojrzeć, co policjant robił w środku policyjnego auta, ale wydawało mu się, że wie: sprawdzał, czy były jakieś niewykonane nakazy przeciwko niemu.

Minął ich kolejny samochód, twarz gapiącego się kierowcy była na krótko widoczna w bocznym oknie. „Zbrodniarz na poboczu, złapany”. Odpędził tę myśl, starał się przestawić na coś w rodzaju trybu czuwania, takiego jak w komputerze. Bez skutku, jego umysł wciąż pracował. Czy było coś, co mogło wzbudzić podejrzenia policjanta? Nie, nawet nie miał na sumieniu niezapłaconych mandatów. Jeśli tylko będzie współpracował, nie straci głowy, zamaskuje swoje emocje, nie miał się o co martwić.

Wydało mu się, że minęło sporo czasu, nim policjant znów się pojawił. Nie podszedł do Hollisa, zamiast tego stanął przy tylnym zderzaku lexusa, w świetle świateł i zaczął pisać w wąskiej książeczce. Mandat... Wypisywał mandat. Nie spieszył się z tym, dwukrotnie podnosząc wzrok. Jedno ze spojrzeń wydawało się zatrzymywać na bagażniku. Nie, nie na bagażniku, na tablicy rejestracyjnej. Hollis czuł, jak spływa po nim pot, pomimo zimnego, nocnego powietrza. Mniej niż półtora metra dzieliło policjanta od tego, co leżało w bagażniku. Co będzie, jeśli szósty zmysł podpowie mu, że coś jest nie w porządku? Co, jeśli podejrze i powie: „Czy mógłby pan otworzyć bagażnik, panie Hollis?” Byłby to koniec. Nie miałby dokąd uciekać, nie miałby nic innego do ukrycia poza udziałem Erica. Powiedziałyby, że to on zabił Rakubiana, powiedziałyby, że pojechał do miasta porozmawiać z nim, że się

pokłócili, że Rakubian go zaatakował i że działał w obronie własnej...

Policjant skończył pisać i podszedł do niego. Hollis stał sztywno.

Gliniarz powiedział: - W porządku. - I wręczył mu mandat. Hollis wziął go machinalnie. Niewielki powiew wiatru chciał mu go wyrwać spomiędzy palców, więc zacisnął mocniej uścisk. - Przykro mi, że musiałem go panu wypisać, ale przejechanie znaku stopu, wykroczenie, jakiego się pan dopuścił, może spowodować poważny wypadek.

- Tak.

- Od tej pory proszę bardziej uważać.

- Tak.

- Może wolałby pan wrócić do domu, zamiast jeździć po okolicy. Pogodzić się z żoną.

- Tak. - Tak jakby jego mózg wpadł w jednowyrazową pętlę.

- Powodzenia - powiedział policjant i wykonał palcem wskazującym ruch, na wpół salut, na wpół ostrzeżenie i odwrócił się.

Hollis zatrzasnął za sobą drzwi, wsiadając do lexusa. „Powodzenia”. Jezu, jakie miał szczęście! Dwa razy próbował włączyć silnik, kilka kolejnych sekund zajęło mu uspokojenie się, zanim wjechał z powrotem na szosę.

Policjant jechał za nim. Hollis spodziewał się tego. Jechał, nie przekraczając dozwolonej prędkości, prosto Crater Road aż do skrzyżowania z East Valley Road. Zatrzymał się wyraźnie przed znakiem stopu, włączył lewy kierunkowskaz. Skręcił w East Valley i znów policjant zrobił to samo, jadąc za nim w odległości jakichś stu metrów i dostosowując swoją prędkość do niego...

Wzrok Hollisa wciąż przeskakiwał z drogi na wsteczne lusterko. „Co zrobię, jeśli będzie jechał za mną całą drogę do domu? Nie mogę wrócić do domu z Rakubianem w bagażniku, nie mogę tego zrobić. Muszę gdzieś się zatrzymać, na stacji benzynowej... Jakoś się go pozbyć i modlić się, bym nie wpadł na niego ponownie. Jeśli namierzy mnie wracającego tą drogą, będzie się zastanawiać, co kombinuję, może znów każe mi zjechać na bok, każe sobie pokazać bagażnik...”

Podążające za nim światła gwałtownie zgasły - policjant skręcił w drogę równoległą do Carter, jadąc z powrotem w stronę miasta.

Hollis był znów sam, znów bezpieczny, z ciałem Rakubiana.

Wspinanie się serpentynami na wzgórza wydawało się nie mieć końca. Czuł się tam odsłonięty, jak robak sunący przez kawałek szkła. Światła na tych górskich drogach były widoczne z daleka, z doliny i z miasta. Ale nie tego wieczoru - wciąż to sobie powtarzał, choć

na niewiele mu się to zdało. Dzisiejszej nocy w dolinie i wzdłuż linii wzgórz unosiła się mgła, cienka rzeka mgły napływająca z północy, która zacierała długie światła. Kolejny korzystny dla niego element, kolejne przypomnienie - nikt nie zwracał uwagi na światła w Paloma Mountains, nie były niczym nadzwyczajnym. Jeśli natknie się na inny samochód, nawet jeśli to będzie patrol szeryfa tego hrabstwa, jego pasażerowie uznają, że tu mieszka albo że odwiedza kogoś, kto tu mieszka. Jedyne, o co musiał się teraz martwić, to żeby jechać powoli i ostrożnie na ostrzejszych zakrętach.

Wciąż się bał.

Spotkanie z policjantem wzmocniło jego strach, mocno go w nim ugruntowało. Nie wydostanie się z tej pułapki do czasu, kiedy nie skończy z Rakubianem, może nawet później. Zastanowił się, czy ten strach zostanie w nim długo po dzisiejszej nocy, tak długo, jak będzie żył. Inny rodzaj raka nieubłaganie go zżerający.

Znów potrzebował się wysikać. Jego pęcherz wydawał się ogromny, jak zbyt napompowany worek z igłami doczepionymi po zewnętrznej stronie... Równocześnie rozpierający i przeszywający ból. Zatrzymał samochód w połowie krętej drogi w małym zagajniku, wysiadł i rozpiął rozporek. Tym razem pieczenie było tak silne, że aż zacisnął zęby. Ale na odmianę szybko się z tym uporał, a ból minął, kiedy znów zasiadł za kierownicą.

Dotarł do bramy posiadłości Chestertona, nie napotykając kolejnej pary światel. Otworzył bramę, przejechał przez nią, zamknął ją za sobą. Opony chrzęściły na żwirze, kiedy powoli sunął wzdłuż nowo wybudowanej drogi. Plac budowy wyłonił się przed nim, nieruchomy i pełen poszarpanych, cienistych kształtów. Cienkie kłęby mgły przesuujące się w świetle snopów przednich światel sprawiały, że miejsce wyglądało na jeszcze bardziej upiorne. Niektóre kształty pojawiały się i znikaly, gdy przejeżdżał pośród nich, a jego umysł przekształcił je w obrazy cmentarne - płyty fundamentowe i wylane elementy stały się miejscami pochówku, przenośne toalety nagrobkami, a przyczepa Dulaca i ciężki sprzęt urojonymi kryptami.

Miał sucho w ustach, a jego twarz była rozpalona, tak jakby miał gorączkę. Jego świadomość znów zaczęła zanikać. Był to jego mechanizm obronny i tym razem nie walczył z nim. Jedyne działając mechanicznie, uda mu się przebrnąć przez to, co go czekało - zdalnie sterowany android działający na zaprogramowanym zespole obwodów elektrycznych.

Wyhamowywał na tyle długo, by móc się zorientować w terenie, powoli podjechał pod wykopy na piwnicę na wino. Snop jego przednich światel wyłowił je z ciemności. Mógł to być szyb kopalniany wycięty w zboczu wzgórza lub niedokończone mauzoleum. Skala warstwowa i ziemia zaświeciły w niedalekiej odległości po prawej stronie. Podjechał najbliższej

jak mógł do zbocza wzgórza, skręcając kierownicę, by obrócić samochód tyłem, ze światłami skierowanymi prosto na hałdę ziemi. Kiedy je wyłączył, nastąpiła tak gęsta ciemność, że miał wrażenie, że oślepl. Wrażenie przyniosło ze sobą krótki napad paniki. Otworzył drzwi, żeby włączyć wewnętrzne światło, przytrzymał je otwarte przez kilka sekund, zanim energicznie nie wysiadł z samochodu. Potem stał, mrugając, rozglądając się po okolicy na prawo i lewo, nim oczy nie przyzwyczały się do ciemności.

Było tu zimno, ale nie aż tak, jak w San Francisco. Mniej tu wiało i mgła przemieszczała się powoli, kreśląc zygzakowate wzory. Cykanie świerszczy wzmogło się, a potem opadło. Wiatr przyniósł ze sobą słaby szelest poruszonych gałęzi, zapach sosny, wrzośca, mokrej ziemi. Światła Los Alegres były rozmazanymi punkcikami w postrzępionym welonie mgły.

Szczyt świata.

Wzdrygnął się, odwrócił, żeby otworzyć bagażnik. Nie dotknął ciała, jeszcze nie. Kilof, łopata, rozłożona na części miotła z garażu w domu. Praktyczny latarni. Kombinezon, para ciężkich gumowych rękawiczek, kalosze, żeby chronić swoje buty, robocza koszula khaki. Kiedy wszystko to położył na ziemi, zdjął kurtkę i sweter i rzucił je na przednie siedzenie. Założył koszulę, kombinezon, kalosze i rękawiczki. Potem włączył latarnię, podążył za jej światłem do hałdy ziemi.

Taczek nie były tam, gdzie je widział w czwartek. Zajęło mu chwilę odnalezienie ich w jednym z oddalonych zakątków. Podprowadził je do samochodu, długi snop latarni, wsadzonej zaraz do środka taczek, podskakiwał, drżał i rzucał szalone cienie na mgłę. Załadował też do nich narzędzia i dźwignął je, prowadząc po gołej ziemi, po parze wylanych płyt fundamentowych i wewnątrz wykopów.

W środku ustawił latarni tak, żeby jego światło świeciło prosto na centralną część podłogi. Podniósł jedną ze sklejek, ustawił ją przy ścianie, żeby nie zawadzała. To samo zrobił z drugą. Oczyszczone miejsce pracy... Wystarczająco długie i szerokie? Tak. Naprężył mięśnie w ramionach i szyi. Nie myślał teraz, wszystko było w nim zamknięte.

Podniósł kilof i zaczął kopać.

## 10

### *Sobota w nocy*

Kilof. Łopata. Sypka ziemia gromadzona na sklejce z jednej strony. Grudy i odłamki skalne

do taczek. Kilof. Łopata. Sypka ziemia. Grudy i odłamki. Pełne taczki wysypane na stertę ziemi i powrót z pustymi. Kilof. Łopata...

Stracił poczucie czasu. Jego postrzeżenia rzeczywistości ograniczały się do światła i ciemności, do zimna i gorąca, do bolącego napięcia w ramionach, przedramionach i w dolnej części pleców, do brzęku metalu o kamień, do głuchego odgłosu metalu uderzającego w ziemię. Jedne pełne taczki, drugie, trzecie. I coraz głębszy i szerszy dół - stał w nim, wychodził z niego na górę, z powrotem do niego schodził, aż do momentu, gdy jedna z obsypujących się, nachylonych ścian sięgnęła mu do połowy uda. Wystarczająco głęboki. Tracił siły. Kilof stał się równie ciężki, jak blisko pięciokilowy młot dwuręczny.

Wyrzucił narzędzie na górę, posłał za nim łopatę i sam podążył w jej ślady. Jego ciało błagało o odpoczynek. Zamiast tego, stękając, chwycił za ręczki taczek i mozolnie wyprowadził je z piwnicy, podprowadzając do sterty ziemi. Tu wypróżnił je, potem podjechał do tylnej części lexusa. Oczy szczypały go od potu i brudu. Gdy otwierał bagażnik, przetarł je rękawem koszuli.

Wyciągnięcie zwłok i wpakowanie ich na taczki było zaciętą walką. Ciało całkowicie zeszytywniało i Hollis nie mógł go wyprostować z wygięcia w kształcie litery S. Praca kilofem i łopatą osłabiła mu ramiona i plecy, tak że nie był w stanie unieść ciężaru zmarłego z taką łatwością, z jaką zrobił to w domu Rakubiana. Szarpał, ciągnął, w końcu wytaszczył zwłoki na brzeg bagażnika, ale kiedy próbował je ściągnąć w dół, obsunęły się i przewróciły taczki, wywołując szcęk rozbrzmiewający echem. Po tym wpadł w niebyt. Nie pamiętał, jak stawiał na powrót taczki, jak dźwigał Rakubiana i pakował go do nich. Znajdował się w połowie drogi do wykopów, prowadząc przed sobą swój ciężki ładunek, kiedy wróciła mu świadomość.

Dół był zbyt wąski. Zdał sobie z tego sprawę, jak tylko podprowadził taczki do jego krawędzi. Wydobył się z niego odgłos jakby skomlaącego, rannego zwierzęcia. Znowu kopanie, jeszcze jakieś trzydzieści centymetrów szerokości, zanim zgięte i opakowane w torby zwłoki będą mogły zmieścić się w dole.

Opróżnił taczki, ciało uderzyło głucho o sklejkę. Kilof. Łopata. Sypka ziemia na stos z jednej strony. Grudy, odłamki skał do taczek. Kilof. Łopata. Ziemia, grudy, odłamki. Czy dół był teraz wystarczająco szeroki? Prawie. Kilof, łopata, ziemia, grudy, odłamki. Kilof łopata ziemia grudy odłamki. Wyjść z dołu, chwycić za uchwyty ręczek i wyprowadzić taczki, by nie zawadzały.

Stoczyć zmarłego do jego grobu.

Upychał i ciągnął, aż ułożył go na boku.

Ledwo się tam zmieścił. Ciasno wepchnięty. Musiało też starczyć miejsca na dywan orientalny, ale z tym nie powinno być kłopotów, bo dół był dostatecznie głęboki i za długi o jakieś pół metra. Mnóstwo miejsca, żeby go rozłożyć i upchnąć dookoła trupa.

Poszedł po dywanik, zataczając się nieco na osłabionych nogach. Rozwiązał go, odwinął i przykrył nim ciało, starając się znaleźć miejsce po bokach, wciskając jego frędzle w wolną, ponadpółmetrową przestrzeń. Kiedy skończył, ciężko dyszał. Wydawało mu się, że nie może zaczerpnąć wystarczającej ilości powietrza. Spojrzał na łopatę, powiedział na głos: - Nie - i podczołgał się do bocznej ściany, usiadł bez ruchu z wyciągniętymi przed siebie nogami, starając się oddychać.

Siedział tam.

I siedział.

Gdzieś na zewnątrz nocny ptak wydał z siebie niski, piskliwy odgłos. Wytrąciło go to z tej jego niby-drzemki z wyczerpania. Czuł ucisk w klatce piersiowej, ale mógł na nowo złapać oddech. Dźwignął się na nogi, podniósł łopatę, która ciążyła mu w dłoni jak ołów. Zanurzył jej ostrze w stercie ziemi i zaczął zasypywać grób.

Potem nie miał pojęcia, jak długo mu to zajęło. Sterta ziemi malała, Rakubian, dywan i zarysy dołu stopniowo znikwały. I podłoga piwnicy była znów równomiernie ubita i płaska. Oparł się o łopatę, patrząc w dół. Zniknął. Martwy i pochowany, a niedługo zniknie na zawsze. Mimo to nie będzie zapomniany, aż do momentu, kiedy Jack Hollis będzie gotów na spoczęcie w swoim własnym, prywatnym grobie.

Znów zachciało mu się wymiotować.

Ciągle było jeszcze dużo do zrobienia. Przytwierdzić miotłę do trzonka, zamieść poruszoną wokół dołu ziemię, żeby wyglądała, jakby nigdy nie była ruszana. Odłożyć na miejsce dwie sklejki. Zamieść pozostałości sypkiej ziemi. Wynieść narzędzia na zewnątrz, potem zaświecić dookoła latarką, żeby się upewnić, że nic nie wzbudzi podejrzeń Pete'a Dulaca albo kogoś z jego brygady. Wszystko wydawało się w porządku, ale jak mógł być tak naprawdę tego pewien? Był tak bardzo zmęczony, wykończony - nie mógł już teraz jasno ocenić sytuacji. Musi przyjąć to na wiarę. Nie mają powodu, żeby podejrzewać, że coś jest nie w porządku, czyż nie?

Zaprowadził taczki do hałdy ziemi, wypróżnił je, zostawił tam, gdzie je znalazł. Rozmontował miotłę, zapakował ją, razem z kilofem i łopatą, do bagażnika. Zdjął rękawiczki, kalosze, kombinezon i też je tam włożył. Wyjął koc, wziął swój sweter i kurtkę z przedniego siedzenia, odnalazł drogę do przyczepy. Znajdowało się tam ujęcie wody, zasilane ze studni wykopanej na terenie posiadłości. Rozebrał się do pasa i chlusnął sobie lodowatą wodą w

twarz i górną część ciała, dysząc i dygocząc, by pozbyć się ze skóry smrodu i pozostałości po kopaniu grobu.

Prędko wysuszył się kocem, szybkim ruchem założył na siebie sweter i kurtkę. Wrócił do samochodu, włączył silnik, przekręcił ogrzewanie. Siedział, otaczając się ramionami, a ciepłe powietrze zaczęło wypełniać wnętrze. Siedział tak przez długi czas, bo jeszcze sobie nie ufał, że będzie w stanie prowadzić samochód.

Która była godzina? Podniósł zegarek, żeby zerknąć na tarczę. Po dziesiątej. Był tu trzy godziny. Tyle zajmuje pochowanie zmarłego - trzy godziny.

Siedział. Był przemarznięty do szpiku kości, ciepło ogrzało jedynie jego skórę, sprawiło, że był senny. Jego ramiona, nogi i tułów drżały ze zmęczenia. Wyłączył silnik - nie miał dużo benzyny i nie mógł ryzykować, że mu jej zabraknie podczas jazdy powrotnej do domu. Ale powieki nadal miał ciężkie, jego umysł był przyćmiony od oświecenia. „Na miłość boską, nie zasypiaj!”

Zasnął.

Przebudził się gwałtownie, pospał jeszcze trochę, obudził się i tym razem już nie zasnął. Szybka reakcja - regeneracja. Wciąż był wyczerpany, ale nie denerwował się już, nie był też śpiący czy rozkojarzony. Dobrze, bo teraz był gotów na drogę powrotną do domu. Źle, bo jego myśli znów były realistycznie wyostrzone.

„Zrobiłem to. Zrobiłem to. Jak mogłem zrobić coś takiego?”

Strach wciąż był w nim obecny. Odraza też. I teraz coś zakrawającego o nienawiść do samego siebie.

Wzdrygnął się na myśl o stanięciu przed Erikiem, Cassie, Angelą. Jeśli będzie to musiał zrobić dziś wieczorem... Według jego zegarka spał dziewięćdziesiąt minut. Była za piętnaście dwunasta. Spędził tu na górze cztery i pół godziny. Kiedy dotrze do domu, będzie wpół do pierwszej. Dzieci zapewne będą w łóżkach, ale Cassie? Martwi się, że jeszcze nie wrócił do domu, że nie zadzwonił, i może czekać na niego. Czy będzie mógł ukryć przed nią prawdę? Nie była to kwestia, czy mógł - *będzie musiał* to zrobić. To, co on zrobił dziś w nocy, było dostatecznie złe, ale to, co zrobił Eric... Musiał ją przed tym chronić za wszelką cenę.

Rano już da radę. Trzeźwo myśląc, będzie w stanie stanąć na wysokości zadania. Po prostu musi przebrnąć przez resztę dzisiejszej nocy najlepiej, jak potrafi. Najgorsze było za nim... Prawie.

Czyż nie?

Poza światłem na ganku dom był całkowicie ciemny. Z tego wniosek, że Cassie też poszła do łóżka. Nawet jeśli jeszcze nie spała, będzie dość łatwo zasłonić się zmęczeniem i zasnąć od razu.

Ciemny dom, jazda powrotna do domu bez przeszkód... Powinien czuć się teraz lepiej, bezpieczniej... Dziwne. Był tak wycieńczony, że musiał otworzyć okno, wyłączyć ogrzewanie i włączyć radio, żeby pozostać czujnym, ale wewnątrz wciąż był mocno podminowany. Wydawało się, że mrowienie, które wcześniej odczuwał w kończynach, przez przedziwną osmozę przeniknęło przez skórę i ciało, stając się wewnętrznym odczuciem, jak jednostajne, o niskim napięciu drganie elektryczne. Czuł je w gardle, w piersiach, w podbrzuszu.

Wszedł do domu. W korytarzu światło nie było zapalone, co oznaczało, że Cassie była zła i że się niepokoiła. Tykanie dziadkowego zegara wydało mu się za głośne. Zapachy gotowanego mięsa, pasty do mebli, odświeżacza powietrza, perfum Cassie drażniły mu nozdrza. Tak jakby jego zmysły wyostrzyły się. Wszedł po schodach jak starzec, po jednym stopniu na raz. Zatrzymał się przed drzwiami Angeli, powstrzymał chęć spojrzenia na nią i na Kenny'ego, poszedł dalej w stronę otwartych drzwi swojej sypialni.

Cassie była nieruchomą plamą cienia po swojej stronie łóżka. Słyszał jej oddech i domyślił się po jego rytmie, że nie spała. Ale nie była jeszcze gotowa, żeby z nim rozmawiać. Kiedy szedł do łazienki, leżała, nic nie mówiąc.

Zamknął drzwi, włączył światło. Dziwne uczucie stało się jeszcze bardziej wyraźne - wewnętrzne mrowienie było uporczywe, tak jakby w każdej sekundzie jego ręce, jego ciało miało zacząć drżeć i trząść się. Oczami wyobraźni zobaczył siebie w pewnego rodzaju niekontrolowanym napadzie, jak zaczyna toczyć pianę z ust. Obraz rozwiął się po chwili, mroząc go. Rozebrał się do naga, wrzucił ubrania do kosza na brudną bieliznę, odkręcił gorącą wodę pod prysznicem. Kiedy stanął przy sedesie, uświadomił sobie, że odkąd zatrzymał się na drodze do Paloma Mountains po incydencie z policjantem, nie potrzebował oddać moczu. Blisko pięć godzin tam na górze, jazda do domu, nawet teraz, jak tak tu stał... Żadnego ciśnienia.

Pod prysznicem tak gorącym, jak tylko mógł wytrzymać, wyszorował się z dużą ilością piany. Ręce, twarz, ramiona, pod pachami, tułów. Namydlona myjka zmyła ostatnie ślady potu i smrodu, ale nie czuł się czysty. Teraz jego skóra wydawała się zbyt napięta, zbyt wrażliwa na dotyk, z uczuciem mrowienia na powierzchni - wrażenia niemające nic wspólnego z gorącą wodą.

Szorował się myjką, schodząc w dół brzucha. W momencie, kiedy dotknął swoich intymnych części ciała, wewnętrzne mrowienie stało się czymś innym - cielesną gorączką,



która rozbłysła nagle, jak światło latarki w mroku. Wydawało się, że jego erekcja była natychmiastowa, hop i już! Jak u anatomicznie poprawnej męskiej lalki. Stał, patrząc na siebie z niedowierzaniem. Tygodnie faktycznej impotencji i dziś, po tym wszystkim, co się stało, po tych wszystkich koszmarnych rzeczach, których dokonał... Potężny wzwód, nagły i nieproszony. Tak jakby jego czyny tymczasowo, perwersyjnie naprawiły jego pęcherz, prostatę, organ płciowy.

Wzbudziło to w nim odrazę, a jednocześnie był bardziej podniecony, niż kiedykolwiek od momentu swojego pierwszego razu w liceum. Ogromna, nagląca konieczność, która była potrzebą, lękiem, nienawiścią do samego siebie i garścią innych emocji wymieszanych ze sobą. Jego penis tak wysoko sterczący i nabiegły krwią, jakby był czymś doczepionym do jego ciała, raczej pasożytniczą istotą niż częścią jego samego.

„Nie!” - Pomyślał. Zakręcił wodę, wyszedł spod prysznic i wysuszył się brutalnie, karząc swoje ciało ręcznikiem. Erekcja nie malała, nagląca potrzeba była jak zżerający ogień. Wyłączyła jego myśli, pochłoneła jego wolę oporu, zostawiła w nim jedynie gwałtowne pożądanie.

Wyłączył światło, wszedł po cichu do sypialni. Cassie poruszyła się, kiedy się zbliżał, zaczęła siadać i usłyszał sam siebie, jak mówił: - Nie, nie zapalaj światła. - Bardziej ton jego głosu niż słowa sprawiły, że leżała nieruchomo. Uniósł kołdrę i wślizgnął się obok niej, wyszeptał jej imię, poruszył się, żeby przylgnąć do niej swoim ciałem. Usłyszał, jak wciągnęła powietrze, gdy poczuła na swoim udzie, że był twardy jak kamień.

- Jack, co...?

- Potrzebuję cię - powiedział nie swoim głosem. - Proszę, kotku, nie mogę...  
Potrzebuję... To już tak dawno...

Leżała sztywno, kiedy jego palce szarpały się z guzikami, obmacywały ją pod pizamą, by dotknąć jej piersi. - O co chodzi? Co się stało?

- Nic się nie stało.

- Czemu wróciłeś tak późno? Czemu jesteś w takim stanie?

- Po prostu cię potrzebuję... Proszę, Cassie, proszę...

Uległa mu, nie stopniowo, ale od razu, zwracając się całym ciałem w jego stronę, jej sutki stwardniały pod jego dłonią, jej ręka, głaszcząc go pomiędzy ich ciałami, chwyciła go i pokierowała nim. Wydała stłumiony okrzyk, kiedy ją wypełnił, oplótł ją ciasno rękami, ramionami, nogami, zaczęła poruszać się wraz z nim w rytmie wyćwiczonym przez dwadzieścia sześć lat współżycia. Ale tym razem było zupełnie inaczej niż dotąd - nie powolnie i czule, żadnego szeptania czułych słówek. Było to gwałtowne, szybkie,

natarczywe, niemalże desperackie połączenie przerywane szybkimi, urywanymi oddechami i jękami, zarówno Cassie, jak i jego, szybko, szybko, aż szczytował z płaczącym jękiem, który udało jej się na wpół zdusić ustami, jego orgazm był tak intensywny, jak ognisty podmuch w palącym się budynku, tak jakby miał wytrysk strumieni ognia. Kiedy ustał, Hollis był wypalony wewnętrznie, stał się pustą skorupą, która zwała się obok niej. Nie poruszyła się ani go nie puściła, wciąż przywierając do niego żarliwie, aż jego tętno zaczęło zwalniać. To ona go przytulała, on nie miał na to już siły.

Wiedział, że ona czeka, żeby pierwszy się odezwał, i szukał słów. Jedyne, co mu przyszło do głowy, to było: - Kocham cię. Tak bardzo cię kocham - powiedział skręklawie jak żaba.

- Wiem o tym.

- Przepraszam, nie mogłem się powstrzymać, ja...

- Nie przepraszaj za to. Też tego potrzebowałam.

Wyswobodziła się delikatnie i usiadła. Wyczuł, że zapali swoją lampkę nocną i leżał z zamkniętymi oczami. Niemalże czuł nagły blask na powiekach, jej spojrzenie badające jego twarz. Ale nie było tam nic, co by mogła zobaczyć, nie zostało w nim nic, co by mogło przebić się na powierzchnię.

- Porozmawiaj ze mną - powiedziała. - Jeżeli coś się stało...

- Nic się nie stało.

- To dlaczego wróciłeś tak późno? Jack... czy ty naprawdę pojechałeś do Paloma, żeby spotkać się z Nickiem Jacksonem?

- Mówiłem ci przecież.

- Nie do miasta... do Rakubiana...

- Nie. Oczywiście, że nie.

- Tak się martwiłam. Myślałam...

- Co myślałaś? - Hollis otworzył oczy i z trudem usiadł, mrugając, by na nią spojrzeć.

- Nie zmierzyłem się z nim ani nie skrzywdziłem tego psychopaty, jeśli to cię martwi. Czy chcesz, żebym przysiągł? W porządku, przysięgam na życie Angeli, na życie Kenny'ego.

Uwierzyła mu, bo chciała mu wierzyć. Zapytała: - Jesteś na mnie zły o to, że się martwiłam, że myślałam o najgorszym? Najpierw zniknął Eric, cały zdenerwowany, a potem ty zrobiłeś to samo...

- Nie - odpowiedział. - Nie jestem zły.

- A gdzie byłeś? Czemu nie zadzwoniłeś?

- Kolacja trwała dłużej, niż myślałem. Potem... Po prostu byłem przygnębiony. Angela

wyjeżdża, ta dzisiejsza sprawa z Erikiem, Rakubian. Potrzebowałem pobyć sam. Poszedłem do kina, pojeździłem trochę po okolicy... Unikałem powrotu do domu, choć brzmi to nie wiem jak parszywie.

Kłamstwa wypływały gładko. Och, stawał się cholernie dobrym kłamcą. Cassie uwierzyła mu. Powiedziała: - Rozumiem, ale mimo wszystko mogłeś zadzwonić.

- Wiem. Przepraszam.

- Nie pomyślałeś o Rakubianie? Że mógł się tu pojawić, zrobić Bóg wie co?

- Nie zrobił tego, prawda? Nie pokazał się tu, ani nic w tym stylu?

- Nie. Ale mógł.

- Ostatnio nie jestem sobą, Cass, nie myślę, jak trzeba. Działam mniej więcej normalnie, a zaraz potem jestem na wpół oszalały, później zachowuję się jak napalony nastolatek. Schizofrenicznie. Choć to nie jest żadne usprawiedliwienie, tak po prostu się dzieje.

Cassie westchnęła i powiedziała: - Też tak to widzę. - Potem czule dotknęła jego twarzy. - Wyglądasz na bardzo zmęczonego.

- Jestem wyczerpany.

- Śpijmy teraz, oboje - wyłączyła światło.

W ciemności, na krawędzi snu, przytulając ją i nienawidząc samego siebie, pomyślał: „Chronienie ich to jedyne, co ma znaczenie. Nieważne, ile mnie to kosztuje, nieważne, czego to wymaga...”

## ***11***

### ***Niedziela rano***

Po śniadaniu siedzieli na tarasie, nocna mgła już wyparowała i rześkie powietrze było pełne balsamicznych zapachów wiosny. Cassie i Angela były gdzieś wewnątrz, poza zasięgiem głosu.

- Czy chciałbyś mi coś powiedzieć, Ericu?

- A co na przykład?

- O tym, co wydarzyło się wczoraj.

Pauza. - Masz na myśli Rakubiana?

- Tak. Rakubiana.

- Nie mam nic do powiedzenia - odparł Eric. Patrząc mu prosto w oczy. - Wszystkie te

rzeczy zgromadzone w garażu... Przyznaję, że naprawdę mnie to wkurzyło. Miałem ochotę pojechać prosto do miasta i dać mu wpierdol.

- Ale tego nie zrobiłeś.

- Nie. Zachowałem zimną krew i wybrałem się na długą jazdę w przeciwną stronę. Założyłem się, że bałeś się, że mógłbym zrobić coś głupiego?

- Stałbym za tobą, gdybyś coś takiego zrobił, wiesz o tym.

- No cóż, nie musisz się martwić. Nie jestem już dzieckiem.

- Nie, nie jesteś. - Jesteś dorosłym kłamcą i oszustem, dokładnie jak twój stary.

Przez jakąś chwilę Eric milczał - ta pełna zadumy cisza, która zawsze sprawiała, że Hollis czuł się trochę nieswojo. - Biedna Angie - odezwał się wreszcie. - Za każdym razem, gdy na nią patrzę, widzę, jak bardzo jest przerażona... - Pokręcił głową, jakby otrząsając się z bolesnego wyobrażenia. - Jaki jest sens mówienia o tym? Na okrągło o tym rozmawiamy.

Hollis odchylił się na krześle, patrząc, jak jego syn się zamyśla. Pozornie Eric wyglądał w porządku. Jego oczy były czyste, tak jakby spał w miarę dobrze. Ręce pewne, język ciała mniej więcej w granicach normy. Ale wewnątrz? Przestraszony, zmartwiony... Tak. Przybity? Zapewne. Pełen skruchy? Może. Te same uczucia, które odczuwał Hollis - i które ukrywał. Obaj siedzą tutaj, tak jakby to był zwykły niedzielny poranek, jakby jeden z nich nie był mordercą, drugi nie był współnikiem po fackie, jakby wczoraj była zwykła sobota, a nie punkt zwrotny w ich życiu. Ukrywając prawdę przed sobą nawzajem, bo żaden z nich nie mógł znieść uświadomienia jej drugiemu.

Jego syn, jego własna krew - mordercą. Jak pogodzić się z czymś takim? Odpowiedź: w diabelskim czasie zdarzają się diabelskie rzeczy - dobrzy ludzie są doprowadzeni zarówno przez zewnętrzne, jak i wewnętrzne uwarunkowania do robienia czegoś, czego nigdy by nie zrobili w normalnych okolicznościach. Może to była racjonalizacja, taka zastępcza odpowiedź, ale nie znalazł lepszego sposobu spojrzenia na to, który pozwoliłby mu przetrwać. Dzisiaj był bardziej smutnym, bardziej gorzkim, nieco przegranym człowiekiem i podejrzewał, że Eric siebie widział w ten sam sposób.

Śmierć Rakubiana tak naprawdę nie zmieniała tego, co czuł do swojego syna. Nadal kochał go tak jak zawsze, zrobiłby wszystko, żeby go chronić. Czuł lekkie ukłucia rozczarowania i wstydu, nie mógł temu zaprzeczyć, ale nie były większe niż te, które odczuwał do samego siebie. Mógł żyć z tym, co zrobił Eric. Ale czy Eric mógł z tym żyć?

Sumienie i radzenie sobie ze złością, w tym tkwiło sedno. Złość była tym, o czym mogli rozmawiać, ale kiedy indziej - nie tak blisko tego wszystkiego, co wydarzyło się wczoraj. Na razie każdy z nich zachowa swój sekret i będzie nadal opowiadał kłamstwa, które

musi mówić...

- Tato? Dobrze się czujesz?

- Tak. Dlaczego pytasz?

- Masz dziwny wyraz twarzy. Jakby coś cię bolało.

- Po prostu myślę o Angeli i Kennym.

- No tak. Ja też.

- Masz zamiar wrócić dziś do San Luis? - spytał Hollis.

- Nie, myślałem, że wyjadę jutro rano, razem z nimi. Upewnię się, że dotarli bez problemu na autostradę. Mam tylko dwa zajęcia w poniedziałek i mogę je olać. - Chwila milczenia. - Twoja prostata sprawia ci kłopoty?

Skrzywił się na nagłą zmianę tematu. - Czemu o to pytasz?

- Widzę, w jaki sposób chodzisz, siadasz, jak czasem wyglądasz - tak jak przed chwilą.

Jeden sekret, którego nie musiał dłużej utrzymywać, przynajmniej przed Erikiem. Jedno kłamstwo, którego nie musiał nadal powtarzać.

- Tak, sprawia mi kłopoty.

- Te same symptomy?

- Przeważnie.

- A co mówi doktor Otaki?

- Nie widziałem się z nim ostatnio.

- Chryste, dlaczego nie?

- Zbyt wiele innych spraw mam na głowie. Ale umówię się na ten tydzień. Nie powiedziałaś chyba nic matce na ten temat, co?

- Uhm. Domyślam się, że ty też nie.

- Nie chciałem jej martwić. Powiem jej po tym, jak spotkam się z Otaki, zrobię nową serię badań. - Ale przyszło mu do głowy, że jeśli oznaki jego choroby były na tyle jednoznaczne, by Eric rozpoznał je w ciągu dwóch dni, z pewnością musiały być też od samego początku oczywiste dla Cassie. Więc dlaczego nic nie powiedziała?

- Dasz mi znać, jak już poznasz wyniki badań?

- Oczywiście. Czemu miałbym tego nie zrobić?

- Bez powodu. Tylko się upewniam, to wszystko.

Po tym nie mieli już sobie nic więcej do powiedzenia. Siedzieli tylko, sącząc kawę i unikając kontaktu wzrokowego - samotni konspiratorzy w wiosennym słońcu ze swoimi tajemnicami.

Kiedy upewnił się, że Gloria miała dość czasu, żeby wrócić z kościoła, zamknął się w garażu i zadzwonił do niej z telefonu komórkowego. Wyjazd do Tomales Bay odwołany: chciał spędzić dzień z Angelą i Kennym - powiedział - w związku z tym, że Angela zdecydowała, że wyjedzie jutro. Gloria była pełna zrozumienia. Powiedziała, żeby przekazał im jej pozdrowienia, będzie się za nich modlić każdego dnia. „Módl się też za Erica i za mnie - pomyślał Hollis. - To my tego teraz potrzebujemy”.

Wykonał szybką operację opróżniania bagażnika lexusa. Kilof i łopata w róg garażu za inne narzędzia, kolt woodsman do szafki zamykanej na klucz, kombinezon, kalosze, rękawiczki i pobrudzona ziemią koszula khaki i koc z Cal Poly do worka na śmieci. I wpełznął go potem na dno jednego z pojemników.

Teraz już nic mu nie pozostało do zrobienia, jak czekać.

### *Niedziela po południu*

Dwóch gości, żeby pożegnać się z Angelą i z Kennym.

Jeden był oczekiwany. Podczas śniadania Angela powiedziała ostrożnie: - Ryan wpadnie dziś po południu. Zapytał i powiedziałam, że myślę, że to możliwe. Proszę, nie bądź na mnie zły, tato.

- Nie jestem zły.

- Nie zostanie długo. Tyle tylko, żeby znów zobaczyć się z Kennym, zanim wyjedziemy.

Hollis obiecał, że będzie uprzejmy w stosunku do Pierce'a, i miał taki zamiar. Nie była to duża przysługa, jeśli miało to pomóc jej przeżyć następne dwadzieścia cztery godziny. Wydawała się dziś przeczulona, nie z powodu długiej jazdy do Utah albo ze względu na perspektywę mieszkania z obcymi - pomyślał - ale dlatego, że obawiała się, że Rakubian może pojawić się w ostatniej chwili, że zrobi coś szalonego, zanim zdąży uciec. Gorąco pragnął wziąć ją w ramiona, powiedzieć jej, że już nigdy więcej nie będzie musiała się obawiać Davida Rakubiana, powiedzieć jej, że ucieczka nie jest już potrzebna. Utrzymywanie pozorów było prawie tak bolesne jak to, czego doświadczyli z ręki Rakubiana za jego życia.

Drugi gość, w kolejności przybycia pierwszy, był niezapowiedziany. Gabe Mannix. Hollis był u siebie w gabinecie z Kennym, który grał na komputerze w Pokemony. Chłopiec był o wiele mniej ożywiony niż zazwyczaj. Pogodził się z koniecznością wyprowadzki - Angela odbyła z nim długą rozmowę - ale tak naprawdę nie rozumiał tego ani mu się to nie podobało.

- Nie chcę cię zostawić, dziadku - powiedział, jego cienkie ramionka ciasno oplatały jego szyję. - Chciałbym móc zostać tu z tobą i z babcią.

- Też bym tego chciał. Ale to tylko na jakiś czas.

- A przyjedziecie nas odwiedzić?

- Może nie będziemy musieli. Może ty i mama wróćcie do domu, zanim nadejdzie czas na wizytę.

- Naprawdę?

- Daję słowo.

- Kiedy? Za dwa tygodnie?

- Może nie tak szybko.

- Ale przed fajerwerkami na Czwartego Lipca?

- Zobaczymy. Jeśli obiecasz, że będziesz grzeczny i będziesz się opiekować mamą.

- Będę. Obiecuję, dziadku.

Więcej tęsknoty, więcej bolesnych pozorów.

Kiedy Hollis usłyszał dzwonek u drzwi, pomyślał, że to Pierce, i nie ruszył się. Potem pojawiła się Cassie i powiedziała mu, że to Gabe. Zostawił Kenny'ego z jego grą wideo i poszedł do salonu.

Mannix siedział na kanapie obok Angeli, trzymając ją za rękę i przemawiając żarliwie. Cokolwiek mówił, wywoływało to na jej twarzy blady uśmiech. Zawsze go lubiła. Więcej niż raz powiedziała, że był dla niej jak wujek. Choć mina na wyrazistej twarzy Mannixa była wszystkim innym, tylko nie miną ojcowską. Jeśli jakiś inny mężczyzna w średnim wieku spoglądałby na jego córkę z takim samym tęsknym pragnieniem, Hollisowi nie podobałoby się to. Ale nie w przypadku Gabe'a. Byli przyjaciółmi od zbyt dawna, a jego uczucia dla niej były nie tylko niewypowiedziane, ale do tego bliskie uwielbienia. Był pełnym wigoru gałganem wobec każdej kobiety poza Angelą. I poza Cassie, oczywiście.

Posłał Hollisowi krzywy uśmiech, wciąż trzymając ją za rękę. - Byłem w okolicy - wyjaśnił.

- Och, nie wątpię.

- No cóż, nie mogłem im pozwolić wyjechać bez pożegnania, czyż nie?

- Jasne, cieszę się, że nie pozwoliłeś. Gdybym nie miał takiego chaosu myśli, zaprosiłbym cię sam. Napijesz się kawy?

- Jeśli nie masz nic przeciwko, wołałbym klina.

- Co, ciężka noc?

- Ciężka noc z małymi ludźmi. Szkocką, single malt, proszę.

Hollis wlał glenlivetę na trzy palce dla Gabe'a, opierając się chęci nalania też i sobie. W jego kruchym i niestabilnym stanie alkohol był niebezpiecznym dodatkiem. Siedzieli w czwórce, rozmawiając zdawkowo, każde z nich unikając rozmowy o Rakubianie i o tymczasowej przewodniczącej. Po jakimś czasie zszedł Eric, żeby do nich dołączyć.

Potem pojawił się Pierce.

Przynajmniej nie wyglądał tak niechlujnie jak w zeszłym tygodniu. Włosy przystryżone, świeżo ogolony, stara, sztruksowa, sportowa marynarka i spodnie, zamiast stroju w kowbojskim stylu. Był jednak skrepowany, a widok Gabe'a i Erica nie ułatwił mu sprawy. Eric nie miał mu nic do powiedzenia. Zignorował jego nieśmiałe powitanie i poszedł z powrotem na górę. Mannix najpierw zareagował zaskoczeniem, a potem przybrał niewzruszony, gniewny wyraz twarzy. Pierce wydawał się wyczuwać, że wychodzenie z pomysłem uściśnięcia mu dłoni mogłoby się spotkać z odmową. Nie spróbował też tego z Hollisem.

Usiadł na krześle najbliższym Angeli, która odsunęła się od Gabe'a, przybliżając się do niego. Cassie, rozjemca towarzyski, poszła po Kenny'ego, ale obecność chłopca niewiele pomogła w obniżeniu napięcia w pokoju. Wydawał się nie bardziej ucieszony na widok Pierce'a niż cała reszta.

Pierce zmierzwił mu włosy, coś, czego Kenny nie lubił, jak dorośli robili, i zapytał: - Jak ci leci, stary?

- W porządku - odpowiedział Kenny. Potem zapytał: - Ty naprawdę jesteś moim tatą?

Uśmiech Pierce'a zbladł. Jego odpowiedź brzmiała obronnie.

- Pewnie, że jestem. Wiesz o tym.

- Więc czemu z nami nie mieszkasz? Czemu tak długo cię nie było? Czemu nie jedziesz z nami?

Cassie zainterweniowała, mówiąc: - Kenny, co ty na to, żeby pokazać tacie, jak dobry jesteś w Pokemony? Mama też z wami pójdzie.

Angela zrozumiała aluzję i wyszli w trójkę, Pierce ocierając się o nią i trzymając chłopca za rękę - tak, jakby osiemnaście miesięcy zostało dla niego całkowicie wymazanych i znowu byli rodziną. Patrząc na nich, Hollis żałował, że jednak nie nalał sobie szkockiej. Mannixowi też to się nie podobało. Opróżnił szklankę i wstał.

- Chyba jeszcze nie wychodzisz, Gabe? - zapytała Cassie.

- Mam robotę. Taka już nasza ludzka dola.

- Idź i pożegnaj się z Angelą, zanim wyjdiesz.

- Już to zrobiłem.



Cmoknął Cassie w policzek, kiedy się odwracał, zerknął na Hollisa. Spojrzenie oznaczało, że chciał pogadać. Hollis poszedł za nim do drzwi i na ganek.

Jak tylko byli sami, padło: - Co ten mały kutas tutaj robi, Jack? Kiedy wrócił, czolgając się chyba przed nią?

- Kilka dni temu.

- Powinieneś był mnie uprzedzić.

- Wiem. Po prostu nie kojarzę tak, jak powinienem.

- No cóż, po jaką cholereę on się tutaj kręci?

Hollis zwięźle wyjaśnił.

- Zmieniony? - powtórzył za nim Gabe. - On? Bzdury!

- Wydaje się, że Angela to kupuje.

- Tak, zauważyłem. Wygląda mi na to, że Pierce próbuje na powrót się wkręcić w jej łaski. Nie sądzisz, że jest dostatecznie naiwna, żeby na to pozwolić?

- Nie jest naiwna. Jest przestraszona.

- Znaczy, że mogłaby?

- Znaczy, że nie wiem. Cassie uważa, że ona nadal jest w nim zakochana.

- Chryste! Po tym wszystkim?

- Mnie też nie chce się w to wierzyć.

- Nie możesz jej pozwolić znów się z nim związać.

- Co chcesz, żebyśmy zrobił, fizycznie wybił jej to z głowy? To jej życie, Gabe. Jej wybory.

- Cholernie kiepskie wybory, jeśli chodzi o mężczyzn - podsumował Mannix. - Najpierw Pierce, potem Rakubian, teraz znów Pierce. Powiedziała mu, dokąd jedzie?

- Nie podaje nikomu dokładnego adresu, nawet Cassie i mnie.

- Załóżmy, że pojedzie za nią?

- Tak się nie stanie.

- Tutaj też pojawił się nieproszony, prawda?

- Angela podejmie środki ostrożności. Nie pozwoli, żeby cokolwiek zagroziło przerosinom.

- Mam nadzieję, że masz rację. Mały szczył. Sposób, w jaki potraktował ją i chłopca...

- Zejdz z Pierce'a, dobrze? - przerwał mu Hollis. - Nie on jest tu głównym problemem.

Mannix przetarł ręką twarz, poruszył ustami, jakby smakował coś cierpkiego. - No tak, Rakubian. Co masz zamiar z nim zrobić?

Hollis odpowiedział ostrożnie: - Jeśli miałbym na to odpowiedź, zrobiłbym to już

dawno temu.

- Masz odpowiedź. Nie chcesz po prostu stawić temu czoła.

- Zejdź też z tego tematu, dobrze?

Mannix popatrzył na niego przez kilka sekund, z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Potem wzruszył ramionami i rzekł: - W porządku. Jestem w pobliżu, jakbyś chciał pogadać. Teraz potrzebuję kolejnego klina. Do diabła, czuję się tak, że mógłbym próbować połknąć całą pieprzoną wodę świata.

### ***Poniedziałek***

Było niewiele przed wpół do ósmej, kiedy pocałował córkę i wnuka na pożegnanie. Angeli zależało, żeby wyruszyć wcześniej, dojechać dziś aż do Winnemucca po to, by jutro wieczorem móc dotrzeć do Salt Lake City. Ciemne smugi pod oczami, niespokojne ruchy, spojrzenie uciekające w stronę ulicy przez cały czas, kiedy on i Eric pomagali załadować samochód, tak jakby po części spodziewała się, że Rakubian pojawi się z rykiem silnika w swoim bmw. Eric nie był dziś w o wiele lepszym stanie. Zamknięty w sobie, raczej milczący. „Sumienie także i nad nim pracuje” - pomyślał Hollis.

Pożegnanie było krótkie i pełne skrępowania. Szybkie pocałunki, niewiele czulsze niż zdawkowe cmoknięcia, nawet ten Kenny'ego. Dłoń Erica sucha w jego dłoni i kontakt urwany wraz z końcem dotyku. Zdawkowe uśmiechy, pospieszne obietnice, wymuszone słowa otuchy. Angela i Eric odjechali razem: procesja złożona z dwóch samochodów, ona na przedzie. Eric miał pojechać za nią aż do autostrady nr 80, by się upewnić, że nikt jej nie ściga. Znowu Hollisa skręciło na myśl, że wszystko to było zupełnie niepotrzebne, a mimo to nie był w stanie tego powstrzymać.

Stał z Cassie na podjeździe, ciasno oplatając jej talię ramieniem, patrząc, jak oba samochody znikają z oczu i jeszcze jakiś czas po tym, jak znikły z pola widzenia. Kiedy poczuł, że ona patrzy na niego, spojrzał na nią.

- Czuję się trochę zagubiona - powiedziała. - Wiesz, co mam na myśli?

Dobrze wiedział. Sam też tak się czuł.

\*

Przez cały ranek w biurze, pracując przy desce kreślarskiej, siedział jak na szpilkach. Czy przeoczył coś na placu Chestertona, co mogłoby wzbudzić podejrzenia załogi Pete'a Dulaca? Nie był w stanie przywołać jasnego obrazu tego, jak wyglądały wykopy, kiedy skończył

sprzątać. Sobota zaczynała zacierać się w jego pamięci, detale rozmywały się, jakby był raczej obserwatorem niż uczestnikiem wydarzeń - jak w filmie, który widział, albo jak w jednym z tych dziwnych, wszechwiedzących snów, w których stoisz z boku i patrzysz na siebie robiącego rzeczy, które nie mają wiele znaczenia albo są go całkowicie pozbawione.

Za każdym razem, gdy dzwonił telefon, zamierał, żeby usłyszeć część rozmowy Glorii: wymaginowany dialog przebiegający w kółko w jego głowie: „Och, tak, Pete, jest tutaj” i „Jack, Chryste, znaleźliśmy zwłoki, ktoś dostał się tu przez weekend i zakopał zmarłego gościa w piwnicy Chestertona”. Nie zdarzyło się to. Żaden z telefonów nie był od Dulaca ani kogokolwiek innego związanego z PAD Construction.

Gloria dobrze wiedziała, że był spięty, ale uznała to za reakcję na wyjazd córki i wnuka. Zostawiła go w spokoju i sama zajęła się odbieraniem telefonów. Mannix pojawił się, jak gdyby nigdy nic gdzieś około wpół do jedenastej, wyglądając na jeszcze bardziej skacowanego niż wczoraj. Nie miał wiele do powiedzenia, popracował mniej niż godzinę i wyszedł przed południem.

Hollis uparł się, żeby zostać w biurze pomiędzy dwunastą a pierwszą. By dać Glorii szansę zjedzenia obiadu w restauracji zamiast jej zwykłego lunchu na wynos - jak objaśnił, ale tak naprawdę to sam nie mógł przełknąć kęsa jedzenia bez zakrztuszenia się. Przez tę godzinę telefon w ogóle nie zadzwonił. Powinien był się do tej pory już zrelaksować. Jednak w przewrotny sposób czekanie i niepewność wzmogły tylko napięcie. Do czasu, kiedy Gloria wróciła, nie mógł już dłużej tego znieść. Wszedł do swojego boksu i zadzwonił do Pete'a Dulaca.

- Pete? Tu Jack Hollis. Jak tam?

- Tak samo jak w zeszły czwartek - odpowiedział krótko Dulac. - Zgodnie z planem.

- No cóż, chciałem ci tylko powiedzieć, że Chesterton był zadowolony. Nie mógł powiedzieć złego słowa o tobie i twojej ekipie.

- Byłbym piekielnie zdziwiony, gdyby się skarżył.

- Zwłaszcza podobało mu się, jak wygląda piwnica na wino.

- Taak, no cóż, ci bogacze i ich priorytety... Słuchaj, Jack, cieszę się z powodu Chestertona, ale jestem tu potwornie zajęty. Właśnie teraz wylewają płytę fundamentową.

- Tę w piwnicy na wino?

- Dokładnie tak. Chciałeś coś jeszcze?

- Nie - powiedział Hollis. - Nie, to wszystko.

Siedział rozparty na krześle. Ustąpienie napięcia sprawiło, że zakręciło mu się w głowie, jakby się topił w środku. Właśnie teraz wylewają fundamenty - zaplombowują

Rakubiana w jego grobie. Narzędzie zbrodni, zakrwawiony dywan, ciało z jego roztrzaskaną czaszką... Wszystko schowane tam, gdzie nikt nie będzie mógł tego nigdy znaleźć, pod półmetrowym zastygłym betonem. Eric był bezpieczny. Angela, Kenny, Eric - wszyscy bezpieczni.

Ale nie on, jeszcze nie. Wciąż wił się na haczyku. Zastanowił się, jak dużo czasu zajmie uznanie Rakubiana za zaginionego i kiedy dotrze do niego policja z San Francisco.

## 12

### *Wtorek wieczór*

April Sayers, kobieta z grupy wsparcia w Santa Rosa, zadzwoniła przed kolacją ze zwięzłą informacją - przyjechali bezpiecznie. Żadnych incydentów, żadnych trudności. Niedługo dostaną maila.

Teraz, przynajmniej na jakiś czas, mógł przestać martwić się o Angelę i Kenny'ego.

### *Środa po południu*

Stan Otaki był renomowanym urologiem i zazwyczaj był zbyt zajęty, by móc umówić się na wizytę bez dużego wyprzedzenia, jeśli nie było nagłej potrzeby. Ale Hollis znał go od trzydziestu lat - byli kolegami z klasy z liceum Los Alegres - i kiedy przeprosił za odwołanie swoich dwóch ostatnich wizyt i zasygnalizował, że jest gotów podjąć zasadnicze leczenie, Otaki wcisnął go na pierwszą po południu.

Hollis nie lubił gabinetów lekarskich, tak samo jak szpitali - medyczne zapachy, lśniąca niklem wyposażenie, domieszka sterylności i ukrytego cierpienia. Usiadł skrupowany w prywatnym gabinecie Otaki, przedstawiając kolejną turę słabych wymówek i odpowiadając na dociekliwe pytania na temat oddawania moczu, dysfunkcji erekcji, natężenia bólu i poziomu dyskomfortu. Potem poddał się zaciskającemu zęby badaniu per *rectum*, sprawdzeniu ciśnienia i podstawowym badaniom odruchów neurologicznych. Otaki nie był zbyt rozmowny w pokoju zabiegowym. Począł, aż będą z powrotem w jego gabinecie.

- Oczywiście nie mogę stwierdzić, jak bardzo zaawansowany jest rak, aż do chwili, gdy nie zrobimy drobiazgowego badania diagnostycznego krwi - orzekł. - Ale podejrzewam, że nie osiągnął jeszcze zaawansowanego stadium. Jeśli to prawda, i jeśli poza tym zdrowie ci dopisuje, powinniśmy móc go powstrzymać agresywną terapią.

Zaawansowane stadium. Numer III na wykresie. Komórki rakowe rozprzestrzeniły się

poza torebkę prostaty do tkanek dookoła niej, prawdopodobnie do gruczołów, które produkują spermę. Zapewne było jeszcze za wcześnie, żeby martwić się o Stadium IV, w którym komórki rakowe przetrwały się do węzłów chłonnych lub do narządów i tkanek oddalonych od prostaty, takich jak kości, wątroba albo płuca - ale z drugiej strony z rakiem nigdy nie można mieć pewności. Może rozprzestrzeniać się w zatrważającym tempie. Numer III był dostatecznie poważny, a Numer IV bardzo blisko wyroku śmierci.

- Nie wypowiem się ostatecznie, póki nie zobaczę wyników badań - dodał Otaki. - Jednak jeśli nie wykażą radykalnego pogorszenia, najlepszym rozwiązaniem i tak będzie prostatektomia. Przy tym im szybciej, tym lepiej.

- Nie.

- Posłuchaj, Jack, dałeś jasno do zrozumienia, co myślisz o operacji, ale...

- Nie - powiedział. - Nie pozwolę tobie ani nikomu innemu otworzyć się, niezależnie od tego, jak bardzo zaawansowany jest ten rak. Istnieje radioterapia, nieprawdaż?

- Tak. Pięć dni w tygodniu, sześć albo siedem tygodni pod rząd. Czy chcesz się poddać takiemu sztywnemu harmonogramowi, znosić możliwe skutki uboczne?

- Jeśli to konieczne.

- No cóż, decyzja należy do ciebie - orzekł Otaki. Przebiegł palcem po swoich schludnych, szpakowatych wąsach, gest, który Hollis odczytał jako potępiający. - Twoje ciało, twoje zdrowie.

- Chcesz powiedzieć, że naświetlania prawdopodobnie nie poskutkują?

- Oczywiście, że nie. Może jednak załatwią sprawę.

- A jeśli nie?

- Całkowite wykluczenie operacji niezależnie od okoliczności radykalnie podwyższa element ryzyka. To fakt - staram ci się to uświadomić. Jeśli wątpisz w moją opinię, zasięgnij drugiej, albo i trzeciej porady...

- Nie potrzebuję żadnych innych opinii. Nie wątpię w twoją ocenę sytuacji.

- Czy przynajmniej zastanowisz się nad tym jeszcze? Porozmawiasz o tym z Cassie?

- Dobrze, w porządku.

Ale wiedział, że tego nie zrobi.

### ***Czwartek rano***

W końcu, na trzeciej stronie „Kroniki”:

## ZAGINAŁ WYBITNY ADWOKAT

Notatka była drugim tekstem w dziale „Doniesień z okolic Zatoki”, poświęconym drobnym wydarzeniom. Była krótka: parę akapitów - kolejny pomyślny znak. W napięciu przeczytał tekst.

„David J. Rakubian, lat trzydzieści pięć, adwokat specjalizujący się w sprawach o obrażenia ciała, znany ze swych nieustępliwych metod na sali sądowej... Ostatnio widziano go późnym popołudniem w piątek w jego biurze na South Beach... Zaginięcie zgłosiła jego asystentka, Valerie Burke, w poniedziałek po południu... Zgodny z procedurą uznania za zaginionego okres oczekiwania, zanim policja będzie mogła podjąć stosowne kroki... Samochód Rakubiana znaleziono w garażu w jego domu w St. Francis Wood... Brak dowodów dokonania przestępstwa... Ostatnio rozwiedziony ze swoją żoną poślubioną dziewięć miesięcy wcześniej... Zaaresztowany trzy tygodnie temu w Los Alegres za publiczne pobicie eks-żony”.

„Brak dowodów dokonania przestępstwa”. To było kluczowe zdanie. Policja nie znalazła nic podejrzanego w domu. Potrzebna byłaby dogłębna ekspertyza zakładu medycyny sądowej, by stwierdzić obecność śladów krwi, a było mało prawdopodobne, by zarządzono takie badanie bez konkretnego dowodu, który by przemawiał za jego podjęciem.

Asystentka będzie źródłem informacji o rozpadzie małżeństwa, koloryzując je na korzyść Rakubiana. Fragment o publicznym pobiciu był zapewne wygrzebany przez reportera. Policja miała też nazwisko Hollisa od Valerie Burke i pełną relację z jego wybuchu wściekłości w biurze Rakubiana, plus dodatkową informację o jego drugiej wizycie w zeszłym tygodniu. Niedługo skontaktują się z nim - dziś, najpóźniej jutro. Chyba że jako pierwszy wystąpi z inicjatywą.

Zerknął przez stół śniadaniowy. Cassie sączyła kawę, czytając dział wydarzeń kulturalnych. Zacerpnął powietrza, potem trzepnął dłonią w gazetę i powiedział gwałtownie: - Mój Boże!

Podniosła szybko głowę do góry. - Co takiego?

- Spójrz na to - rzekł. Podał jej swoją część gazety, stukając palcem wskazującym w artykuł.

Zerknęła. A potem przeniosła spojrzenie na niego, ale patrzyła jakby przez niego - ponurym, nieobecnym wzrokiem. Po chwili zapytała: - Co to oznacza?

- Sam chciałbym wiedzieć.

- Zbieg okoliczności, Jack?

- Zbiegi okoliczności się zdarzają. Jeden mógł przytrafić się jemu.

- Na przykład jaki? Stosowny wypadek?

- To albo coś innego. Taki krętacz jak on musiał mieć wielu wrogów. - Przerwał. - Jest też inna możliwość.

- Jaka?

- Zrobił to umyślnie - powiedział. - Co, jeśli się jakoś dowiedział, że Angela wyjeżdża?

Jakby uderzył ją w twarz. Wzdrygnęła się, zeszywniała. - Chcesz powiedzieć, że być może pojechał jej szukać, ścigać ją?

- Pokładam nadzieję w Bogu, że nie. - Kłamstwa w jego ustach były wstrętne, jak substancja kałowa, raniły go tak mocno jak ją. Jednak kłamał dalej, znów się nienawidząc. - Ale niczego bym w jego przypadku nie wykluczył.

- Jak mógł się dowiedzieć?

- A jak ktokolwiek dowiaduje się o czymkolwiek?

- Ale nie mógł wiedzieć, dokąd ona pojechała.

- Nie. Na pewno jej nie śledził, nie mógł - z Erikiem tuż za nią. Napiszemy do niej maila, powiemy, co się stało, ostrzeżemy, żeby była jeszcze bardziej ostrożna. Powiadomimy też April Sayers.

Cassie przytaknęła. Ale potem powiedziała: - Nie wiem sama. Nie wiem, Jack.

- Czego nie wiesz?

- Jego samochód... W gazecie jest napisane, że jest w garażu. Jeśli pojechał szukać Angeli, czemu nie wziął swojego samochodu?

- Może zdecydował, że to za bardzo zwracałoby uwagę. Albo poleciał gdzieś samolotem.

- To niepodobne do Rakubiana. Po prostu zniknąć tak z pola widzenia - żadnych telefonów do swoich pracowników w biurze, zostawiając wszystko?

Zbyt wiele myślała. Zbyt sprytna dla swojego własnego dobra.

- On jest chory psychicznie, Cass. Nie możesz przewidzieć, co zrobi psychopata.

- Myślał i działał logicznie przez cały ten czas, czyż nie? I znika, kiedy nie ma najmniejszego pojęcia, gdzie Angela pojechała... To po prostu nie brzmi przekonująco.

Nie mógł przeciągać struny, wzbudziłoby to tylko jej podejrzenia. - Jeśli coś naprawdę mu się stało - powiedział - wypadek czy coś innego - to jest to dobra wiadomość, najlepsza, o jakiej moglibyśmy marzyć. Coś w rodzaju cudu.

- Czyżby?

- Jeśli odnajdzie się martwy, albo jeśli w ogóle się nie odnajdzie, będzie to znaczyło, że Angela i Kenny mogą wrócić do domu. Znaczy to, że my wszyscy możemy przestać się bać.

- Nie wiem - powiedziała znowu. - Nie podoba mi się to.

- Co ci się nie podoba? Nie możesz chcieć, żeby Rakubian był nadal, gdzieś tam, żywy.

- Ze sto razy pragnęłam, żeby był martwy.

- Więc?

- Jeśli nie żyje... Czemu? Co mu się przytrafiło?

- Szczegóły nie są ważne...

- Są, jeśli został zamordowany.

- Przez jakiegoś obcego? Co za różnica, kto to zrobił?

- A załóżmy, że to był Eric? - powiedziała.

Jego pierwszy telefon był do April Sayers. Widziała już tekst w *Kronice*, dopiero co skończyła rozmawiać przez telefon ze swoimi krewnymi w Utah. Angela i Kenny mieli się dobrze. Dodatkowe środki ostrożności zostały przedsięwzięte, tak na wszelki wypadek. „I to wszystko niepotrzebne” - pomyślał Hollis, rozłączając się. Wyobrazził sobie, jak bardzo jego córka musiała być tym zaniepokojona. Pocieszanie się, że było to tylko tymczasowe, że efekt końcowy usprawiedliwiał dodatkowy niepokój, było zimną i gorzką pociechą.

Drugi telefon: Eric. Było na tyle wcześnie, że był jeszcze w pokoju i linia nie była zajęta. Hollis wolałby sam do niego zadzwonić, ale Cassie nalegała, żeby podnieść drugą słuchawkę. Jej obawa, że to Eric był odpowiedzialny, wstrząsnęła nim. Powinien był to przewidzieć, ale tego nie zrobił. Jakoś udało mu się rozwiać jej obawy na tyle, by nic nie powiedziała Ericowi. Pozwoliła, żeby to on mówił. Reakcja Erica może ją uspokoiła, ale za to zaniepokoiła Hollisa. Bez krztyny zdziwienia, że Rakubian był uznany za zaginionego, a nie, że znaleziono go martwego u niego w domu. Troska o siostrę i siostrzeńca, ostrożny optymizm - ta sama zewnętrzna poza co Hollisa. Ale czy nie radził sobie z sytuacją *zbyt* dobrze? Nie miał tyle poczucia winy i wyrzutów sumienia, ile powinien, może myśląc, że to, co zrobił, było całkowicie uzasadnione?

Trzeci i ostatni telefon był do Pałacu Sprawiedliwości w San Francisco, do Wydziału Osób Zaginionych. Powiedziano mu, że inspektor nadzorujący sprawę Rakubiana nazywał się Napoleon Macatee, ale że nie było go w biurze. Hollis zostawił wiadomość, podając swój telefon domowy i komórkę. Teraz to on oficjalnie był tym, który pierwszy nawiązał kontakt.



Inspektor Macatee zadzwonił do niego do biura Mannix & Hollis niedługo przed południem. Uprzejmy, o łagodnym głosie i o modulacji, która wskazywała, że był Afroamerykaninem. Nie, powiedział Hollis, nie posiadał żadnych informacji dotyczących zniknięcia Davida Rakubiana. Widział artykuł, zaniepokoiło go to ze względu na potencjalne zagrożenie dla jego córki.

- Wie pan, że napadł na nią w miejscu publicznym kilka tygodni temu - powiedział - i musieliśmy zdobyć nakaz sądowy przeciwko niemu. Zachowywał się coraz bardziej nierozsądnie, dzwonił o każdej porze, pojawiając się tutaj, grożąc.

- Jego personel zupełnie inaczej go przedstawił - odparł Macatee.

- Nie wątpię. Znają tylko jego publiczną twarz. Mamy kasety z jego telefonami, jego listy, wszystko. Jeśli chciałby pan przejrzeć...

- Z całą pewnością będę chciał to zrobić. Panie Hollis, wiem też, że był pan w biurze tego człowieka w zeszły wtorek rano. Mógłby mi pan powiedzieć, z jakiego powodu?

- Powód jest oczywisty. Była to ostatnia bezowocna próba powstrzymania go od nękania mojej rodziny. Strata czasu, jak grochem o ścianę. Jeśli chodzi o niego, jest winny tylko tego, że próbował odzyskać swoją żonę. Ma na jej punkcie obsesję. Nie tylko jest maniakiem ciągłych kontroli i zwyrodnialcem, ale pewnie i psychopata.

- Psychopata to dość mocne słowo.

- Nie w przypadku Rakubiana. Ostatni raz, jak pojawił się w Los Alegres, zastał moją córkę samą i groził, że zabije ją i mojego wnuka, jeśli do niego nie wróci.

Macatee przetrwał to, nim spytał: - Ktoś jeszcze był przy tym?

- Tylko Kenny, mój wnuk. Ale moja córka nie wymyśliłaby takiej historii. Ona nie kłamie i nie przesadza. Powiedziała, że on naprawdę miał to na myśli, i ja jej wierzę.

- Czy wiedział pan o tej groźbie, kiedy rozmawiał pan z nim we wtorek?

- Wiedziałem i zapytałem go o to. Zaprzeczył, oczywiście.

- Groził mu pan?

- Nie. Za pierwszym razem, gdy tam poszedłem, straciłem głowę - sędzę, że wie pan o tym, i tym razem pilnowałem się, by do tego nie dopuścić. Ale, przyznaję, mało brakowało.

- Zły, sfrustrowany... Tak się pan czuł, jak pan stamtąd wyszedł?

- Pan nie czułby się podobnie, inspektorze, jeśli chodziłoby o pana rodzinę? Powinienem być wiedzieć, że nie ma sensu próbować przemówić do rozsądku człowiekowi takiemu jak on. Ale bez względu na to, jak się wtedy czułem i jak nadal się czuję, nie miałem nic wspólnego z jego zniknięciem.

- Widział go pan od wtorku?

- Nie.

- Rozmawiał pan z nim?

- Nie.

- Pańska córka miała z nim jakiś kontakt?

- Nie. Cały weekend była z nami w domu.

- Teraz też jest w domu?

- Nie, nie ma jej od poniedziałku - odparł Hollis i wyjaśnił decyzję Angeli dotyczącą przeprowadzki, przygotowań, jakie poczyniła. - Nie mogę panu powiedzieć dokładnie, gdzie teraz jest. Ani ja, ani moja żona sami dobrze nie wiemy.

- Ale może się pan z nią skontaktować.

- Tak. Już wie, że Rakubian zaginął. Moja żona i ja martwimy się, że dowiedział się, że się przeprowadzała i zniknął nam z oczu, żeby jej szukać.

- Jak mógłby się dowiedzieć?

- Nie znam odpowiedzi na to pytanie. Z całą pewnością ja nie powiedziałem nic, co by mogło mu posłużyć za wskazówkę. Ale on jest sprytnym cwaniakiem i ma mnóstwo kontaktów. Z tego, co wiemy, wynajął kogoś, by ją obserwować. Wątpię, by ktoś mógł ją śledzić, kiedy wyjeżdżała w poniedziałek, ale jak możemy mieć całkowitą pewność?

- Chcę porozmawiać z pańską córką - oznajmił wtedy Macatee. - Byłbym wdzięczny, gdyby mógł pan to jej przekazać, sprawić, żeby się ze mną jak najszybciej skontaktowała.

- Ale nie będzie pan próbował zmusić jej, by wyjawiała panu miejsce swojego pobytu? Albo by tu wróciła?

- Bez istotnego powodu nie.

- W porządku. Podam jej w mailu pańskie nazwisko i numer telefonu.

Macatee zadał mu jeszcze parę pytań. Z tego, co Hollis mógł wywnioskować, żadne z nich nie wynikało z czegoś więcej niż z rutyny. Powiedział, że zarówno on, jak i Angela będą w kontakcie i rozłączył się.

„Koniec pierwszej rundy. Wynik nie rozstrzygnięty” - pomyślał. Najlepsze, na co mógł liczyć.

\*

### ***Piątek po południu***

Stan Otaki zadzwonił z wynikami jego kierunkowych badań krwi. - Dobra wiadomość jest taka, że rak nie rozprzestrzenił się poza prostatę.

Chwycił się tego przez kilka sekund. Potem zapytał: - A zła?

- Tempo wzrostu z całą pewnością jest coraz szybsze. Moja rada, czy ci się to podoba, czy nie, to zrobienie „pierwszego cięcia”, by usunąć i zbadać węzeł limfatyczny otaczający gruczoł.

- Czyli operacja. Nie zrobię jej, Stan.

Otaki wydał z siebie chropawy, bulgoczący odgłos. - Niech tak będzie. W takim razie sugeruję, żebyśmy od razu zaczęli radioterapię.

- Jeśli chodzi o to, nie mam obiekcji.

- Poczynię wszystkie przygotowania.

- A w tym czasie - zapytał Hollis - co powinienem robić? Zacząć porządkować swoje sprawy, tak na wszelki wypadek?

- Nie traktuj tego lekko, Jack.

- Nie traktuję. Próbuję tylko zachować uśmiechniętą twarz.

- Pozytywne podejście jest ważne. Mówiliśmy o tym.

- Nie zapomniałem. Moje podejście jest pozytywne - powiedział i naprawdę tak uważał. - Pokonam to, w taki czy w inny sposób.

- I o to chodzi!

„Przecież ten guz - pomyślał - nie może być gorszy od tego, co pochowałem w sobotę w nocy”.

### *Piątek wieczór*

Cassie siedziała spokojnie, kiedy skończył mówić, nie okazując żadnych emocji. Miała chyba wilgotne oczy, ale nie był pewien przy tym świetle w salonie. Po chwili dodał: - Wiedziałaś, prawda?

- Że się pogarszało? Tak.

- Czemu nic nie powiedziałaś?

- Miałaś dostatecznie dużo na głowie beze mnie naprzykrzającej ci się z powodu raka. Wiedziałam, że w końcu zobaczysz się ze Stanem, że porozmawiasz ze mną, jak będziesz gotowy. Czasami jesteś uparty i głupi, ale nigdy się łatwo nie poddawałeś. Nigdy nie uległbyś chorobie zagrażającej życiu.

- Nie ma mowy.

- Więc radioterapia.

Przytaknął. - I nie będziesz się starała przekonać mnie do operacji?

- Czy na coś by to się zdało?

- Wiesz, co myślę. Nie zniósłbym takiej operacji. Zimny pot oblewa mnie na samą myśl o tym.

- Więc nic nie powiem. Ale chcę, żebyś w zamian zrobił coś dla mnie.

- Jeśli mogę.

- Nigdy więcej nie kłam. Nie unikaj prawdy, nie naginaj jej i nie chowaj się za nią. Jesteśmy zespołem, pamiętasz? Nigdy więcej nie walczy ze *mną*.

- Nie będę - obiecał. I nie robiłby tego, jeśli chodzi o raka. Eric i Rakubian to było co innego. Ukrywanie tamtej prawdy było koniecznością - aktem łaski, aktem miłości.

### ***Poniedziałek po południu***

Napoleon Macatee przyjechał z miasta, by zbadać dowody świadczące o prześladowaniu przez Rakubiana swojej żony i syna. Hollis i Cassie spotkali się z nim w domu o drugiej. Był to czarny mężczyzna około pięćdziesiątki, krępy i masywny jak beczułka, z oczami jak brązowe rany. Te oczy wiele widziały i raczej nic już ich nie zaskoczy ani nie zaszokuje. Oczy jednocześnie cynika i męczennika.

Wydawał się dość rozmowny, kiedy Hollis zapytał o postępy w śledztwie. Krótka odpowiedź, jak powiedział, brzmiała: niestety, żadne. Dwukrotnie rozmawiał z Angielą (tak jak i oni - zadzwoniła po pierwszej rozmowie z Macatee'em, powtórnie kilka dni później). Rozmawiał też z Erikiem - fakt, o którym wspomniał pokrótce i bez cienia podejrzenia. Rozmawiał z tuzinem sąsiadów Rakubiana, współników i osób, które mogły mieć powód, żeby wyrządzić mu krzywdę. Jak dotąd, żadnych śladów. Nic, co by wskazywało na wypadek, dobrowolne zniknięcie albo przestępstwo.

- Nie wydaje się możliwe - powiedziała Cassie - żeby mógł tak zniknąć, nie pozostawiając żadnego śladu.

- Zdarza się to częściej, niż się mogłoby pani zdawać - odparł Macatee. - W tym kraju każdego roku ginie bez wieści pięćdziesiąt tysięcy osób. Mężczyźni, kobiety, dzieci. Bez różnicy, jeśli chodzi o status społeczny czy finansowy, rasę, religię, wiek. A nawet znane powody. Przypadek Rakubiana nie jest jakoś wyjątkowo niecodzienny.

- Jakie są szanse, że się znajdzie?

- To zależy. Jeśli zrobił to dobrowolnie i dostatecznie dobrze zatuszował za sobą ślady, jest bardzo prawdopodobne, że pozostanie zaginiony, chyba że sam zdecyduje się ponownie wypłynąć na powierzchnię. Jeśli stał się ofiarą przemocy, dowód na to może

wypłynąć prędzej czy później. Nie jest tak łatwo pozbyć się trupa, jak się ludziom zdaje.

„Wcale nie, jeśli masz dużo, dużo szczęścia”.

Pokazali Macatee'emu pudło z dowodami, akta, które Hollis przyniósł z biura. Przerzucił listy, kartki, wiersze, różne wykazy, na chybił trafił przesłuchał dwie taśmy. Hollis obserwował go uważnie przez cały ten czas. Wyraz twarzy Macatee'ego pozostawał neutralny, ale wydawało się, że w jego brązowych oczach widać było współczucie, kiedy patrzył na Cassie. Zapytał, czy mógłby wziąć ze sobą akta i kilka innych rzeczy, wypisał pokwitowanie, podziękował im za współpracę i zostawił ich samych. Rozmowa trwała trochę ponad godzinę.

Hollis był przekonany, że jeśli Macatee miał jakiegokolwiek podejrzenia, były one pozbawione podstaw. Polowanie na oślepie. Być może nawet było to po prostu zachowywanie pozorów. Akta, kasety i listy potwierdziły to, jakim chorym sukinsynem był Rakubian. Czy glina, który miał do czynienia z każdym rodzajem ludzkiego nieszczęścia, mógł szczerze przejmować się tym, co przytrafiło się prześladowcy i stręczycielowi własnej żony, skoro ten pozostawał zaginiony? Hollis nie widział takiej możliwości. Inspektor wydał mu się dobrym człowiekiem. Jeśli w ogóle, musiał być po ich stronie.

### ***Poniedziałek w nocy***

Tej nocy po raz pierwszy miał sen. Przez ostatnie dziewięć dni miał inne sny, niepokojące, ale mgliste i pogmatwane i niewiele z nich potem pamiętał. Ten zaś był sugestywny, mroczny w tle, ale ostry w każdym detalu, tak jakby było to zaprawione przerażeniem wspomnienie albo przeczucie.

Szedł przez bezkształtne miejsce, pełne tylko zarysów i cieni. Ostrożny, ale nie przestraszony. Przed sobą zobaczył mur i kiedy się do niego zbliżał, pojawił się w nim otwór. Przeszedł przez niego i znalazł się w jaskini o drewnianych ścianach i betonowej podłodze. Stał, patrząc na jej gładką, czarną powierzchnię. I jak tak patrzył, zaczęły się na niej formować pęknięcia, które wydłużały się i poszerzały, i kiedy beton zaczął pękać, pojawił się w nim nagle strach. Przez jedną z rys sięgnęła w jego stronę dłoń, palce zaginały się jak szpony, potem pojawiła się cała ręka, ramię, potem głowa - roztrzaskana głowa Rakubiana, twarz Rakubiana wykrzywająca się w okrutnym, zastygłym grymasie. A potem, jak krwawy monolit, ociekając ziemią i fragmentami gnijącej skóry, zmarły wstał z popękanej podłogi i ruszył w jego stronę, szepcząc jego imię. Próbował uciekać, stał jak wmurowany, a szponowate, kościste palce zamknęły się wokół jego gardła...

Obudził się gwałtownie, cały mokry, trzęsąc się i nie mogąc złapać oddechu. To tylko sen, koszmar, ale pozostał jaskrawy i wyraźny w jego głowie. Wciąż widział twarz Rakubiana, grymas na twarzy trupa, jego wybałuszone oczy. Wciąż czuł uścisk palców kościotrupa. Gardło bolało go tak, jakby w rzeczywistości ktoś go dusił.

Nie mógł już potem zasnąć. Leżał, patrząc ślepo w ciemność. I uczucie, które go ogarnęło, było równie silne i niezbite, jak każde inne, którego doświadczył. Wytwór snu, poczucia winy, które przeniknęło przez jego podświadomość... Ale nie mógł skłonić się, by w to uwierzyć. Uczucie było zbyt instynktowne, zbyt intensywne, by łatwo je można było odegnąć.

On i Eric nie byli bezpieczni. Żaden z nich.

Na swój sposób Rakubian nadal stanowił zagrożenie dla nich wszystkich.

## ***CZEŚĆ II***

**\***

### ***PIERWSZA POŁOWA LIPCA***

#### ***- WIDMO***

**13**

***Czwartek***

Angela i Kenny wrócili do domu dwa dni po Dniu Niepodległości.

Utrzymywali z nią stały kontakt mailowy. Z biegiem czasu coraz mniej bała się nagłego powrotu Rakubiana i coraz poważniej myślała o zakończeniu swojej dobrowolnej tułaczki. W końcu zgodziła się, żeby czwarty lipca był jej własnym Dniem Niepodległości. Z chwilą nadejścia wyznaczonej daty nie zmieniła zdania - następnego ranka zapakowała Kenny'ego do swego geo i mały samochód wtoczył się na ich podjazd szóstego lipca, niedługo przed zachodem słońca.

Sześć długich i trudnych tygodni radioterapii sprawiło, że Hollis stał się apatyczny i przygnębiony. Teraz, gdy terapia dobiegła końca, nie czuł się już tak zmęczony, nie cierpiał też na nagłe ataki rozwolnienia. Powoli wracały mu zarówno siły, jak i optymizm - na krótko przed świętem po raz pierwszy poszedł do pracy. Bezpieczny powrót Angeli i Kenny'ego to było właśnie to, czego potrzebował, by nabrać pozytywnej energii i wigoru.

Wyglądała dobrze. Znow często się uśmiechała, wyraz strapienia zniknął z jej twarzy, a strach dostrzegalny był już tylko głęboko w jej spojrzeniu. Wciąż jednak nie była dawną sobą, do całkowitego zablźnienia się ran potrzeba będzie czasu. Ale odżyła. A dzięki temu Hollisowi było trochę łatwiej żyć ze świadomością tego, co on i Eric zrobili w tamtą majową sobotę.

Cassie miała rację, co do sumienia Hollisa - niezależnie od tego, ile wymyślał

racjonalnych argumentów, by skonstruować sobie obronny mur, własne poczucie winy i świadomość, że Eric przeżywa to samo, wciąż na nowo go burzyły. Wątpliwości, koszmary, bezsenność... Wszystko to go gnębiło. To, co zrobił, zmieniło go na zawsze. Grzechy - te, których faktycznie się dopuścił i te, które tylko zamierzał popełnić - będą go, w ten czy inny sposób, dręczyć do śmierci.

Tak to wyglądało w przypadku Hollisa, jednak najwyraźniej zupełnie inaczej, jeśli chodziło o jego syna. W przeciągu kilku ostatnich tygodni nic nie wskazywało na to, żeby sumienie Erica nie dawało mu spokoju. Tego dnia przez telefon, narzekając na to, że nie mógł osobiście powitać Angeli i Kenny'ego, sprawiał wrażenie szczęśliwego i spokojnego. Letnia praca w poważanej firmie budowlanej w Santa Barbara układała się dobrze, przechwalał się też urozmaiconym życiem uczuciowym. To z pozoru zbyt łatwe przystosowanie się do sytuacji niepokoiło Hollisa. Żałował, że ta letnia praca i jego terapia nie pozwalają mu zobaczyć się z synem. Jeśli mógłby się z nim spotkać, lepiej potrafiłby ocenić jego stan psychiczny i poruszyć temat radzenia sobie ze złością.

Z inspektorem Macatee'em rozmawiał cztery razy od jego majowej wizyty. Grał przy tym rolę zmartwionego rodzica, który sprawdza, czy są jakieś nowe informacje. Nie było jednak nic istotnego. Kancelaria adwokacka Rakubiana została zamknięta pod koniec czerwca. Sekretarka zrezygnowała dwa tygodnie wcześniej, jego asystentka zwlekała, aż już nic nie było do roboty. Podczas sprawy rozwodowej Angela zrzekła się na zawsze wszelkich roszczeń do wspólnoty majątkowej, wobec czego dom Rakubiana miał pozostać zamknięty, a jego rzeczy nietknięte, dopóki bank nie przejmie nieruchomości z powodu niespłaconej hipoteki. Poza tym nic się nie zmieniło. Macatee stracił zainteresowanie sprawą, słychać to było w jego spokojnym głosie gliniarza. Musiał zajmować się przypadkami innych zaginionych osób - całymi setkami podobnych spraw. Przypadek Rakubiana został odsunięty na boczny tor, a niedługo odłożony zostanie do teczki ze sprawami nierozwiązanymi, gdzie popadnie w zapomnienie.

Dlaczego więc Hollisa wciąż gnębił sen o tym, jak Rakubian dźwiga się spod betonowej podłogi, jak rzuca się na niego z rękami podobnymi do szponów i oczami głodnymi zemsty? Czemu wciąż się bał?

### ***Piątek***

Pierce pojawił się, nim zdążyli skończyć śniadanie. Przed powrotem Angeli kilkakrotnie usiłował nawiązać pokojowy kontakt z Hollisem i Cassie, ale zwykle trzymał się od nich z



daleka. Wciąż mieszkał u siostry, znalazł jednak pracę na pół etatu na zajmującym się hodowlą bydła ranczu Gugliotty w Chileno Valley. Wyglądało na to, że do Los Alegres wrócił na stałe. Najwyraźniej Angela utrzymywała z nim kontakt mailowy. Tylko od niej mógł się dowiedzieć, że wraca do domu.

Przytulił ją, a ona pozwoliła, by przytrzymał ją dłużej, niż było to konieczne, i by ją pocałował. Spojrzenie, jakim go obdarzyła, miało w sobie ciepło i blask. Hollis, aby ich takimi nie oglądać, wstał od stołu i wyszedł przed dom. Po upływie kilku minut przyłączyła się do niego Cassie.

- Kolejny uroczy ranek - powiedziała.

- Owszem, taki się zapowiadał...

- Ale nadal jest chłodno, powinienes włożyć sweter.

- Nie martw się o mnie. - Po czym dodał: - Miałaś rację, Cass.

- Jak to?

- Angela ciągle go kocha. Widziałaś wyraz jej twarzy, kiedy zaczął ją obmacywać?

- Nie nazwałabym tego obmacywaniem.

- Na to samo wychodzi.

- Zależy mu na niej, to oczywiste.

- Zależy? Może chce się tylko znów z nią przespać.

- Nie wydaje mi się. Stara się, naprawdę się stara.

- Stara się? O to, żeby znów za niego wyszła... Jeszcze jeden pieprzony Rakubian?

Czy może chce z nią tym razem tylko mieszkać?

- Chce naprawić swoje błędy, być mężczyzną i ojcem. Daj mu szansę udowodnić, że go na to stać. Każdy zasługuje na drugą szansę.

- Jeśli w ogóle się zmienił. Może po prostu nauczył się lepiej ukrywać swoje prawdziwe oblicze.

- Nie bądź takim gburem. Angela jest w domu, Kenny też, Rakubian zniknął Bóg wie gdzie, a ty skończyłeś radioterapię i twój stan się polepsza. Jest z czego się cieszyć.

- Po prostu nie chcę, żeby popełniła kolejny błąd.

- Ja też nie. Ale jeśli tak się stanie... To jej sprawa.

Nagle stanęła mu przed oczami piwnica na wino i zawinięte w foliowe worki ciało Rakubiana wciśnięte w wąski grób. - Dopóki nie stanie się to naszą sprawą - powiedział.

Późny ranek. Gabe Mannix przyjechał z powitalnym bukietem dla Angeli, grą wideo dla Kenny'ego i z kilkoma projektami wykonanymi w ramach zlecenia, które otrzymała ich firma.

Jeśli to właśnie im przypadnie realizacja, będzie to ich największe i najbardziej dochodowe zlecenie od lat - projekt całego kompleksu dla emerytów na brzegu Dry Creek Valley, kilkaset budynków na przestrzeni tysiąca akrów pierwszorzędnych terenów pod zabudowę. Zadanie idealnie odpowiadało ich talentom. Gabe'a z powodu rozmachu przedsięwzięcia, Hollisa natomiast, ponieważ inspekcja terenu wykazała, że trzeba będzie harmonijnie zgrać całość z biegnącą po zboczu, wijącą się górską drogą. Konkurencja będzie zaciekła, więc ich projekty koncepcyjne i wszystkie pozostałe materiały muszą być dokładnie dopracowane.

Mannix był podekscytowany zleceniem - w jego wstępnych projektach więcej było innowacji niż zazwyczaj, więcej talentu. Część jego entuzjazmu udzieliła się i Hollisowi, który spędził dwie godziny na studiowaniu planu zabudowy przestrzennej terenu i kosztorysu, dodając do tych planów własne pomysły. Praca poprawiła mu humor i wcale go nie zmęczyła.

### ***Poniedziałek***

Angela pojechała do Santa Rosa, żeby zobaczyć się z Joyce Eilers, jeszcze jedną członkinią grupy wsparcia, i wróciła do domu z mnóstwem wiadomości. Joyce pracowała w księgarni uniwersyteckiej na Stanowym Uniwersytecie Paloma i, jako że poszukiwano tam właśnie nowego pracownika, załatwiła Angeli rozmowę kwalifikacyjną. Jeśli Angela dostanie tę posadę, będzie mogła podjąć pracę na pół etatu od zaraz, a na cały etat przejść wraz z rozpoczęciem roku akademickiego na jesieni.

- To najlepsze, co mogło mi się przydarzyć - powiedziała Hollisowi. - Będę mogła wynająć sobie mieszkanie, wrócić do szkoły wieczorowej i zdobyć uprawnienia nauczycielskie.

- Czy to znaczy, że masz zamiar od razu się stąd wyprowadzić? Nie ma przecież takiej potrzeby. Wiesz, że możesz tu zostać, jak długo chcesz.

- Wiem, ale nie czuję się z tym dobrze. Ty i mama już i tak wiele dla nas zrobiliście.

- Pomyśl, ile byś zaoszczędziła - zachnął się. - Mieszkania są drogie, a Kenny'ego musiałabyś posyłać do przedszkola, dopóki nie będzie wystarczająco duży, żeby pójść do szkoły...

- Chcę spróbować swoich sił, tato. Muszę znowu postarać się żyć jak normalny człowiek. Rozumiesz to, prawda?

Rozumiał. Zaniechał więc prób przekonania jej, gdyż wiedział, że ma rację.

## ***Wtorek***

Kolejna wizyta u Stana Otaki, tym razem, żeby omówić wyniki ostatniego badania krwi.

- Na razie jest dobrze - powiedział Otaki. - Ale nie wszystkie niebezpieczeństwa mamy jeszcze za sobą.

„Jak to *my* nie mamy, przyjacielu?” - Mówiłeś przecież, że jest już dobrze. Koniec wzrostu i brak dowodów na przerzuty poza prostatę...

- Teraz rak jest pod kontrolą, ale nie jest to jeszcze remisja. W każdej chwili może się rozrosnąć, mogą nastąpić przerzuty.

- Więc jaka diagnoza? Kolejne sesje radioterapii?

- Nie, nie można organizmu bezustannie napromieniowywać.

- Czyli co, wracamy do krojenia?

- Wciąż zalecam tę operację.

- A ja wciąż mówię nie.

- Wobec tego następnym krokiem jest terapia hormonalna.

Terapia hormonalna. Użycie leków, takich jak agoniści LHRH, aby zmniejszyć ilość testosteronu w organizmie, czy antyandrogeny, które blokują aktywność hormonu. Plusy - leki te sprawiają, że ilość komórek rakowych maleje. Minusy - możliwe problemy z układem sercowo-naczyniowym, fale gorąca, impotencja i zanik pożądania.

- Masz jakieś obiekcje? - zapytał Otaki.

- Nie - słabo odparł Hollis. - Żadnych. Kiedy zaczynamy?

## ***Środa***

Angela dostała posadę w księgarni Uniwersytetu Paloma State. Od przyszłego tygodnia zacznie pracę, a Kenny pójdzie do przedszkola.

## ***Piątek***

Pierce zaprosił Angelę na kolację, aby uczcić jej nową pracę. Tylko ją, bez Kenny'ego. Założył garnitur i krawat, a ona, również elegancko ubrana, promieniała jak nastolatka na pierwszej prawdziwej randce. Wrócili dość późno, ale gdy Pierce podwiózł ją pod dom, Hollis i Cassie jeszcze nie spali. Przed pójściem na górę do swojego pokoju nie miała im wiele do powiedzenia. Nie chciała też spojrzeć im w oczy. Ale promieniała jeszcze bardziej niż przed wyjściem i niemalże się czerwieniła.

- Wiedziałem - powiedział Hollis. - Spała z nim.

- Dajże spokój.

- Sama widziałaś ten jej roztkliwiony wyraz twarzy. Znów pozwoliła, żeby ją wykorzystał.

- A nawet jeśli, to co? Jest dorosłą kobietą, ma swoje potrzeby.

- Ale żeby Pierce... Na litość boską!

- Przez cztery lata byli małżeństwem, Jack.

- Ach, więc wszystko jest w porządku?

- Ryan, jakikolwiek by nie był, i tak jest o niebo lepszy od Davida Rakubiana. Chyba niemożliwe, żeby decydując się na niego, dokonała równie złego wyboru?

Niedługo potem, w łóżku, Hollis zdał sobie sprawę, że tak naprawdę to nie życie seksualne córki nie daje mu spokoju, tylko jego własne. Nie miał erekcji od tej pamiętnej nocy, kiedy pochował Rakubiana, od tamtego czasu stary wojownik nawet nie drgnął. Jego chęć na seks już i tak znikła z powodu raka i radioterapii. Żał mu jednak było nie siebie, lecz Cassie. Zawsze miała potrzeby równie duże, jak on - czerpała z Hollisa przyjemność tak często i tak entuzjastycznie, jak on z niej. Musiała być teraz o wiele bardziej sfrustrowana. Jednak nigdy nie narzekała, a kiedy zaoferował się zadowolić ją w inny sposób, odmówiła, twierdząc, że aby było jej dobrze, oboje muszą odczuwać przyjemność. Mimo to wciąż jej współczuł i czuł się winny, choć nie miał kontroli nad sytuacją. To nie było fair, Cassie zasługiwała na coś lepszego.

W jakiś niesamowity sposób, jak to się jej czasem zdarzało, zdawała się intuicyjnie wiedzieć, co myślał. Przysunęła się bliżej, oparła głowę na jego ramieniu, a rękę położyła mu na klatce piersiowej, nie dotykając go resztą ciała.

- Nie martw się o mnie - powiedziała. - Jesteś blisko mnie. To wszystko, czego potrzebuję.

Próbowała go pocieszyć. Ale to nie wystarczyło. Nie całej kobiecie, której przypadła w udziale połówka mężczyzny.

### ***Sobota***

Cassie zabrała Angelę na poszukiwanie mieszkania i wróciły całe rozanielone. Oglądały różne miejsca - w Santa Rosa i Rohnert Park, aż w końcu znalazły lokum blisko, w Los Alegres. Na Sunnyslope, niecałe dwa kilometry od ich domu. Mieszkanie na parterze, z jedną sypialnią i maleńkim, ogrodzonym ogródkiem. Pięćset dolarów miesięcznie - w dzisiejszych

czasach całkiem sensowna cena za umeblowane mieszkanie. Cassie zapłaciła czynsz za pierwszy i ostatni miesiąc oraz kaucję. Angela potraktowała to jako pożyczkę, którą zobowiązała się spłacać po dwadzieścia-dwadzieścia pięć dolarów miesięcznie. Tak właśnie, skrupulatnie, będzie robiła.

Znalezienie mieszkania ucieszyło również Hollisa. Angela i Kenny będą w pobliżu, nie będzie musiał znów za nimi tęsknić.

### ***Niedziela***

Hollis czuł się niezłe i uparł się, że pomoże przy przeprowadzce. Angela niewiele miała rzeczy niezbędnych - wszystko zmieściło się w jej geo. Trochę sprzętów kuchennych, pościel i ręczniki oraz parę innych rzeczy, które dostała od Cassie. Dwadzieścia pięć lat, dwa małżeństwa i syn, a wszystko, co z tego miała, to kilka ubrań dla siebie i chłopca, pudło rzeczy osobistych, przestarzały komputer i ośmioletni samochód. Jeśli znów zwiąże się z Pierce'em, nigdy nie będzie miała wiele więcej. Myśl o takiej perspektywie nie zezłościła go, tylko zasmuciła.

Oczywiście Pierce pojawił się w nowym mieszkaniu od razu, kiedy wnosili jej rzeczy. Wyglądało na to, że Kenny zupełnie go zaakceptował. Mówił do niego „tato” i spędzał z nim tyle czasu, co z dziadkiem. „Chłopca też stracę” - pomyślał Hollis, ale zaraz skarcił się za samolubstwo. Chciał przecież, żeby byli szczęśliwi, prawda? Nawet jeśli oznaczało to obecność Pierce'a?

Tak, dopóki będzie ją dobrze traktował. Bo jeśli nie...

„Bo jeśli nie, to co, Hollis? Ty i Eric zabijecie i jego, a potem pochowacie go pod inną betonową podłogą?” Myśl była przygnębiająca. I sprawiła, że stał się dla Pierce'a miłszy, niż mu się to kiedykolwiek zdarzyło od czasu, gdy chłopak powrócił.

### ***Wtorek rano***

O wpół do dwunastej wrócił do domu z cotygodniowej wizyty u Stana Otaki. Podczas sześciu tygodni radioterapii potrzebował, by ktoś - Cassie, Gabe, Gloria, a czasem taksówkarz - woził go do szpitala i z powrotem. Teraz, kiedy kuracja dobiegła końca, mógł już samodzielnie prowadzić, musiał jednak unikać przemęczenia i zbyt długich wypraw. Nie znośił być uzależniony od innych. Jedyne, czego potrzebował niemal tak samo, jak rodziny, to możliwości radzenia sobie samemu. Co zresztą było kolejnym powodem, dla którego myśl o operacji wywoływała u niego dreszcze. Byłby bezbronny, zupełnie zdany na łaskę jednego

przypadkowego człowieka i grupy pomagających mu nieznajomych.

Listonosz już był. Hollis wybrał pocztę ze skrzynki i przeglądał ją, jednocześnie otwierając kluczem drzwi frontowe. Rachunki, reklamówki, prośba o darowiznę na rzecz jakiejś organizacji dobroczynnej, dwa katalogi sprzedaży wysyłkowej. I duża, biała, oficjalnie wyglądająca koperta. Nie był pewny, czy jego nazwisko i adres napisane były na maszynie czy na komputerze. Pewnie kolejna reklamówka. Pozostałe listy zostawił na stoliku w hallu, rozdarł kopertę i wyjął z niej pojedynczą kartkę białego papieru. Na środku górnej połowy strony znajdowała się jedna linijka tekstu, napisana drukowanymi literami:

## CO ZROBIŁEŚ Z JEGO CIAŁEM?

# 14

To było niczym uderzenie obuchem. Hollis oniemiał, przez kilka sekund czuł się zupełnie dezorientowany. Wpatrywał się w słowa, aż zaczęły mu się zlewać i mienić przed oczami, jak gdyby zdanie rozpadało się na części.

„Ktoś wie.”

Jego umysł usiłował zwalczyć tę myśl. Jak to możliwe, żeby ktoś wiedział, czy nawet podejrzewał? *Teraz*, prawie dwa miesiące po fakcie? Po co ktoś przysłałby mu takie jedno zdanie, bardziej drwiące niż oskarżycielskie? Chyba że...

Policja? Macatee?

Niemal natychmiast odrzucił tę myśl. Dwa miesiące... Przecież zniknięcie Rakubiana, choćby tylko z powodu liczby nowych spraw osób zaginionych, musiało zostać uznane za przedawnione. Macatee musiałby natrafić na nowe, przekonujące dowody, żeby ponownie zainteresować się tą sprawą. Niemożliwe, żeby tak się stało. Absolutnie niemożliwe. Od dwóch miesięcy martwy, dwa miesiące temu pochowany. Prace na budowie Chestertona idą zgodnie z planem, nie ma tam już żadnego śladu. W domu Rakubiana też nie zostało nic, co wskazałoby na związek Hollisa lub Erica z jego zniknięciem. A przede wszystkim - gliny nie wysyłają anonimowych listów, jakiegokolwiek mogłyby mieć ku temu powody. Nie działają w ten sposób, nie mogą sobie na to pozwolić. Nie przy obowiązującym prawie i systemie sądowym. Gdyby coś wzbudziło podejrzenia Macatee'go, pokazałby się tu, zadawałby pytania, a może nawet otwarcie oskarżał.

Więc kto? Dlaczego?

Hollis zmrużył oczy, by dokładnie przyjrzeć się pieczęcie na znaczku. North Bay, a

więc list nadany został w hrabstwie Paloma lub Marin. Ktoś, kto mieszka w pobliżu? Czy może ktoś, kto specjalnie przyjechał skądinąd tylko po to, aby nadać list?

Zaczynało mu się kręcić w głowie. Przeszedł do salonu, opadł na fotel i znów zaczął się przypatrywać pojedynczej linijce tekstu. *Co zrobisz z jego ciałem?* Nie mógł pojąć, dlaczego komuś mogło aż tak zależeć na Rakubianie, żeby wysyłać anonimowe listy, ani też czemu ta osoba przeczekała dwa miesiące od jego śmierci. O jaki motyw tu chodziło? Zemsta? Rakubian nie miał przyjaciół, nawet krewnych - był egoistycznym samotnikiem, nielubianym, znienawidzonym przez wszystkich, którzy go znali. Pieniądze... Sposób na ich wymuszenie? Ale przecież nie bez dowodów winy, a tych nie było. Chora, pokrętna gra?

Powtarzający się koszmarny sen... Niczym samospełniająca się przepowiednia. Jego irracjonalny, bezkształtny lęk minął - teraz wiedział, czego się boi, choć to coś nie miało jeszcze nazwy. Nowym zagrożeniem nie był sam Rakubian, ale jego dziedzictwo. Tak, jakby jego zło zmartwychwstało, znalazło sobie nowe ciało do zamieszkania i teraz mściło się na tych, którzy Rakubiana zabili. Nieprawdopodobne, ale Hollisa i tak przeszły ciarki po plecach.

Dwa miesiące. Tak długi okres czasu nie miał żadnego sensu. Dwa miesiące, a do tego żadnej racjonalnej możliwości na to, by ktoś mógł poznać prawdę. Tylko dwoje ludzi wiedziało, co stało się w tamtą sobotę, on i...

Eric.

„Eric?”

- Nonsens - powiedział na głos, ale słowo to zabrzmiało sztucznie. Raptownie wstał i zaczął chodzić. Potrzebował ruchu. Powolnym krokiem przemierzał pokój tam i z powrotem, powtarzając sobie, że to niemożliwe, żeby to jego syn był odpowiedzialny za ten list. Ale...

A może łatwość, z jaką Eric radził sobie z sytuacją, była tylko pozorna? Może przez cały czas jego sumienie, podobnie jak w przypadku Hollisa, nie dawało mu spokoju, aż wyrzuty doprowadziły go do załamania nerwowego? Musi podejrzewać, kto pozbył się ciała. Może boi się, że Hollis nie załatwił tego należycie i że ciało zostanie w końcu znalezione? To tajemniczy chłopak, jego umysł pracuje w sposób zawiły, czasem wręcz oszalamiający. Jeśli nie mógł przyznać się do poczucia winy i lęku, możliwe, że uciekł się do takiej okrężnej drogi, by zmusić Hollisa do poruszenia tematu. Akt nieracjonalny, wywołany ekstremalną sytuacją. Anonimowe wołanie o pomoc.

Zaraz... A pieczętka? Ale przecież Eric nie leciałby tu aż z Santa Barbara, żeby nadać list. Nie, ale jakiś znajomy mógł zrobić to za niego, w ramach przysługi.

Tylko po co te wszystkie skomplikowane zabiegi? Jeśli był chory, zdesperowany,

miejsce nadania listu nie miałyby dla niego znaczenia. Mógł przecież tę pieprzoną kopertę wysłać z Santa Barbara.

Nagle przyszło Hollisowi na myśl inne wytłumaczenie i sprawiło, że na chwilę znieruchomiał. A co, jeśli Eric nie jest nadawcą listu, tylko kolejną ofiarą? Co, jeśli sam dostał taki list?

Co, jeśli ktoś wiedział lub podejrzewał, że to Eric zamordował Rakubiana?

### ***Wtorek po południu***

Przez telefon Eric tryskał humorem, tak samo jak przy poprzedniej rozmowie. Nie słychać było w jego głosie wahania czy niepokoju.

- Byłem pod prysznicem - powiedział. - Jezu, ale miałem dzień!

- Wszystko w porządku?

- Jestem wykończony. Przez cały dzień musiałem krążyć stąd do Ojai i z powrotem.

- Chodziło mi o ciebie, osobiście.

- No, mam w ten weekend randkę z dziewczyną, którą poznałem w jednym klubie.

Wydaje mi się, że jest mężatką i nie wiem, czy powinienem...

- Nie interesuje mnie twoje życie uczuciowe.

- ...No tak, jasne, że nie.

- Nie o to mi chodziło. - Rozmowa szła fatalnie. Zawsze, gdy próbował poważnie rozmawiać z Erikiem, używał nieodpowiednich słów, miał nieodpowiednie podejście. - Zastanawiałem się tylko, czy w twoim życiu pojawiły się jakieś problemy, czy dzieje się coś ważnego.

- Odpowiedź na to pytanie brzmi nie. Czemu pytasz?

- A powiedziałbyś mi, gdyby coś się działo?

- Tak, jeślibym uznał, że mógłbyś mi pomóc.

- A jak byś mi powiedział? Zadzwoiłbyś...?

- Telefonicznie, mailem, jakoś tak.

- Nie napisałbyś listu?

- Zwykłego listu, nie pocztą elektroniczną? No co ty, tato!

- Więc jesteś pewien, że nie ma nic, o czym chciałbyś porozmawiać?

- Absolutnie nic.

- Nie stało się ostatnio nic nadzwyczajnego?

- Poza pojawieniem się możliwości pójścia do łóżka z mężatką, nie. O co chodzi?



Skąd te wszystkie pytania?

„To bez sensu, obaj omijamy temat, udajemy, bawimy się w tajemnice. To musi się skończyć” - pomyślał Hollis. Przez chwilę rozważał, czy samemu nie wyłożyć kawy na ławę i nie zmusić Erica, żeby się przyznał, ale nie mógł. Nie przez telefon, nie na podstawie czegoś, co równie dobrze mogło być listem wysłanym dla kawału. Ważne było to, że Eric ani tego listu nie wysłał, ani nie otrzymał podobnego.

Jeśli mówił prawdę. Jeśli cały jego spokój nie był maską, jak warstwa szpachli zasłaniająca popękana, kruszącą się ścianę.

- Martwię się o ciebie, to wszystko. Po prostu chcę, żebyś wiedział, że w razie potrzeby możesz się do mnie zwrócić - powiedział.

Długa cisza. - I vice versa, tato.

- Tak. I vice versa.

### ***Wtorek wieczorem***

Zadzwoił do Angeli, do jej nowego mieszkania, żeby sprawdzić, czy wszystko u niej w porządku. Tak, wszystko dobrze. Była pełna optymizmu. Opowiadała o uniwersytecie, o swojej pracy, o tym, jak bardzo Kenny polubił przedszkole, jak świetnie rozumie się z Pierce'em, jak bardzo jest zadowolona, że wreszcie ma dom. Ani go to podniosło na duchu, ani pocieszyło.

### ***Środa***

Nie mógł pracować, nie był w stanie się skoncentrować. Nie mógł usiedzieć w jednym miejscu. Pojechał do siedziby Mannix & Hollis właściwie bez powodu, wrócił, wyprowadził Fritza na spacer, a potem sam poszedł do Parku McLearn i przez godzinę przyglądał się, jak cztery osoby w średnim wieku kiepsko grały w debła.

„Co zrobiłeś z jego ciałem?” Niczym nieustające echo wybrzmiewające w jego mózgu.

### ***Czwartek***

Gabe zabrał go na lunch do nowej tajskiej restauracji w centrum. Łagodna dynia z curry, ryż gotowany na parze, butelka piwa Singha. Jedzenie nie miało smaku - Hollis nie miał ostatnio apetytu - a piwo nie poprawiało mu humoru. Najchętniej napiłby się podwójnej irlandzkiej whisky, ale Stan Otaki zabronił mu picia mocnego alkoholu w czasie trwania kuracji, nawet w

małych ilościach.

Przez jakiś czas rozmawiali o interesach, o przedsięwzięciu w Dry Creek Valley i o możliwych problemach z kanalizacją - raport geologiczny wykazywał, że ziemia jest tam kamienista, trudno wchłaniająca wilgoć. Mimo że Hollis bardzo się starał, nie mógł skoncentrować się na szczegółach. Wciąż tracił wątek, co pewien czas orientował się, że zupełnie nie wie, o czym jest mowa. Mannix nie należał do osób nad wyraz spostrzegawczych, nie był też wyjątkowo wrażliwy, ale nawet on zauważył, że coś jest nie tak.

- Zdajesz się być czymś zaabsorbowany, Bernardzie. Coś nie tak?

- Nie. Nie potrafię dziś skupić myśli.

- Ten rak? Wszystko dobrze?

- Bez zmian.

- A Angela? Kenny?

- W porządku. Chyba kupię Kenny'emu na urodziny Maca.

- Będzie zachwycony. A jak nowa praca Angeli?

- Na razie spełnia wszystkie jej oczekiwania. Już zapisała się na zajęcia wieczorowe na jesieni. Zacznie przygotowywać się do magisterki, żeby potem móc uczyć.

- Teraz, kiedy z jej życia zniknął ten pieprzony psychopata, wygląda znacznie lepiej. Znowu jest dawną sobą - stwierdził Mannix. Kiedy to mówił, zdawało mu się, że ma ją przed oczami.

- Jeszcze niezupełnie, ale z czasem będzie.

- Dobrze postąpiłeś.

- ...Jak to, dobrze postąpiłem?

- Wiesz, o co mi chodzi.

- Nie, Gabe, nie wiem.

Mannix wzruszył ramionami.

- No, że i tu też bez zmian - odparł i zamachał na kelnera. - Nie wiem jak ty, ale ja z chęcią wypiję jeszcze jedno piwo.

Dopiero później, po powrocie do domu, Hollis zdał sobie sprawę, o co chodziło Mannixowi. Gabe myślał, że Hollis zastosował się do jego rady, myślał, że to on był odpowiedzialny za zniknięcie Rakubiana.

## *Wtorek po południu*

Odpoczywał na patio na szezlongu - tajskie jedzenie ciążyło mu na żołądku niczym kamień, a popołudniowy wiatr chłodził mu skórę - kiedy to usłyszał wjeżdżającą na podjazd ciężarówkę. Dziurawy tłumik i huczący silnik - stary dodge Ryana Pierce'a.

„Co znowu?”

Niechętnie wstał i poszedł ścieżką w tamtą stronę. Pierce właśnie wysiadał, ubrany w poplamione lewisy, koszulę khaki i kowbojski, słomkowy kapelusz, który znał lepsze czasy. Tył dodge'a był zapchany torbami z jedzeniem i dużymi bryłami soli.

Pierce zauważył go i zdjął kapelusz. Z kapeluszem w rękę prezentował się jak niezbyt rozgarnięty wiejski chłopak. Hollis odepchnął tę myśl - przecież próbował teraz podchodzić do Pierce'a spokojnie i sprawiedliwie.

- Jak się pan miewa, panie Hollis? - Wciąż oficjalnie i grzecznie. To trzeba mu przyznać.

- Jakoś sobie radzę. Co cię tu sprowadza?

- Musiałem pojechać po zaopatrzenie i pomyślałem, że zбочę trochę z drogi i zobaczę, czy jest pan w domu. Chciałbym z panem porozmawiać.

- Tak? O czym?

- O Angeli. I o Kennym.

- Co z nimi?

- Pewnie pan wie, że od kiedy wrócili, często się z nimi widuję. Czy przeszkadza to pani Hollis i panu?

- A jeśli tak, to czy miałyby to dla ciebie jakiegokolwiek znaczenie?

- Chciałbym wiedzieć.

- Zachwyceni tym szczególnie nie jesteśmy, wzięwszy pod uwagę, jak kiedyś z nimi postąpiłeś.

- Tak przypuszczałem. Ale nie odnawiam z nimi kontaktu z egoistycznych pobudek. Tylko dlatego, że mi na nich zależy. Chcę zrobić to, co będzie dla nich dobre.

- Czyli co konkretnie?

- Zacząć wszystko od nowa, we trójkę. Stworzyć rodzinę, którą nigdy wcześniej nie byliśmy. Jestem to winien Angeli i mojemu synowi.

- Do czego zmierzasz? - Hollis wpatrywał się w niego.

- Jeszcze raz się jej oświadczę.

- Boże, Pierce! Zwariowałeś?

- Wręcz przeciwnie, nigdy nie byłem bardziej przy zdrowych zmysłach. Kocham Angełę, kocham Kenny'ego, byłem głupcem, pozwalając im odejść z mojego życia. Powinniśmy być razem. Czy to się panu podoba, czy nie, panie Hollis...

Złość powoli w nim kielkowała, ale nie dał jej się rozwinąć. Pierce mówił poważnie, szczerze, a ponadto potrafił być uparty jak osioł. Zrobienie mu awantury, wrzaski na środku ulicy - nic by to nie rozwiązało.

Powiedział więc głośno, starając się nie podnosić głosu: - A czy Angela o tym wie?

- Jeszcze nie. Nic jej jeszcze nie mówiłem, przynajmniej nie wprost. Wydawało mi się, że dobrze będzie najpierw powiedzieć o tym panu.

- I poprosić mnie o jej rękę? - Hollis nie potrafił powstrzymać sarkazmu. - Za pierwszym razem się tak nie starałeś, tylko przeleciałeś ją bez pytania.

Na policzku Pierce'a widać było nerwowy tik, poza tym jego twarz emanowała stoickim spokojem.

- Popełniłem wtedy wiele błędów i staram się nie popełniać nowych, a przynajmniej nie powtarzać starych.

- Próbowałem nakłonić Angełę, żeby znowu za ciebie wyszła, to wielki błąd. Wiesz, przez co przeszła z drugim mężem. Absolutnie nie potrzebuje kolejnego związku, kolejnego błędnego koła, tym razem z tobą.

- Rozumiem, że Rakubian bardzo ją zranił - powiedział Pierce. - Od samego myślenia o tym robi mi się niedobrze.

- Ty też ją kiedyś zraniłeś. Pamiętasz?

- Nie mogę o tym zapomnieć. Ale to się nie powtórzy, przysięgam panu. Chcę jej wynagrodzić to, co zrobiłem, i co zrobił Rakubian.

- Mówię ci, że teraz nie czas na to, by wywierać na nią presję i zmuszać do kolejnego związku.

- Nie będę jej zmuszał, czegoś takiego bym nie zrobił. Pozwolę jej samej zdecydować, kiedy będzie gotowa. A dopóki to nie nastąpi, będę przy niej - jak i kiedy tylko będzie mnie potrzebowała.

Hollis odczekał, aż był pewien, że może normalnie mówić. - Teraz nic jej nie mów o małżeństwie. Daj jej czas. Ona potrzebuje czasu, Pierce.

- Chcę, żeby wiedziała, co czuję. Tak samo, jak chciałem, żeby i pan wiedział.

- Posłuchaj. Ostrzegam cię, jeśli ją zdenerwujesz, znów skomplikujesz jej życie...

- Nie zrobię tego. Tak panu powiedziałem i mówiłem prawdę. Niech się pan lepiej martwi o siebie. Angেলা już nie może się pan opiekować. Ale ja mogę. I będę.

Kiedy odjechał, Hollis ciężkim krokiem wrócił na patio. Zmęczony, powłóczył nogami. „*Angelą już nie może się pan opiekować. Pieprzony Pierce! Właśnie dlatego, że ma rację*”.

## 15

### *Piątek po południu*

Drugi list przyszedł w piątek.

Zauważył go dopiero koło czwartej. Był to jeden z jego lepszych dni. Kiedy się obudził, czuł się dobrze i nie miał nudności, miał mniejsze problemy z koncentracją i trochę dawnej energii. Gdyby mógł na chwilę zapomnieć o chorobie, prawie uwierzyłby, że jest po prostu stosunkowo zdrowym, czterdziestosześcioletnim facetem. Wyszedł z domu prawie równo z Cassie. Zaskoczył Głorię tym, że w biurze pojawił się o swojej zwykłej porze. Tak samo zaskoczył samego siebie tym, że ponad sześć godzin pracował nad planem zagospodarowania przestrzennego i planami koncepcyjnymi budowy w Dry Creek Valley. Dopiero o trzeciej poczuł się zmęczony i rozbolała go głowa. Rozważał, czy nie popracować jeszcze przez godzinę, ale uznał, że byłoby to głupie, i o trzeciej trzydzieści poszedł do domu.

Koperta była na samym wierzchu sterty leżących w skrzynce listów. Wyglądała tak samo jak poprzednia, brakowało adresu nadawcy. Widząc ją, nie zdziwił się ani nie zdenerwował - podejrzewał, że będą kolejne. Ogarnęło go poczucie fatalizmu i przekonanie, że wszystko się popsulo i jest nie do naprawienia. Że to, co przez długi czas leżało pogrzebane pod warstwą milczenia i nadziei, teraz powstało i pełzało gdzieś pod samą powierzchnią.

„Za jedną rzecz trzeba być wdzięcznym - pomyślał, wnosząc pocztę do domu - jestem w domu przed Cassie”. Ona wprawdzie nie otworzyłaby listu zaadresowanego do niego - poszanowanie prywatności było częścią ich wzajemnego szacunku - ale zaciekawilby ją i pewnie by o niego pytała, a on znów musiałby kłamać.

W kuchni otworzył butelkę piwa Sierra Nevada i dwoma haustami wypił połowę. Potem rozdarł kopertę.

**NIE WYWINIESZ SIĘ Z TEGO. BĘDZIESZ CIERPIAŁ ZA TO, CO ZROBIŁEŚ.**

Usiadł przy kuchennym stole. Wypił jeszcze trochę piwa, skrzywił się i odstawił butelkę - smakowało teraz obrzydliwie, jakby za sprawą jakiejś alchemii zamieniło się w psie szczyny. Przyjrzał się stemplowi. Był rozmazany, jak to się czasem zdarza, gdy pocztowe

maszyny do stemplowania są świeżo napełnione tuszem. Mogło to być North Bay, ale nie miał pewności.

Zmusił się do jasnego, logicznego myślenia. Czy to możliwe, żeby Eric przysłał taką wiadomość? Nie przypominała błagania o pomoc, wydawała się zarazem oskarżeniem i groźbą. Nie było przecież żadnego racjonalnego powodu, by Eric mu groził... *Racjonalnego* nie. A może to nie miała być groźba? Można to inaczej odczytać - jeśli Eric ma zbyt wielkie wyrzuty sumienia, by wprost przyznać się do winy, mógł użyć liczby pojedynczej, specjalnie napisać „nie wywiniesz” zamiast „nie wywinjemy”, „zrobiłeś” zamiast „zrobiliśmy” - *Nie wywinjemy się z tego. Będziemy cierpieć za to, co zrobiliśmy*. Oskarżał zarówno siebie, jak i ojca. Groził przede wszystkim sobie, bo gdzieś w głębi duszy potrzebował kary i pokuty.

„A może - pomyślał Hollis - ja też tego potrzebuję. Kary i pokuty za *mój* własny grzech.”

Ale nie w ten sposób, nie za sprawą Erica albo kogoś nieznanego.

Byłoby źle, gdyby to Eric okazał się odpowiedzialny za te listy, ale przynajmniej wtedy Hollis mógłby zrozumieć, co nim powodowało, i znaleźć jakiś sposób, żeby mu pomóc. Gorzej jednak, gdyby winnym okazał się ktoś inny, bo to równało się z walką z niewidzialnym i nieznanym wrogiem. Nawet przy Rakubianie przynajmniej wiadomo było, z czym ma się do czynienia. Hollis wiedział wtedy dokładnie, co musi zrobić, by chronić swoją rodzinę i siebie. A jak zabezpieczyć się przed widmem, by je powstrzymać?

### ***Piątek wieczorem***

Kilka minut po piątej ktoś zadzwonił do drzwi.

Hollis siedział w salonie, zasłaniając siebie i swoje ponure myśli rozpostartą gazetą. Cassie, która wróciła do domu zaledwie kwadrans wcześniej, poszła na górę, by wziąć prysznic i się przebrać. Po drugim dzwonku Hollis odłożył gazetę. Zanim przeszedł przez hall, dzwonek zabrzmiał jeszcze dwukrotnie - to natrętne ponaglenie przyspieszyło jego kroki. Otworzył drzwi, nie spojrzawszy przez wizjer.

Na progu stała Angela. Zamrugał ze zdziwienia - miała przecież własny klucz, nie musiała dzwonić. Dopiero wtedy naprawdę ją zobaczył. Była blada, z rozgorączkowanymi oczami. Jedną rękę opierała na framudze, jakby przytrzymując się przed upadkiem, drugą kurczowo przyciskała do siebie torebkę. Poczul, że coś mu się w środku skręca, przeszył go strach.

- Tatusiu - powiedziała, niemal z jękiem.

Zdał sobie sprawę, że była sama. - A Kenny? Czy wszystko w...

- Tak, z Kennym wszystko w porządku. Jeszcze nie odebrałam go z przedszkola. Przyjechałam prosto tutaj. Nie mogłam... Musiałam...

Objął ją i poczuł, że drży i jest spięta. Wprowadził ją do domu. Gdy zamykał drzwi, na schodach rozległy się kroki. Cassie, usłyszawszy ich głosy, schodziła zobaczyć, co się dzieje. Hollis zaprowadził Angelę do salonu, gdzie posadził ją na kanapie. Sam usiadł przy niej, nie przestając jej obejmować. Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, weszła Cassie.

- Co się dzieje? Kochanie, co się... - spytała.

- Wrócił - powiedziała Angela.

- Wrócił? Kto wrócił?

- David. On żyje i wrócił.

Hollis usłyszał, jak Cassie gwałtownie wciąga powietrze. Nie spojrzał w jej stronę, nie mógł. Wiedział już, co się stało, co będzie za chwilę, a przez to wróciło uczucie fatalizmu, silniejsze i bardziej przejmujące, niczym czarna dziura otwierająca się w jego umyśle.

- Mój Boże - westchnęła Cassie. - Chcesz powiedzieć, że go widziałaś? - Ciężko usiadła z drugiej strony Angeli. - Pojawił się na uniwersytecie albo w twoim mieszkaniu...

- Nie, ale wie, gdzie mieszkam.

- Skąd mógłby to wiedzieć?

- Wie, mam. I znów chce mnie dopaść.

- Zadzwoił do ciebie, czy o to chodzi?

Angela potrząsnęła głową, chwilę męczyła się z zamkiem swojej torebki, po czym zaczęła grzebać w środku. Zobaczywszy pogniecioną kartkę, którą trzymała w ręku, Hollis poczuł w ustach smak popiołu.

- To było w mojej skrzynce, gdy wróciłam do domu.

Wyrwał jej kartkę i rozprostował ją. Ten sam papier, ta sama czcionka. Dwa zdania, identyczne jak te, które sam dziś otrzymał. *Nie wywiniesz się z tego. Będziesz cierpieć za to, co zrobiłaś.*

Cassie wyciągnęła rękę po kartkę. Nie mógł zapobiec temu, żeby przeczytała wiadomość, więc bez sprzeciwu pozwolił, by ją wzięła. Szybko przeczytała treść, ale nie przestawała się w nią wpatrywać, jak gdyby usiłowała ją przetrawić.

- Już prawie wierzyłam, że zniknął na zawsze - powiedziała cicho Angela. Wyraz zaszczucia znów pojawił się w jej oczach, jej twarz była trupio blada. Tak wiele przeszła, była już tak blisko celu, a teraz to. - Tak myślałam, przecież minęło tyle czasu. Ale on jest gdzieś blisko i chce, żebym cierpiała...

- Nie - odezwał się Hollis.
- Chce zranić mnie, zranić Kenny'ego...
- Nie! To nie Rakubian przysłał ten list.

Wypowiedział te słowa, nim zdał sobie sprawę, co mówi. Angela i Cassie wpatrywały się w niego, czuł ich spojrzenia na twarzy niemal niczym fizyczny ucisk, nie mógł jednak żadnej z nich spojrzeć w oczy.

- Któż inny to może być? - spytała Cassie.
- Nie wiem. Może ktoś ma takie chore poczucie humoru...
- Ale to nie jest kawał - upierała się Angela. - To David i doskonale o tym wiesz.
- Przecież to nie jest w jego stylu - próbował się jeszcze słabo bronić. - Tylko dwa zdania, ani razu nie wymienione twoje imię, brak podpisu... Zbyt mało osobiste. Czemu wysyłałby anonimowy list, zamiast zadzwonić, znów stawiać żądania?
- On już mnie nie chce. Chce tylko, żebym cierpiała.
- Ale czemu przez dwa miesiące się nie odzywał? To nie ma sensu.
- Owszem, ma. W ten sposób mnie dręczy. Nie chce niczego robić od razu. Będzie więcej tych listów, do tego telefonu, Bóg wie, co jeszcze... - Mówiła coraz głośniej. - Boże, nie mogę przechodzić przez to jeszcze raz, nie mogę!

Cassie przytuliła ją, szeptała uspokajająco i gładziła po włosach. Przez cały czas jednak patrzyła na Hollisa ponad głową córki, niewzruszonym, nieodgadnionym spojrzeniem.

Siedział z dłońmi wciśniętymi między kolana. Były bezwładnymi, bezużytecznymi kawałkami ciała - zupełnie jak to, co trochę wyżej pozostało z jego męskości. W głowie słyszał szepczące głosy. Jeden mówił: „To nie Eric, on kocha Angelę, nigdy by jej nie skrzywdził”, inny: „Nie znasz go, nie wiesz, do czego jest zdolny. Nigdy go tak naprawdę nie znałeś”. Trzeci, najgłośniejszy: „Nie jesteś teraz jedynym celem... Angela, a może i Cassie... Zupełnie tak samo, jak za życia Rakubiana”.

Cassie, z niewielką pomocą Hollisa, uspokoiła Angelę. Próbowała namówić ją, by spędziła noc u nich, żeby pozwoliła Hollisowi pojechać odebrać Kenny'ego. Nie zgodziła się. Wciąż powtarzała: - Czuję się jak dziecko, które zawsze w obliczu trudności przybiega do rodziców. Muszę wreszcie przestać być dzieckiem...

Cassie w końcu namówiła ją na częściowy kompromis - we dwie pojedą po Kenny'ego. Hollis zrozumiał, że chciała spędzić trochę czasu sam na sam z Angelą i nie przeszkadzało mu to. Też potrzebował pobyć sam.

Gdy pojechały, usiadł w swoim gabinecie. Gapiąc się bezmyślnie na plany



architektoniczne wiszące na ścianach, próbował jakoś poukładać myśli, nadać im formę, połączyć je w logiczną całość, jak to robił ze swoimi projektami. Nienawidził uczucia bezsilności. Gdy był mały, tata sprawiał, że właśnie tak się czuł - słaby i nieskuteczny. Do tej pory nigdy w swoim dorosłym życiu nie pozwolił sobie takim być. Poradził sobie z wszystkimi innymi kryzysami w życiu, poradził sobie z Rakubianem, a przynajmniej próbował, najlepiej, jak potrafił. Dlatego też poradzi sobie i z tym nowym kryzysem.

Jedno jest pewne - nie może już sobie pozwolić na czekanie i patrzanie, co jeszcze się zdarzy. Musi działać, i to szybko. I musi przestać brać wszystko na siebie, niezależnie od tego, kto i dlaczego przysyłał te listy.

Szkoda, że nie udało się jej namówić, żeby została z nimi na noc - powiedział do Cassie, gdy siedzieli później w kuchni i jedli bez apetytu wystygły obiad, na który żadne z nich nie miało ochoty. - Nie podoba mi się, że jest w tym mieszkaniu sama z Kennym.

- Wątpię, czy będą sami.
- Co masz na... A, Pierce.
- Powiedziała, że do niego zadzwoni.
- Przypuszczam, że teraz często zostaje tam na noc.
- Pewnie tak. Czasem.
- Świetnie.
- Chce się z nią znów ożenić - oznajmiła Cassie.

Hollis zmarszczył brwi. Nie mówiła jej nic o wczorajszej wizycie Pierce'a. - Tak ci powiedziała?

- Tak.
- Więc już się jej oświadczył?
- Nie, oficjalnie nie. Ale dał jej to do zrozumienia, żeby wiedziała, że taki ma zamiar.
- Chyba się nie zgodzi?
- Mówi, że nie jest gotowa na kolejny związek.
- Widać ma jeszcze trochę oleju w głowie. Jeśli mówi poważnie.
- W każdym razie - powiedziała Cassie - to dobrze, że pozwala mu tam przychodzić, prawda? W obecnej sytuacji?

- Tak myślisz? Bo mnie się wydaje, że on zwieje, jak tylko pojawią się jakieś trudności.

- Mylisz się. Ryan jest teraz inny.
- A, tak, wielka mi metamorfoza. Teraz i ty w to wierzysz.

- Mam oczy. Też byś to zobaczył, gdybyś otworzył swoje.

Pozostawił to bez odpowiedzi. - Nie tylko kwestia jej bezpieczeństwa mnie martwi, chodzi mi o jej stan psychiczny.

- Nic jej nie będzie. Kiedy się zęgnaliśmy, była w dobrym stanie. Chciałam zostać do przyjścia Ryana, ale miała już dosyć matkowania.

- Na dzisiaj. Ale co będzie jutro i w następne dni? Co, jeśli dostanie kolejny list? A nuż znów wbije sobie do głowy, że musi uciekać.

- Pytałam ją o to. Powiedziała, że nie, że jakieś tam listy nie sprawią, że zacznie się ukrywać. Ale tyle już przeszła... Wątpię, czy może wytrzymać wiele więcej.

„Wątpię, czy ktokolwiek z nas może”.

- Jeśli jednak zdecyduje, żeby wywieźć Kenny'ego w jakieś bezpieczne miejsce, nie mogę jej za to winić. I myślę, że ty też nie.

- Nie, jeśli Rakubian rzeczywiście wrócił - powiedział.

- Dlaczego ciągle mówisz „jeśli”? Nie rozumiem, kto inny i dlaczego mógłby przysłać taki list?

- Ja też nie. Po prostu chcę, żeby to był ktoś inny. Zwykły kawał, ktoś nieszkodliwy.

- Musimy patrzeć na to realistycznie - rzekła Cassie.

- Minęły dwa miesiące, nie zapominaj o tym. Po prostu nie potrafię sobie wyobrazić, żeby Rakubian tak długo trzymał się z daleka i nie dawał znaku życia.

- Jest nienormalny i nieprzewidywalny. Po tym wszystkim, co zrobił, nic by mnie już nie zdziwiło.

„Może tylko zmartwychwstanie” - pomyślał.

Rozgoryczony, powiedział: - Czy to Rakubian, czy ktokolwiek inny, jeśli w grę wchodzi prawdziwe zagrożenie, ucieczka nie zapewni jej i Kenny'emu bezpieczeństwa. A jeśli zostaną, Pierce też nie pomoże. Ani ja, z tym pieprzonym rakiem.

- Tylko nie zaczynaj się nad sobą użalać. Nie jesteś supertatą i nikt tego od ciebie nie oczekuje, z wyjątkiem ciebie samego. Poza tym zapewnienie im bezpieczeństwa nie należy ani do ciebie, ani do mnie, ani do Ryana, tylko do policji.

- A co oni mogą, do cholery, zrobić? Przez dwa miesiące nie potrafili nawet znaleźć śladu Rakubiana. List nie stanowi niezbitego dowodu na to, że coś jej z jego, albo kogokolwiek, strony zagraża. Może to tylko kawał. Jeśli zwrócimy się z tym do glin, będą nam bardzo współczuli i każą się nie przejmować. Nie, to nie jest wyjście.

- Nierobienie niczego też nim nie jest. Może powinniśmy wynająć prywatnego detektywa?

- Po co? Żeby robił za ochroniarza? Nocował na wycieraczce Angeli, wszędzie za nią łaził?

- Nie w charakterze ochroniarza. Raczej żeby spróbował odnaleźć Rakubiana.

- Jeśli policja nie mogła go znaleźć, to jak ma to zrobić prywatny detektyw, i to po dwóch miesiącach? Oni nie są cudotwórcami, to tylko na filmach tak wygląda.

Napięta cisza. W końcu Cassie powiedziała: - Żadnemu z nas ta sytuacja nie robi dobrze.

- Nie, nie robi.

- Dałabym wszystko, żeby pozostał zaginiony, żeby faktycznie okazało się, że nie żyje. W myślach już dawno miałam go za zmarłego, dawno go pochowałam. Ty nie?

- Tak, u mnie był nieżywy i pochowany, na zawsze.

### ***Sobota rano***

A, to ty. Jezu, tato, obudziłeś mnie - powiedział Eric. Głos miał zaspany i marudny, nigdy nie był rannym ptaszkiem. - Wiesz, która jest godzina?

- Siódma piętnaście - odparł Hollis. - Chciałem mieć pewność, że złapię cię w domu. Wczoraj wieczorem dwa razy próbowałem się dodzwonić.

- Miałem tę randkę, o której ci mówiłem. Poszedłem na nią prosto z pracy i późno wróciłem. Niewiele spałem... - W tle słychać było podnoszący się, narzekający kobiecy głos. - Właśnie dlatego. I nie jest tak, jak myślałem. To panna, nie mężatka...

- Muszę się z tobą zobaczyć.

- Zobaczyć? Kiedy?

- Natychmiast. Musimy porozmawiać.

- O czym?

- Jak już się zobaczymy. Nie przez telefon.

- Coś się stało? - Eric wydawał się już bardziej rozbudzony.

- Tak. Chcę, byś dziś po południu przyleciał do San Francisco.

Przez chwilę w słuchawce była cisza.

- Zadzwoń do linii United - powiedział Hollis. - Jest samolot, który wylatuje z Santa Barbara o pierwszej dwadzieścia, w San Francisco jest o drugiej trzydzieści. Odbiorę cię z hali przylotów. Zrobiłem rezerwację na twoje nazwisko i wszystko zapłaciłem. Bilet w dwie strony - możesz wrócić dziś o piątej trzydzieści.

Znów przez kilka sekund cisza. Hollis próbował wyobrazić sobie wyraz twarzy syna,

jego myśli. Nie potrafił.

- OK, jeśli to coś aż tak pilnego. - Spokojna akceptacja, głos nie zdradzał nic z jego uczuć. - Jesteś pewien, że chcesz jechać aż na lotnisko? Mogę wynająć samochód i sam dojechać z lotniska...

- Dam sobie radę. I jeszcze jedno - wszystko to pozostaje między nami.

- Jak sobie życzysz.

- Zobaczymy się o drugiej trzydzieści. Nie spóźnij się na samolot.

- Nie spóźnię się - odpowiedział Eric. - Nie wiem, o co chodzi, ale możesz na mnie liczyć.

„To się dopiero okaże. Dziś po południu wiele się wyjaśni”.

## 16

### *Sobota po południu*

Lotnisko międzynarodowe w San Francisco wydawało się Hollisowi, jak wiele rzeczy ostatnimi czasy, inne. Dziwne. Od kiedy był tu ostatnio, minęły prawie dwa lata. Niekończąca się rozbudowa zmieniła zarówno wygląd lotniska, jak i dojazd do niego - zjazdy i wjazdy na autostradę, te prowadzące na lotnisko i z powrotem do miasta zostały przeniesione, a droga wjazdowa biegła teraz tunelem pod nowym terminalem. Wprawdzie nowa droga do hali przylotów była dobrze oznakowana, ale sobotni tłok utrudnił dojazd do terminalu linii United. A gdy wreszcie udało mu się tam dostać, dziesięć minut po planowym lądowaniu samolotu z Santa Barbara, wśród tłumu pasażerów nigdzie nie mógł dojrzeć Erica. Próbował zaparkować pomiędzy taksówką a limuzyną, ale jakiś pracownik ochrony lotniska kazał mu jechać dalej. Nie miał więc wyboru, musiał zrobić kółko i zawrócić aż do labiryntu przejazdów i robót drogowych po to, by znów podjechać pod przyloty, cały czas lawirując pomiędzy nieumiejętnymi i poirytowanymi kierowcami. Czuł się jak uczestnik rajdu samochodowego.

Musiał zawracać w ten sposób cztery razy i stracił na tym ponad pół godziny, zanim w końcu dostrzegł Erica - ubranego w bluzę studenckiego stowarzyszenia Cal Poly, która gryzła się z jego starą, bordowo-białą wiatrówką - stojącego na chodniku i machającego. Gwałtownie zahamował i zajechał drogę jakiejś niezmiernie długiej limuzynie. Podczas gdy Eric sadowił się w samochodzie, ignorował trąbiących na niego, rozszluszczonych kierowców.

- Rany, przepraszam, tato - powiedział Eric. - Samolot wystartował z półgodzinnym opóźnieniem.

- Nie twoja wina.

Żaden z nich nie odzywał się, dopóki, odjechawszy od hali przylotów, nie dotarli do jednej z dróg wyjazdowych z lotniska. Wtedy Eric zapytał niepewnie: - Dokąd jedziemy?

- Gdzieś, gdzie jest cicho i można pogadać.

Potem jechali już wśród przytłaczającej ciszy. Hollis wybrał północny zjazd, który prowadził do Airport Boulevard. Znajdowało się tam kilka hoteli. Zatrzymał się na pierwszym zauważonym parkingu hotelowym, parkując blisko wejścia. Miał napięte mięśnie barków i odczuwał lekki ból głowy, poza tym czuł się dobrze. Był jednak zbyt podenerwowany, by w ogóle móc odczuwać jakieś szczególne zmęczenie. Wiedział, że potem - po rozmowie z Erikiem i długiej drodze powrotnej do domu - będzie wykończony.

W hallu hotelowym zapytał: - Jesteś głodny?

Eric potrząsnął głową. Ominęli więc restaurację i dotarli do baru. Było tu ciemno i spokojnie, wzdłuż bufetu siedziało kilku klientów, cicho włączony telewizor nadawał transmisję z meczu baseballu. Hollis wybrał stolik z tyłu, w kącie. Zamówił dla nich obu po kawie i poczekał, aż została podana, nim zaczął rozmowę.

- Zaczniemy od początku - powiedział. - Czy w przeciągu ostatnich kilku dni dostałeś jakieś nie podpisane listy? W biurze albo w domu, wszystko jedno.

Eric zmarszczył brwi. - Zwykle listy, nie maile?

- Jakiegokolwiek listy.

- Nie, nic.

- Czy przysłałeś mi albo siostrze anonimowe wiadomości?

- Co? Dlaczego miałbym robić coś takiego?

- Odpowiedz na pytanie.

- Oczywiście, że nie. Jakie anonimowe wiadomości?

- Takie...

Wyjął z kieszeni trzy kartki papieru, jedną Angeli i dwie własne. Rozłożył je, jedna przy drugiej, przed synem. Twarz Erica zmieniała się w miarę, jak czytał te listy, jakby to, co miał pod skórą, tężało. Gdy podniósł głowę, jego oczy miały w sobie wściekłość.

- Rakubian - powiedział.

- Wiesz, że to nie Rakubian.

- Skąd miałbym to wiedzieć? Kto inny...?

Hollis nic nie mówił, obserwował go.

- Napisane są w jego stylu - podjął Eric. - Ale to „co zrobiłeś z jego ciałem?” Co to znaczy?

- A jak myślisz?

- Ktoś myśli, że masz coś wspólnego z jego zniknięciem.

- I...?

- Ale nie masz. Prawda?

- Kurwa, przecież wiesz, że go nie zabiłem.

- Tato... Nigdy nie przypuszczałem, że mogłeś to zrobić.

- Dobra, koniec z tym - powiedział Hollis, zmęczony. - Koniec z kłamstwami, koniec z unikaniem prawdy.

Eric zamrugnął oczami. - Zaraz, chwileczkę. Dlaczego przypuszczałeś, że to ja mogłem przysłać te listy? Nie obchodziłoby mnie, gdybyś posiekał Rakubiana na kawałki i nakarmił nimi Fritza...

- To nie jest śmieszne.

- Nie próbowałem być śmieszny. Wiesz, że nigdy nie zrobiłbym nic, co mogłoby skrzywdzić ciebie albo Angie.

- Nie zrobiłbyś, jeśli rozumowałbyś racjonalnie.

Kilka sekund niezręcznej ciszy. Potem Eric stwierdził spokojnie: - Boisz się, że to *ja* miałem coś wspólnego ze zniknięciem Rakubiana. Dlatego kazałeś mi dziś przylecieć.

- Już czas, synu. Najwyższy czas.

- Na co?

- Żeby powiedzieć prawdę. Całą. I to obaj.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Eric. Ja *wiem*. Wiedziałem od początku. Byłem tam niedługo po tobie. Znalazłem go tam, gdzie go zostawiłeś.

- Gdzie go...

- A myślałeś, że kto posprzątał jego dom, pozbył się ciała? Musiałeś się domyślić, że to byłem ja.

Eric siedział nieruchomo. Wytrzeszczył oczy, ale nie dało się w nich wyczytać ani jego uczuć, ani myśli.

- Możesz mi powiedzieć, jak do tego doszło, albo nie - kontynuował Hollis. - To już zależy od ciebie. Jedyne, co muszę wiedzieć, to czy poszedłeś tam z gotowym postanowieniem, że go zabijesz. Było tak?

Żadnej odpowiedzi, nawet mrugnięcia.

- Było tak, Eric?

- Kiedy? - Pytanie zdawało się pochodzić z jego trzewi, prawie nie poruszył ustami.

- Co kiedy?

- Kiedy go zabito? Kiedy go znalazłeś?

- Przecież właśnie ci powiedziałem...

- Tato, teraz ty *mi* musisz odpowiedzieć. Kiedy się to wszystko wydarzyło? Którego dnia?

Nagła ostrość w głosie Erica, bardziej niż sam jego głos, sprawiła, że Hollis zważył.

- W sobotę, przed wyjazdem Angeli do Utah - powiedział.

- Dzień, w którym znalazłem to pudło w garażu.

- Miałeś prawo się wściec.

- Jasne, że byłem wściekły. Ale nie na tyle, żeby go zabić. Nie mógłbym nikogo zabić, nawet, by uratować Angie. Nigdy nie zrozumiałeś, kim jestem, jaki jestem, prawda? - Zdawał się nagle rozluźnić, pochylił się do przodu tak raptownie, że jego łokcie uderzyły o blat stołu, a filiżanki zadzwoniły. - Posłuchaj mnie, tato. Tamtego dnia zrobiłem dokładnie to, co mówiłem. Pojechałem na wybrzeże, potem wzdłuż Russian River. Nie pojechałem do San Francisco. Nie widziałem się z Rakubianem.

- Ty... Nie...

- Nie zabiłem go. *To nie byłem ja.*

Mówił prawdę.

Hollis wiedział o tym, od razu to zaakceptował. Absolutnie pewna wiedza zastąpiła błędne przekonanie, pochopnie mylną ocenę sytuacji.

Ktoś inny poszedł w tamto popołudnie do domu Rakubiana, ktoś inny miał mocne powody, by go nienawidzić i chcieć, by zginął. Ktoś inny podniósł figurkę kruka i rozwalił mu nią czaszkę. Ktoś inny...

I ciało, krew, dywan, worki na śmieci, sprzątanie, koszmarna podróż, gliniarz, kopanie grobu, pochówek, wszystko, wszystko... Po nic.

Zatuszował cudze morderstwo.

Siedział oniemiały, a prawda, niczym młot pneumatyczny, torpedowała jego świadomość. Czuł też ulgę... *Eric był niewinny...* W pierwszej chwili przyćmiło to ciężar jego własnego, żrącego poczucia winy.

- Eric - powiedział nie do końca przytomnie. - Przynieś mi brandy. Podwójną.

- Ale przecież nie powinieneś pić...

- Zrób, o co cię proszę.

Eric chwilę się wahał, ale wstał. Wydawało się, że długo go nie było. A potem w ręku

Hollisa znalazł się kieliszek, który wychylił w dwóch pospiesznych łykach. Rozchodzące się po nim ciepło alkoholu pozwoliło mu na nowo zacząć myśleć.

- Tato, wierzysz mi?

- Tak, wierzę.

- Dlaczego tak długo czekałeś, zanim zdecydowałeś się ze mną porozmawiać? Wszystkie te pytania wtedy, w domu, następnego dnia, a potem przez telefon... Dlaczego nie powiedziałeś?

- Myślałem, że łatwiej nam będzie po prostu udawać... Żeby każdy zachował swoją tajemnicę... - Przycisnął dłonie do skroni. - Miałeś rację. Nigdy cię dobrze nie znałem, prawda?

- Może niewystarczająco starałeś się mnie poznać. Zresztą, ja pewnie popełniłem ten sam błąd w stosunku do ciebie.

Przytaknął. „Ależ ze mnie pieprzony idiota” - pomyślał.

Po jakimś czasie Eric spytał: - Co dokładnie wydarzyło się w tamtą sobotę? Pojechałeś do domu Rakubiana, bo myślałeś, że mnie tam znajdziesz?

- Tak. - Opowiedział o tym, jak dzwoniła Cassie i jak znalazł ciało. Całą historię opowiadał prędko, słowa paliły mu usta. - Miał rozwaloną czaszkę... A ty mówiłeś, że dokładnie to chciałbyś mu zrobić, rozwalić mu czaszkę. Ani razu nie przyszło mi do głowy, że mógł to zrobić ktoś inny. Przepraszam... Bardzo przepraszam.

- Gdybym to ja znalazł się wtedy na twoim miejscu - Eric mówił powoli - pomyślałbym dokładnie to samo. Posprzątałeś wszystko, żeby mnie chronić?

- Dokładnie tak. - Hollis opowiedział mu całą resztę, wszystko, oprócz dokładnej lokalizacji grobu. Czuł się oczyszczony. Gdy skończył, Eric zdawał się patrzeć na niego w jakiś nowy sposób. Ale nie mógł odgadnąć, czy w oczach syna zyskał, czy stracił. Tylko tyle, że został oceniony od nowa.

- To musiało być okropne - powiedział Eric. - Gdyby ten gliniarz zajrzał do bagażnika...

- Może i lepiej by się stało.

- Nie mów tak.

- Spieprzyłem całą sprawę. Nie tylko tamtego dnia. Wcześniej i później też, całkowicie.

- Jak to, wcześniej?

Poczuł nagłą chęć zwierzenia się ze swego pierwotnego planu. Chciał powiedzieć: „Sam miałem go zabić, zastrzelić jak psa. I tak by się pewnie stało, gdyby ktoś mnie nie



ubiegł. To dopiero ironia losu, prawda? Ktoś inny go zabił, nie ja. Ktoś inny rozwiązał problem, a wszystko, co powinienem zrobić, kiedy go znalazłem, to odejść albo zadzwonić na policję i byłoby po sprawie. Pewnie by nas podejrzewali, ciebie i mnie, ale nie byłoby dowodów, bo jesteśmy niewinni, i w końcu znaleźliby sprawcę... Za sprawą jakiegoś małego dowodu, który ja zabrałem albo zniszczyłem. Teraz jest już za późno. Teraz nie możemy zadzwonić na policję ani wykopać ciała Rakubiana. A ten, kto to zrobił, nie tylko jest ciągle na wolności, ale do tego teraz prawdopodobnie nas gnębi, zupełnie jak Rakubian, ale bez racjonalnego powodu. Wszystko, czego udało mi się dokonać, to zamiana znajomego zagrożenia na nieznaną”.

Nic z tego jednak nie wypowiedział. Ten wariacki plan zabicia Rakubiana - bo *był* wariacki, teraz o tym wiedział - był jego własnym, osobistym krzyżem, który będzie musiał dźwigać sam, o własnych siłach. Nic dobrego nie wyniknie z tego, że kiedykolwiek podzieliliby się tym z synem czy z kimkolwiek innym.

- Wcześniej czy później, nieważne - powiedział. - Spieprzyłem sprawę, to wszystko. Możliwe, że przeze mnie znów wszyscy jesteśmy narażeni na niebezpieczeństwo.

- Myślisz, że osoba, która napisała te listy, zabiła Rakubiana?

- Na pewno. Nikt inny nie wie, że on nie żyje.

- *Co zrobiłeś z jego ciałem?* Tak. Ten ktoś go zabił, zostawił ciało w domu, a nagle okazuje się, że ciało zniknęło, a dom jest posprzątany. Musiał przeżyć niezły szok.

- Szok, tak.

- Ale skąd wie, że to ty? Przecież jak przyjechałeś, nie mógł wciąż tam być.

- Może z jakiegoś powodu wrócił i zobaczył mój samochód? Albo jakoś zgadł, że to ja.

- Ciągle nie rozumiem, dlaczego czekał dwa miesiące i po co właściwie zaczął przysyłać te listy. Przecież nikt go nie podejrzewa. To po co męczy ciebie i Angie?

Hollis wzruszył tylko ramionami.

- Ten list przysłał jej do nowego mieszkania - ciągnął Eric. - Mieszka tam niecały tydzień. Skąd wiedział, gdzie ją znaleźć?

Odpowiedź na to pytanie była oczywista. Hollis nic nie mówił, pozwolił, by Eric sam do tego doszedł. Nie zajęło mu to długo.

- Ktoś, kogo znamy - powiedział.

- Nie widzę innej możliwości.

- Ale kto? Jezu, tato, nie wiem, kto znajomy mógłby nas tak nienawidzić.

„Ja wiem. Jest jedna taka osoba”.

- Kto, poza nami, pragnął śmierci Rakubiana? I kogo mogłoby obchodzić, co się stało z jego ciałem? Kto chciałby, żebyście z Angie znów cierpieli?

„Jedna osoba. Jeden sensowny powód”.

Potrząsnął głową. Taki gest to ani kłamstwo, ani ominięcie tematu.

Eric zapytał: - Co zrobimy?

- My nic nie zrobimy. Ty wrócisz do Santa Barbara samolotem o piątej trzydzieści.

- Ale posłuchaj, ja...

- Proszę cię, nie dyskutuj. W domu na nic się nie przydasz.

- Mogę pomóc ci się dowiedzieć, kto jest za to odpowiedzialny.

- Jak? Co takiego możesz zrobić, czego nie mogę zrobić ja?

- ...A jak go już znajdziesz, to co?

- Będę się tym martwił we właściwym czasie.

- Nie możesz go oddać w ręce policji, nie wplątując się w to jednocześnie samemu. On wie, że pozbyłeś się ciała, zatarłeś ślady, powiedziałyby o tym...

- Uwierzą albo jemu, albo mnie - odpowiedział Hollis. - Nie może być stuprocentowo pewien, że to byłem ja, nie ma też pojęcia, gdzie znajduje się ciało. Nie będzie w stanie udowodnić, że sam tego nie zrobił.

- Gliny i tak mogą mu uwierzyć.

- Nie doniosę na niego, jeśli da się tego uniknąć. Ale może samo takie niebezpieczeństwo wystarczy, żeby dał nam spokój.

- A jeśli nie wystarczy? Może czegoś spróbować... Co, jeśli ma pistolet albo nóż?

- Dam sobie radę.

- Tato... Nie myślisz chyba, żeby go atakować?

Znów potrząsnął głową, znów nie skłamał ani nie zignorował pytania. - Mogę bronić się też na inne sposoby. Może i mam raka, ale jeszcze nie jestem kaleką.

Nie to należało powiedzieć. Usta Erica ściągnęły się, Hollis niemal widział, jak jego syn zamyka się w sobie.

- Przepraszam cię - dodał. Teraz już mówił, dobierając starannie słowa. - Wiem, że się martwisz, że chcesz pomóc. Ale to może trwać bardzo długo. Może się też okazać o wiele bardziej niebezpieczne, niż na to teraz wygląda. Nie możesz rzucić pracy i spędzić życia na oczekiwaniu.

Brak odpowiedzi.

- Pozwól mi się tym zająć. Jeśli będę cię potrzebował, natychmiast zadzwonię. Obiecuję - natychmiast.

Kolejne sekundy ciszy. Potem pytanie: - A mama? Wie?

- O listach, tak.

- Ale nie o tym, że Rakubian nie żyje? Nie wie, co zrobiłeś?

- Nie. Gdybym jej powiedział, musiałbym się też przyznać, że podejrzewałem ciebie.

Nie mogłem jej tego zrobić.

- A teraz jej powiesz?

- Nie wiem, czy to taki dobry pomysł.

- Ale ja wiem - odparł Eric. - Ma prawo znać całą historię. Angie też. Powiedz im obu, tato. To dotyczy nas wszystkich.

Spojrzenie Erica było napięte i pozwoliło Hollisowi zrozumieć, że potrzeba rodzinnej jedności jest dla syna równie ważna, jak dla niego samego. Przynajmniej tyle zdołał synowi wpoić. Zrozumiał też, że jeśli ta nowa bliskość, ten kontakt, który właśnie nawiązali, miał być podtrzymany, powinien bez kłótni zrobić to, o co prosił Eric. Skinął głową i złapał syna za rękę.

- Masz rację - powiedział. - To dotyczy nas wszystkich, wszyscy powinniśmy wiedzieć, z czym mamy do czynienia.

Ktoś, kogo znamy.

Ryan Pierce.

Jadąc do domu, przyglądał się tej możliwości z każdej strony, tak obiektywnie, jak tylko mógł i za każdym razem dochodził do tego samego wniosku. Motyw zabicia Rakubiana - ten sam, który miał Hollis czy Eric - pozbycie się niebezpieczeństwa grożącemu Angeli i Kenny'emu. Dawny Pierce może nie byłby zdolny do przemocy, ale jego nowe oblicze to zupełnie co innego. Tak, zmienił się, ale nie tak, jak to sobie wyobrażały Angela i Cassie. Wyrósł na faceta o kategorycznych przekonaniach i chorej moralności. A to, czego pragnął najbardziej, to nowego życia z byłą żoną i synem. Motyw przysłania listów - uzależnienie Angeli od siebie, czyli zachęta, żeby ponownie za niego wyszła. Motyw wtórny - ukaranie Hollisa za sprzeciwianie się jego woli.

To musiał być Pierce. Hollis *chciał*, żeby to był on. Oznaczałoby to, że żaden z członków rodziny nie jest w bezpośrednim niebezpieczeństwie, i że rozwiązanie problemu jest dosyć proste. Jedyne prawdziwe niebezpieczeństwo, to ciągła obecność Pierce'a, jego manipulowanie Angeli. Należy się więc z nim otwarcie spotkać, zagrozić mu - prawem, ale także powiedzeniem Angeli o tym, że jest mordercą. Powiedzieć mu, że wszelkie próby zwaleni winy na Hollisa skazane są na niepowodzenie, bo ona wciąż jest córeczką tatusia -

nigdy nie uwierzyłyby komuś innemu. Przekonać go, że jedyne, co może zrobić, to spakować manatki, wynieść się stąd i nigdy się nie pokazywać w pobliżu kogokolwiek z ich rodziny.

Ale trzeba też być ostrożnym, nie należy tak bez zastanowienia brać byka za rogi. Należy dokładnie przemyśleć, jak postępować z Pierce'em, co dokładnie mu powiedzieć. Im lepiej będzie przygotowany, tym większa szansa, że pozbędzie się go na zawsze.

Gdy dotarł do zjazdu z autostrady na Los Alegres, czuł się znacznie lepiej - czuł, że odzyskał kontrolę nad własnym życiem. Zdażył też podjąć inną decyzję. Nie powie Cassie i Angeli tego, co powiedział Ericowi. Jeszcze nie teraz. Wciąż chciał unikać kłamstw i przemilczeń - po prostu jeszcze jakiś czas zachowa prawdę dla siebie. Dopóki nie porozmawia z Pierce'em. Dopóki nie będzie go miał w garści.

## 17

### *Niedziela rano*

O dziesiątej Cassie poszła do kościoła.

Hollis udał się do garażu, żeby wyczyścić, nasmarować i naładować broń. Gdy skończył, ponownie zawinął 22-kę i włożył ją do schowka na rękawiczki w lexusie. Napisał Cassie karteczkę, że miał coś do załatwienia, i pojechał do Angeli.

Była w domu z Kennym, ale bez Pierce'a. Hollis i tak by się domyślił, że spędził tam noc, nawet jeśli Kenny nie wypaplałby mu tego trzy minuty po przyjeździe. Angela była dziś spokojna, uśmiechała się - wszystko wyglądało jak obrazek z reklamówki idealnego niedzielnego poranka w domowym zaciszu. Przyrządziła sobie i jemu po filiżance kawy, a Kenny, siedząc mu na kolanach, opowiadał o jakiejś nowej grze wideo, którą dostał od Pierce'a. Właśnie wtedy chłopiec się wygadał.

- Tata już cały czas będzie z nami mieszkał - oznajmił.

- Ach tak? Sam ci tak powiedział?

- Aha.

- Kiedy?

- Wczoraj, kiedy przyszedł powiedzieć mi dobranoc.

Angela wpatrywała się w swoją filiżankę, na policzkach pojawiły się jej dwie czerwone plamy. Przyglądał jej się, dopóki nie podniosła głowy, ale i tak nie spojrzała mu prosto w oczy. Powiedziała do Kenny'ego: - Kochanie, jeśli chcesz, możesz sobie pooglądać kanał z kreskówkami.

- Świetnie!

A potem do Hollisa: - Możemy posiedzieć w ogrodzie.

„Ogród” to było niecałe dwadzieścia metrów kwadratowych ogrodzonych drewnianym płotem obrośniętym glicynią. Wyschnięty trawnik, kilka krzaków irgi, dwa niewielkie klomby z kwiatami, będące w większej części udeptaną ziemią. „Zasługuje na więcej” - pomyślał Hollis.

Usiedli na plastikowych krzesłach, stojących na malutkim prostokącie popękane go cementu.

- Jesteś na mnie zły? O Ryana? - zaczęła nieśmiało Angela.

- Nie.

- Potrzebuję kogoś. Nie tylko dla bezpieczeństwa... To znaczy...

- Wiem, o co ci chodzi.

- Możesz to zrozumieć, prawda?

- Kiedy wprowadzi się na stałe? Będzie wam dość ciasno, mało tu miejsca.

- Nie, to nie tak - odparła Angela. - Przynajmniej jeszcze nie teraz.

- On chyba myśli, że owszem. Wnioskując z tego, co powiedział Kenny'emu.

- Bo chce, żeby tak było, żeby nasza trójka znów była razem. Bardzo chce. Wczoraj wieczorem... Oświadczył mi się.

„A zapewniał, że tego nie zrobi”. - I?

- Nie dałam mu wiążącej odpowiedzi. Nie jestem pewna, czy tego właśnie chcę. Wciąż mi na nim zależy... Bardzo. I Kenny'emu też. Ale wychodzić za mąż tak niedługo po Davidzie... I w takiej sytuacji... Nie sądzę, żeby to był dobry moment na podejmowanie takiej decyzji.

- Bo nie jest dobry.

- Ryan mówi, że rozumie. Ale...

- Ale co? Próbuje cię zmusić?

- Właściwie nie.

- To co robi?

- Jest taki pewien, że to dobry pomysł. Przysięga, że nas kocha, i wiem, że mówi prawdę. Tylko nie jestem stuprocentowo pewna, co do moich własnych uczuć.

- Powiedziałaś mu o liście?

- Wydawało mi się, że powinnam - przytaknęła.

- Jak zareagował?

- Powiedział, że zrobi wszystko, żeby nic nam się nie stało.

- Aha. A gdzie teraz jest?
- Wyszedł koło dziewiątej. Musiał coś załatwić.
- Co?
- Nie wiem, nie powiedział.
- Kiedy wróci?
- Też nie powiedział.
- Po prostu wyszedł i zostawił ciebie i Kenny'ego samych?
- Nie może nas bez przerwy pilnować...
- Chcę z nim porozmawiać.
- O tych oświadczeniach? Proszę, tato, nie mieszaj się do tego. Nic dobrego z tego nie

wyniknie.

- Nie o tym chcę rozmawiać. Masz jakiś pomysł, gdzie mógł pojechać?
- Może do Rhony. Większość jego rzeczy ciągle jest u niej...

„Jasne - pomyślał. - Nie ma powodu przenosić wszystkiego od razu. Maszynka do golenia, szczoteczka do zębów, kilka paczek prezerwatyw... Czego więcej mógłby potrzebować?”

- Powinienem już iść - orzekł, podnosząc się.
- Nie możesz zostać jeszcze chwilę?

Było to najgorsze miejsce na konfrontację z Pierce'em. Błędem było myśleć, że może to zrobić gdziekolwiek w pobliżu Angeli i Kenny'ego. Trzeba to było zrobić w miejscu neutralnym, gdzieś, gdzie mógł się nie dekoncentrować i zachować kontrolę nad emocjami.

- Też coś muszę pozałatwiać - powiedział. - Spotkamy się jakoś później.

Gdy wchodzili z powrotem do mieszkania, wydawała się przyciszona. Pewnie myślała, że jednak był na nią zły, mimo że temu zaprzeczył. Był raczej rozczarowany. Była tak cholernie zależna od mężczyzn, w dodatku od mężczyzn źle wybranych, jak Pierce i Rakubian. Gdyby tylko była wewnętrznie silniejsza, gdyby potrafiła lepiej oceniać ludzi...

- Czy mam powiedzieć Ryanowi, że go szukałeś? - spytała.
- Nie, sam się tym zajmę.

Kenny nie zwracał na nich żadnej uwagi. Siedział po turecku tuż przed telewizorem, kreskówki atakowały mu oczy, dźwięki męczyły uszy. Angela odciągnęła go siłą i przyprowadziła do Hollisa, żeby mogli się uścisnąć i pocałować na pożegnanie.

- Do zobaczenia, dziadku - zawołał i pospieszył z powrotem do telewizora.
- Jest uzależniony od kreskówek - powiedziała przepraszająco Angela. - Kreskówki i komputery, tylko o tym mówi. Ale kocha cię, tato. Ja też, bardzo. Naprawdę... Bardzo.

„Mam nadzieję, że bardziej niż Pierce'a. Wystarczająco, żeby mi wybaczyć, jak to wszystko się skończy”.

Siostra Pierce'a mieszkała z rodziną we wschodniej części miasta, przy jednym z tych dużych, chaotycznie rozciągających się osiedli, które jak zaraza zajęły tę niegdyś żyzną i uprawną ziemię. Wszystkie domy były niemal identyczne - takie zagospodarowanie terenu, nawet jeśli domy były luksusowe, raziło jego poczucie estetyki. Nieciekawym, konwencjonalnym wyglądem, cięciem kosztów przez zachłannych wykonawców, często kończące się złym wykonaniem i pojawieniem się poważnych problemów w przeciągu kilku lat. Dla niektórych to ich pierwsze domy, dla innych spełnienie marzeń. Małe porcje American Dream, na małą skalę. Nie mógł winić tych, którzy nie mogli pozwolić sobie na nic lepszego - wysokie koszty życia w Kalifornii zmusiły wielu do zaakceptowania niższych standardów. Ale obecnie większość ludzi była do tego stopnia ogłupiona, że uwierzyła, że to właśnie konformizm i przeciętność są czymś lepszym - że to jest wszystko, czego potrzebują lub na co zasługują.

Jedyny sposób, w jaki można było jakoś walczyć z takimi przekonaniem, to - z profesjonalnego punktu widzenia Hollisa - poszerzanie ludzkich horyzontów poprzez projektowanie lepszych domów, lepsze planowanie osiedla jako całości, lepsze wykonanie, nawet jeśli oznaczało to mniejszy zysk. Nie chodziło o ludzi takich jak Shelby Chesterton, bogatej mniejszości, którą stać było na to, co najlepsze, i dla których Hollis mógł, od czasu do czasu, puścić wodze fantazji i tworzyć całkowicie zgodnie ze swoim poczuciem estetyki. Chodziło raczej o emerytów, którzy zamieszkają w osiedlu w Dry Creek Valley, i dlatego uważał za bardzo ważne, żeby to firmie Mannix & Hollis powierzono tę budowę. I dostaną ją, był tego pewien. Gabe miał podobne poglądy - zgodzili się, że dużą część zysku poświęcą na to, by projekt stanowił przykład pracy przemysłowej, odpowiedzialnej i wzorowo wykonanej. Wykonuj pracę dobrej jakości, a będziesz dostawał dobre zlecenia, a może poza tym, w jakimś małym stopniu, uda ci się ulepszyć świat.

Pamiętał nazwę ulicy, na której mieszkała Rhona Pierce-Collins, ale nie mógł przypomnieć sobie numeru. Zatrzymał się więc w jednym z okolicznych centrów handlowych (tak banalnie konwencjonalnym, że mogło znajdować się w dowolnym miejscu w kraju) i sprawdził adres w książce telefonicznej. Gdy dotarł do równie konwencjonalnego osiedla budynków z trzypokojowymi mieszkaniami, nie zobaczył tam ciężarówki Pierce'a. Mimo wszystko zaparkował, wszedł po schodach i zadzwonił do drzwi.

Rhona była żeńską wersją brata, oprócz tego, że od czasu, kiedy Hollis widział ją ostatni raz, przytyła co najmniej dziewięć kilo. Powód - dwie ciąży, złe odżywianie się i

niewystarczająca ilość ruchu. Powiedziała, że owszem, Ryan był u niej dzisiaj, ale wyszedł ponad godzinę temu. Nie wiedziała, dokąd pojechał. Nagle, gdy Hollis już się odwracał, żeby odejść, uśmiechnęła się do niego promiennie.

- Chyba należą się moje gratulacje, panie Hollis - powiedziała.

- Gratulacje?

- Angela i Ryan znów razem, znów biorą ślub. - Gdy Hollis nic nie odpowiedział, dodała: - Ojej, mam nadzieję, że to nie była tajemnica. Pan i żona nie wiedzieliście o tym?

- Tak - powiedział. - Dziękuję, Rhona. - I odwrócił się do niej plecami, zanim mogła odczytać to, co malowało się w jego oczach.

### *Niedziela po południu*

Nigdzie nie mógł znaleźć Pierce'a. Wypatrywał jego dodge'a w centrum, potem przejeżdżając raz jeszcze koło mieszkania Angeli i w paru innych miejscach, aż w końcu pojechał Western Avenue Extension do Chileno Valley Road. Rancho Gugliotty znajdowało się jedenaście kilometrów za miastem i rozciągało się na przestrzeni kilku tysięcy akrów kamienistego, górzystego terenu. Zajmowano się tam hodowlą bydła oraz produkcją wołowiny i nabiału. Dodge'a nie było również i tam, a stary Fred Gugliotta, którego Hollis znał bardzo słabo, powiedział mu, że nie widział Pierce'a od piątku po południu.

Jadąc z powrotem do miasta, czuł się bardzo sfrustrowany. Chciał mieć to już za sobą. Im dłużej będzie to trwało, tym bardziej będzie zdenerwowany, a Stan Otaki zalecał mu, między innymi, wystrzeganie się stresujących sytuacji. Po raz trzeci przejechał koło mieszkania córki. Wciąż ani śladu ciężarówki.

Była już prawie pierwsza, a Hollis czuł zmęczenie i głód. Dał sobie spokój z poszukiwaniami i skierował się w stronę domu. Później zadzwoni do Angeli i jeśli Pierce już wróci, umówi się z nim na spotkanie. Tylko oni dwaj i broń w kieszeni na wszelki wypadek.

Cassie była już w domu po mszy i lunchu ze znajomymi. Hollis zaparkował na podjeździe koło jej furgonetki. Gdy tylko wyłączył silnik, usłyszał dobiegające z domu wściekle ujadanie Fritza. Ciekawe. Podczas pobytu Angeli w Utah, Cassie pracowała nad dobermanem, by nauczył się kontrolować swą nerwową naturę, która objawiała się przede wszystkim bezustannym szczekaniem. Najczęściej, gdy nie było ich w domu lub gdy do niego wracali, psu udawało się już zachowywać spokój. Coś musiało go zdenerwować.

Fritz nie był, jak zwykle, zamknięty na tylnym ganku. Hollis słyszał, jak biega i szczeka po drugiej stronie drzwi wejściowych.



- Cicho bądź, to ja - powiedział głośno i wszedł do domu.

Doberman wycofał się, aby mógł wejść do hallu, ale zaraz zatrzymał się, drżąc, ze zjeżoną sierścią, nie szczekając już, ale warcząc przeciągle. Hollis zmarszczył brwi.

- Co ci jest? Zapomniałeś już, kto wkłada ci do miski jedzenie? - Słowa te wypowiedział przyciszonym głosem, ale pies nie przestawał warczeć.

- Cass? - zawołał Hollis. - Czemu Fritz jest taki zdenerwowany?

Żadnej odpowiedzi.

Mięśnie jego szyi i pleców zaczęły się powoli spinać. Raz jeszcze ją zawołał, tym razem głośniej, i znów nie było odpowiedzi. Ostrożnie ominął dobermana i wszedł do salonu.

Zatrzymał się, rażony widokiem, jakby nagle wrósł w ziemię.

Pokój był całkowitą ruiną. Gorzej... Został skrupulatnie, brutalnie zniszczony.

Obicia sof i foteli zostały poszarpane czymś tak ostrym, że nie zostało z nich wiele więcej nad ścinki materiału podobnego do obdartej skóry - Z ran zadanych jego fotelowi wystawało wypełnienie, niczym plamy czarno-białej krwi. Stoliki były przewracane. Należąca do Cassie przeszklona szafka na rozmaitości również, jej szkło rozbite na kawałki, podobnie jak szklany blat stolika do kawy. Stołki barowe zniszczone i odrzucone na bok, za barem porozbijane na podłodze butelki. A na wszystkim, na meblach, dywanie i ścianach zwariowany wzór pasów i zygzaków lśniącej, czarnej farby w sprayu. Wchodząc do pokoju, czuł zarówno zapach farby, jak i rozlanego alkoholu. Zapach ten uwiązał mu w gardle, zwiększył jeszcze dudnienie krwi w skroniach.

Cassie była tam, w samym środku poboju, siedziała oparta o podarte boczne oparcie kanapy. Wpatrywała się wprost przed siebie, zupełnie się nie poruszając. Z boku jej twarz miała plamisto biały kolor maślanki. Jedną rękę miała podniesioną, palce wyciągnięte, i Hollis zdał sobie sprawę, że na coś wskazywała.

Ściana z boku kominka. Kiedyś koloru beżowego, ozdobiona dwoma akwarelami miejscowych malarzy, była teraz oszpecona czernią. Ale tu farba nie była nałożona w sposób przypadkowy, jak w pozostałych miejscach. Tworzyła niezgrabne litery, wysokie na jakieś trzydzieści centymetrów:

CIERP!

**18**

Przebrnął przez pokój do Cassie, starając się omijać wciąż lepka farbę. Opuściła rękę,

pozostawała jednak nieruchoma. Nie spojrzała na niego, kiedy pochylił się, by złapać ją za ramiona. Jej oczy miały wilgotny, szklisty połysk. Jej ciało zdawało się pozbawione miękkości i sprężystości, zupełnie, jakby dotykał skamieniałego kawałka drewna. Próbował ją obrócić, ale bezskutecznie. Nie opierała się, po prostu nie reagowała.

- Cass? Wszystko w porządku?

- Niedawno wróciłam - powiedziała, jakby odpowiadając na zupełnie inne pytanie. - Fritz szczekał i wyszłam na ganek, żeby go uciszyć, ale wyrwał mi się i przybiegł tutaj.

- A reszta domu...?

- Nie wiem. To... Nie mogłam...

- Sprawdzę. Zostań tu.

- Już nigdy nie będzie tak samo - powiedziała, gdy puścił ją i wyprostował się. - Nieważne, co zrobimy. Nigdy już nie będzie tak samo.

Jej wzrok powędrował z powrotem w stronę pomazanej sprayem ściany. W Hollisie zagotowała się wściekłość i dał jej upust, nim zdążył się pohamować. - Skurwysyn! Zapłaci za to! Pożałuje, że się w ogóle urodził!

Patrzyła na niego, ale jakby już mniej intensywnie. - Rakubian - wykrztusiła.

Nie odpowiedział. Odstąpił od niej, obszedł od tyłu kanapę i, idąc wzdłuż ściany, dostał się do hallu. Fritz ciągle tam był. Już nie warczał, ale jego napięte ciało wciąż drżało. Hollis ominął go i poszedł na górę zajrzeć do sypialni, a potem do pokoi Angeli i Erica. Żaden z nich nie był ruszony. Wróciwszy na dół, sprawdził jadalnię, pokój telewizyjny, swój gabinet i kuchnię. Nienaruszone. Doberman chodził w ślad za nim, stukając pazurami po parkiecie.

„To ujadanie - pomyślał. - To ono odstraszyło Pierce'a, zanim mógł narobić więcej szkód. Chyba że w planach miał tylko zniszczenie salonu. Wszystko rozwalić, zostawić tę swoją pieprzoną wiadomość i szybko zwiać. Można to było zrobić w niecałe dziesięć minut. Całkowicie zniszczyć pokój... Niecałe dziesięć minut”.

Boczne kuchenne okno było lekko uchylone. Zostawili je tak, beztriosko, po śniadaniu, albo zapomnieli zabezpieczyć - Pierce mógł tędy wejść. Mógł też wejść drzwiami frontowymi. Hollis był pewien, że wychodząc, zamknął je na klucz, ale Pierce mógł potajemnie wziąć klucz Angeli, przyjść tu i je otworzyć.

Hollis wyszedł przez drzwi prowadzące na patio, okrążył budynek i wszedł do ogródka Archerów. Zadzwoił do drzwi, ale nikogo nie było. Lippmanów, sąsiadów Hollisów od strony północnej, również nie było w domu. Przeszedł na drugą stronę ulicy do Changów. Byli w domu, ale nie mogli mu nic powiedzieć - przez cały ranek pracowali w ogródku na

tyłach domu.

Nie miało to jednak większego znaczenia, prawda? Pierce... Któżby inny? Hollis i tak nie mógł zawiadomić policji. Wracając do domu od Changów, odczuł silny impuls, by wsiąść do samochodu i znów pojechać na poszukiwania. Zwalczył go jednak. W jego obecnym stanie konfrontacja z Pierce'em byłaby głupotą, a nawet niebezpieczeństwem.

Cassie wciąż była w salonie, ale najgorszy wstrząs miała już za sobą. Stała przy barku, jej policzki znów nabrały koloru, oczy, zamiast szkliscie lśnić, promieniały złością.

- Ktoś go widział? - zapytała.

- Nie. Ani Archerów, ani Lippmanów nie ma w domu.

- Jest nie tylko świrem, ale i szczęściarzem. Policja... Może będą potrafili w tym bałaganie znaleźć coś, co udowodni, że to on.

- Nie dzwoniłaś do nich?

- Nie, czekałam na ciebie.

Wziął głęboki oddech i powiedział: - Nie będę tego zgłaszał.

- Dlaczego nie? Rakubian...

- Rakubian tego nie zrobił.

Kolejny oddech, a potem, impulsywnie, bo nie mógł już dłużej ukrywać prawdy, rzekł: - Rakubian nie żyje, Cass.

- Nie żyje? Co ty... *Nie żyje?*

- Od dwóch miesięcy.

- Skąd o tym wiesz? Boże, chyba nie...?

- Nie, nie zabiłem go. Ale chyba wiem, kto to zrobił. Ta sama osoba, która przysłała listy i zrobiła to.

Wpatrywała się w niego, jakby widziała go po raz pierwszy w życiu. - Kto?

- Chyba lepiej, żebym opowiedział ci wszystko od początku.

- Opowiedz, dobrze ci radzę.

- Ale nie tutaj. W kuchni.

Poprowadziła go tam, usiadła przy kuchennym stole i poczekała aż zrobi to samo, zanim odezwała się: - Dobra, Jack. Wszystko. Od początku.

Powiedział jej prawdę i tylko prawdę, przemilczając tylko to, czego nie wyjawiał też Ericowi. Zareagowała tylko w dwóch momentach - wykrzywiając się, kiedy tłumaczył jej, jak wierzył w winę Erica, a potem przytakując nerwowo, gdy opowiedział, jak zatuszował zbrodnię. - Musiałem to zrobić, żeby go chronić. - Poza tym siedziała, słuchała i wpatrywała się w niego ze stoickim spokojem.

Nie odzywała się jeszcze jakiś czas po tym, jak skończył. A gdy w końcu przemówiła, nie była to bynajmniej ta słowna reakcja, jakiej Hollis się spodziewał.

- Niech cię szlag trafi, Jacku Hollisie! - powiedziała głosem przesiąkniętym furją i chłodem. - Czasem wkurzasz mnie tak bardzo, że nie wiem, co zrobić!

- Cass, przepraszam. Ale myślałem, że postępuję słusznie...

- Że postępujesz słusznie?!

- Tak.

- Okłamując mnie i nie mówiąc mi, co się dzieje?!

- Ciebie też chciałem chronić...

- Właśnie o to mi chodzi. Dokładnie o to. To nie Rakubian ani to, co zrobiłeś, tak mnie zdenerwowało, tylko ty. Ty i to twoje poczucie, że musisz być supermanem!

- O czym ty mówisz?

- Supermężczyzną, superojcem, supermężem. Chronić Erica, Angelę i mnie. Ponosić całą odpowiedzialność, podejmować wszystkie decyzje i całe ryzyko. Próbujesz prześcignąć swojego ojca na każdy możliwy sposób.

- Mojego ojca? A co on ma z tym wspólnego?

- Wszystko. Całe twoje życie jest bezustanną próbą udowodnienia sobie, że mylił się co do ciebie, że jesteś od niego lepszy. Mądrzejszy, silniejszy, zdolniejszy, bardziej współczujący, bardziej dbający o swoich bliskich i ich bezpieczeństwo, bardziej kochający, bardziej wszystko. Ale ty nie jesteś typem silnego, cichego macho. Jesteś Jackiem Hollisem, nie Budem Hollisem. Za bardzo się starasz, a przez to nie potrafisz oceniać obiektywnie, tracisz dystans i popełniasz błędy. A wtedy zamykasz się w sobie, bo nie potrafisz przyznać, że potrzebujesz pomocy albo rady, że jesteś wręcz trochę słabszy niż żelazny Bud Hollis.

Jej oskarżenia dotknęły go. Wszystkiemu chciał ostro zaprzeczać, ale brakowało mu słów.

- I ten twój rak też. Jesteś tak wściekły i przerażony tym, co dzieje się w twoim ciele, że nie myślisz racjonalnie.

- Nieprawda!

- Dokładnie tak jest. Myślisz, że nie wiem, że nie rozumiem? Jesteś zły, rozgoryczony i przestraszony, i czujesz potrzebę wyładowania się na czymś albo na kimś... Na przykład na Rakubianie. Ale nie możesz się do tego przyznać, to nie jest „właściwe” podejście, więc znalazłeś sobie inny pretekst - ochrona rodziny za wszelką cenę. Upewniasz się, że przeżyjemy, bo nie jesteś pewien, czy ty sam przeżyjesz.

- Mój Boże - powiedział zdławionym głosem.

- Mam rację i doskonale o tym wiesz. Nie rozumiesz? To są prawdziwe powody, dla których próbowałeś poradzić sobie z tym wszystkim sam... Twój ojciec i rak. Ale nie potrafisz sobie sam poradzić, nigdy nie potrafiłeś. I nie musisz. Te problemy są w równym stopniu moje, co twoje. Jestem twoją żoną, twoim partnerem, a w razie potrzeby współnikiem w konspiracji niezależnie, czy ci się to podoba, czy nie, jestem tak samo wściekła jak ty, tak samo silna, tyle samo mogę działać, a w czasie kryzysu myślę bardziej racjonalnie. Nie zasługuję na to, żebyś traktował mnie jak słabeusza albo kogoś gorszego od ciebie. Nie jestem ani jednym, ani drugim. Nie zasługuję na to, żebyś traktował mnie tak samo, jak ciebie traktował twój ojciec...

Potrząsnął głową, bardziej odruchowo niż z przekonaniem, i wstał. Przez kilka sekund stał tak, niezdecydowany, w końcu opadł z powrotem na krzesło. Nagle poczuł się bardzo zmęczony, zdawało mu się, że jego ręce i nogi są bezwładne.

- Wiem, że to wszystko bardzo cię dotknęło - odezwała się Cassie już łagodniejszym głosem. - Ale to musiało zostać powiedziane. Ty też mnie zraniłeś.

- Ja... Nie chciałem cię zranić.

- Grzech zaniedbania to jednak grzech.

- Dobrze, to w takim razie dlaczego tak długo ze mną wytrzymałaś, skoro jestem takim nieudacznikiem, skoro moje zachowanie tak bardzo cię obraża?

- Na litość boską, tylko nie zaczynaj się nad sobą użalać. Wytrzymałam, bo cię kocham i potrzebuję cię, razem z twoimi wadami. Nie próbuję cię atakować, Jack, próbuję tylko sprawić, żebyś zobaczył wszystko we właściwym świetle, żebyśmy mogli sobie z tym poradzić.

I zobaczył, naprawdę zobaczył. Chęć zaprzeczenia nie była już tak silna. Miała rację. Wszystko, co powiedziała, było trafione w dziesiątkę. Ale wszystko, co mógł powiedzieć, to:

- Poradzić sobie, i co?

- Jack... Ty... - Jej głos stał się zachrypnięty, odchrząknęła. - Mam tak sucho w gardle, że nie mogę... - Patrzył, jak wstaje i podchodzi do lodówki. Zza jej otwartych drzwi, zapytała:

- Chcesz coś?

- Nie.

Nalała sobie szklankę mleka i wypijała połowę, jeszcze zanim usiadła. - Już lepiej - stwierdziła, a potem dodała: - Nie powiedziałaś jeszcze Angeli o Rakubianie?

- Jeszcze nie.

- A masz zamiar jej powiedzieć?

- Tak.

- Kiedy?

Potrząsnął tylko głową.

- Niemówienie jej o tym jest okrucieństwem. Wiesz, jaka jest przerażona. Musisz jej powiedzieć - *my* musimy jej powiedzieć. Jak najszybciej. Dziś wieczór.

- Nie może tu przyjść. Ten salon...

- My pojedziemy do niej.

- Nie powiem jej tego przy Pierce'ie.

- Dlaczego, na litość boską?

- A myślisz, że kto zabił Rakubiana? Napisał te listy, narobił tu dziś wszystkich szkód?

- Myślisz, że to Ryan?

- A kto inny, do cholery?

- Ale dlaczego?

Powiedział jej o motywach, jakie jego zdaniem miał Pierce.

- Nie wierzę.

- Nie wierzysz. W twoich oczach on jest olśniewającym przykładem męskości, tak? W przeciwieństwie do mnie. Nowy i ulepszony Ryan Pierce.

- Znow przemawia przez ciebie złość.

- Tak? Chyba że mam co do niego rację.

- Masz jakieś dowody?

- Jeszcze nie, ale będę je miał.

- To dlaczego jesteś tak absolutnie pewien, że jest winny?

Milczał.

- Nie lubisz go i chcesz, żeby to był on? Byłeś pewien, że to Eric, i myliłeś się. Teraz jesteś pewien, że to Ryan, i tak samo możesz się mylić.

- A kto inny to może być? No, powiedz.

- Od razu mogę kogoś wymienić. Nie spodoba ci się to, ale on ma tak samo dobry motyw, jak Ryan.

- Kto?

- Gabe Mannix.

- Gabe? - zapytał z niedowierzaniem. - Zwariowałaś?

- Jest zakochany w Angeli, wiesz o tym.

- No to co? Kocha ją na odległość. Boże, przecież znamy go od ponad dwudziestu lat. To mój najlepszy przyjaciel. Chyba nie wierzysz, że byłby zdolny do całego tego wariactwa?

- Oczywiście, że nie. Ale tak samo nie wierzę, że to Ryan. O to mi chodzi.

- Ja ciągle uważam, że to Pierce.

Chwila ciszy, a potem Cassie powiedziała: - Zapominasz o czymś. Angela miała z nim randkę w dzień śmierci Rakubiana. Wyszła z domu w tym samym momencie co Eric, pamiętasz?

- Chyba nie była z nim przez całe popołudnie? Mógł pojechać do San Francisco po rozstaniu się z nią.

- Nie zdążyłby.

- Owszem, zdążyłby. Jak do mnie dzwoniłaś, było około wpół do trzeciej, a jak dotarłem do St. Francis Wood, było po czwartej. Jeśli Pierce wyruszył natychmiast po spotkaniu z nią, miał prawie dwie godziny, żeby tam dojechać, zabić Rakubiana i zniknąć, zanim zdążyłem przyjechać.

- Może masz rację - przyznała. - Ale musiałby bardzo się spieszyć.

- Chyba że pojechał tam, wiedząc, że go zabije.

- Więc chcesz się z nim spotkać i go oskarżyć?

- Myślałem, że to najlepsze rozwiązanie - odpowiedział z wahaniem.

- Ale teraz nie jesteś już taki pewien.

- Nie. - Ponieważ zasiała w nim wątpliwości, nie dotyczące tylko winy Pierce'a, ale i jego własnej oceny sytuacji. - A myślisz, że co powinienem... Powinniśmy zrobić?

- Porozmawiać z Angellą, zanim podejmiemy jakiegokolwiek decyzje - odparła. - W tej chwili to jest najważniejsze.

W domu panowała silnie wyczuwalna atmosfera zbezczeszczenia. Do salonu przynieśli plastikowe pojemniki na śmieci, szczotki, szufelki, mopa, płyn do czyszczenia w sprayu i trochę szmat i próbowali posprzątać pobojojwisko. Hollis wciąż miał okropne uczucie *déjà vu* - stawała mu przed oczami biblioteka Rakubiana i krew, którą wycierał z podłogi. Tutaj jednak trud okazał się jałowy i zmarnowany. Salon trzeba będzie całkowicie opróżnić, odmalować, położyć nowe dywany i wstawić nowe meble, a i tak, jak powiedziała Cassie, to nie będzie to samo - cały dom może już nigdy nie być tą bezpieczną przestrzenią, którą był do tej pory. Ze ściany udało im się zetrzeć większą część napisu CIERP! Podnieśli krzesła i stoły, zamietli większość potłuczonego szkła. Pracując, rozmawiali zrywami, napięcie między nimi wciąż było wyczuwalne. Także i to było zmarnowanym trudem.

Kiedy w końcu dali sobie spokój, Cassie nalegała, by poszedł na górę i się położył. Nie sprzeciwiał się - potrzebował zarówno samotności, jak i odpoczynku. Leżał w półmroku

sympialni z zamkniętymi oczami, a jego myśli przeskakiwały z wątku na wątek, dopóki nie zatrzymały się na oskarżeniach Cassie. Nie, to nie były oskarżenia, tylko fakty i wnikliwe spostrzeżenia. To, czym go smagała, to była sama prawda, a on nigdy nie uciekał przed prawdą.

Złość i strach spowodowane tym, że zdradza go jego własne ciało. Tak, odczuwał obie te rzeczy. Potrzeba wyładowania się na kimś lub na czymś. O tak, to też czuł - właśnie to kazało mu wymyślić plan zabicia Rakubiana. Może to samo powoduje niechęć do Pierce'a, pragnienie, żeby okazał się winny. Wściekłość jest silnie motywująca. I notorycznie utrudnia racjonalne myślenie, tak, jak mówiła Cassie.

I jeszcze Tata. Żelazny Bud Hollis, ostatnia osoba, do której chciał być podobny, do której tak strasznie starał się nie być podobny. Osoba, w którą się wdał wbrew sobie. Tłumaczyło to bardzo wiele. Stąd on i Eric nigdy nie byli sobie tak bliscy, jak powinni, stąd nastoletni bunt Erica. W najważniejszych chwilach traktował syna tak, jak jego samego traktował ojciec, żelazną ręką zamiast delikatną dłonią, tępą naganą zamiast czułością i miłością, brakiem tolerancji zamiast zrozumieniem i otwartością. Wobec tego wszystkiego Eric powoli się od niego odsuwał, tak samo, jak Hollis odsunął się od swojego ojca. Zależność Angeli... To też jego wina. Córeczka tatusia. Przybiegała do niego, gdy tylko pojawiał się jakiś problem, a on go rozwiązywał. Tak samo było z innymi mężczyznami w jej życiu, słabymi jak młody Pierce, dominującymi jak Rakubian. Jedno albo drugie, słabi albo władczy, albo obie te cechy naraz, jak jej ojciec. A Cassie... Nie dopuszczał jej do siebie, odpychał ją, podczas gdy powinien skorzystać z jej siły i zaufać jej inteligencji i mądrości. „Jestem tak samo wściekła jak ty, tak samo silna, tyle samo mogę działać, a w czasie kryzysu myślę bardziej racjonalnie.” Gdyby od początku jej zaufała, niektórych problemów dałoby się uniknąć.

Jego wina, jego słabość, jego błędy. Jego niepowodzenia. „Przyznaj się, Hollis. Jesteś niewiele lepszy od Buda Hollisa, jako ojciec, mąż i w ogóle człowiek.”

Jego myśli stały się zbyt bolesne. Spróbował je odpędzić i udało mu się, ale spał niespokojnie. Kiedy się obudził, koło łóżka stała Cassie. Zobaczyła, że ma otwarte oczy i podeszła, by usiąść koło niego.

- Przed chwilą rozmawiałam z Angellą - powiedziała. - Jesteśmy z nią umówieni na piątą. Ryana nie będzie - idzie z Kennym do kina.

- OK.

- Zadzwońłam też do Erica. Pomyślałam, że tak będzie dobrze.

- Co powiedział?



- Oczywiście martwi się. Głównie o ciebie.

- Co mu powiedziałaś?

- Że radzimy sobie z sytuacją. Oboje. Chce, żebyśmy do niego zadzwonili, jeśli będzie coś, co będzie mógł zrobić.

- To dobry dzieciak. Cholera, przepraszam, dobry mężczyzna. Lepszy niż ja, a jest taki młody.

- Wiesz, że to nieprawda. - Gładziła go po czole, odgarniając wilgotne kosmyki włosów, które wchodziły mu do oczu. - Wiesz, przemyślałam to, co zrobiłam - dodała. - I przepraszam, że powiedziałam ci te wszystkie okropne rzeczy. To nie było fair - było okrutne i samolubne.

- Miałaś rację.

- Tak, ale nie była to właściwa chwila, do tego niewłaściwe słowa. Byłam zbyt zdenerwowana, powinnam była poczekać.

- Lepiej, że to zostało głośno powiedziane - usta mu zadrżały. „Cała prawda i tylko prawda” - pomyślał.

- Ale i tak... - zaczęła. - To musiało być dla ciebie potworne, znalezienie Rakubiana i w ogóle cały ten dzień.

- Większości nie pamiętam - skłamał.

- To wymagało ogromnej odwagi. Ja nigdy nie mogłabym się na to zdobyć...

Milczał, bo cóż mógł powiedzieć? Próbowała go jakoś pocieszyć, naprawić jakoś sytuację, choć nie było to potrzebne.

Pocałowała go. - Nie chcę, żebyś myślał, że przestałam cię kochać.

- Nie myślę tak. Nawet nie przyszło mi to do głowy.

I rzeczywiście tak było, nawet podczas jej tyrady w kuchni. Jej miłość to była jedyna rzecz, w jaką nigdy nie wątpił, jedyny pewnik, którego musiał się trzymać.

### ***Sobota wieczorem***

Powiedzenie Angeli prawdy okazało się łatwiejsze, niż myślał. Przyjęła opowieść nie najgorzej, popłakując trochę z ulgi, ale też ze smutku. Była szalenie współczująca - pamiętał, kiedy raz, jako mała dziewczynka, rozplakała się nad martwą myszą, którą znalazła, częściowo zmumifikowaną, w garażu. Po wszystkim, co zrobił jej Rakubian, znalazła w sobie miejsce na smutek po mężczyźnie, którego kiedyś kochała albo usiłowała kochać.

Jeśli miała Hollisowi za złe kłamstwa czy przemilczenia, nie dała temu wyrazu.

Zdawała się rozumieć, czemu zrobił to, co zrobił, i współczuć mu, że tyle musiał przejść. Czy gdyby wykonał swój oryginalny plan, gdyby to on miał na sumieniu Rakubiana, zareagowałaby tak samo? Pewnie nie. Byłoby to nadużycie jej zaufania i musiałby teraz stawić czoło rozczarowaniu, naganie, a nawet przerażeniu. Każda śmierć umniejszała człowieka w jej oczach - tak mu kiedyś powiedziała. Ktoś, kto popełnił morderstwo, niezależnie od powodu, był w jej oczach automatycznie umniejszony.

Powiedzieli jej też o włamaniu, minimalizując wielkość zniszczeń, Hollis nie napomknął jednak o swoich podejrzeniach odnośnie Pierce'a. Pozwolili jej sądzić, przynajmniej na razie, że nie mają pojęcia, kim może być ten nowy prześladowca, jakimi może kierować się powodami, ani nawet, czy to ta sama osoba, która zabiła Rakubiana. Jeśli to faktycznie Pierce, wystarczająco szybko się o tym dowiedzą. I, przy odrobinie szczęścia, Hollis będzie mógł oszczędzić jej tej prawdy do czasu, kiedy Pierce na dobre zniknie z horyzontu.

\*

### *Niedziela w nocy*

Było mu zimno i czuł się zupełnie rozbudzony. Usilnie próbował dopasować się do wygięcia pleców Cassie. Gdy jej ciepło zaczęło rozchodzić się na niego, myślał już, że zaśnie. Ale delikatny nacisk jej pośladków i giętkie pod jego dłońmi wzniesienie jej biodra, wywołały inny efekt. Ku swemu zaskoczeniu odczuł reakcję w kroczu, potem nastąpiło stopniowe twardnienie i wydłużanie. Po raz pierwszy od tej pamiętnej soboty w maju, ale też po obfitym w negatywne wydarzenia dniu - jakby przez jakąś dziwną reakcję psychologiczną jego ciało potrafiło teraz wykazać aktywność seksualną tylko w chwili wielkiego napięcia.

Cassie nie spała, wyciągnęła do niego rękę. - Co my tu mamy... - powiedziała.

- Może nie uda mi się tego utrzymać.

- Sprawdźmy.

Udało mu się i to lepiej, niż mógł się spodziewać. Trochę za szybko skończył, ale ponieważ tak długo się nie kochali, nie sprawił Cassie zawodu. Po dwudziestu sześciu latach doskonale wiedział, które jej orgazmy są prawdziwe.

Później, odpoczywając wciąż przytuleni, Hollis usłyszał swój głos: - Wciąż jestem mężczyzną. - Wypowiedział te słowa bez żadnego świadomego powodu ani celu.

- Oczywiście, że tak - odparła sennie Cassie. - Mhm, o tak. Ale potencja był tylko częścią znaczenia tych słów. Małą i wcale nie najważniejszą.

**Poniedziałek rano**

W nocy zmieniła się pogoda. Po przebudzeniu Hollis, zamiast słońca i niebieskiego nieba, ujrzał za oknem płynące nisko szare chmury popychane zimnym i ostrym wiatrem. Przygnębiający poniedziałek.

Cassie wyszła wcześniej, by zabrać Kenny'ego do przedszkola, ponieważ Pierce musiał być w pracy na ósmą, a Angela miała o dziewiątej spotkanie. Hollis zrobił sobie dwie grzanki i ugotował dwa jajka na miękko, po czym zdał sobie sprawę, że właściwie nie ma apetytu, i zostawił większość śniadania nietkniętą. Planował pojechać tego ranka do biura, ale nie czuł się na siłach. I tak miał tu dużo roboty. Musiał zadzwonić do dwóch znanych mu wykonawców i poprosić ich o wycenę odnowienia salonu. Jakikolwiek będą koszty, trzeba będzie pokryć je z oszczędności - domaganie się odszkodowania nie ma sensu, bo firma ubezpieczeniowa nie honoruje roszczeń nie popartych raportem policyjnym. Musiał też skontaktować się z firmą montującą w domach alarmy antywłamaniowe. Do tej pory był przeciwny zakładaniu takich alarmów. Uważał to za objaw lęku i paranoi właścicieli domów, teraz jednak żałował, że był w tej kwestii, jak w wielu innych, taki uparty. Gdyby mieli taki alarm i gdyby był wczoraj włączony, nie doszłoby do włamania. Zamontowanie go teraz da przynajmniej pewność, że coś takiego już się nie powtórzy.

Najpierw zadzwonił do Glorii, żeby powiedzieć jej, że jednak nie będzie w biurze, ale jeśli okazałby się potrzebny, będzie można złapać go pod domowym telefonem.

- Jak ci się podobałateczka, którą chcemy przedłożyć w sprawie projektu? - spytała.

- Jakateczka?

- Dry Creek Valley. Pracowaliśmy całą sobotę, żeby zdążyć z nią na czas. Gabe nic ci nie mówił?

- Nie.

- Ach, *todo esta jodido*\*. Powiedział, że do ciebie zadzwoni. Dlatego wczoraj tylko podrzuciłam ci kopertę. Myślałam, że będziesz się jej spodziewał.

- Gdzie ją zostawiłaś?

- W twojej skrzynce. Wczoraj rano, jak wracałam do domu z kościoła. Dzwoniłam do drzwi, ale nikogo nie było... Ciekawe, dlaczego Gabe do ciebie nie zadzwonił?

---

\* *Todo esta jodido* (hiszp.) - Wszystko spieprzone.

- Znajdzie jakąś wymówkę, jak zawsze.

- Koperta musi ciągle być w skrzynce...

- Od razu przejrzę tę teczkę.

- Spodoba ci się - powiedziała. - Jeśli nie dostaniemy tego zlecenia, popłynę nago aż do Black Point.

- Chciałbym to zobaczyć. Jak pojawi się Gabe, powiedz mu, żeby do mnie zadzwonił.

Poszedł po kopertę, zaniósł ją do swojego gabinetu i rozłożył zawartość na biurku. Mannix i Gloria świetnie się spisali. Kosztorys został ograniczony do absolutnego minimum, schemat planu zabudowy przestrzennej terenu - w końcowej wersji dzieło w równej mierze Gabe'a, co Hollisa - był dokładny i w zgodzie z wymogami ochrony środowiska.

„Gabe - pomyślał - potrafisz być naprawdę świetnym architektem, jeśli tylko przyłożysz się do pracy. Gdybyś tylko potrafił dłużej pozostać skupiony, odstawił alkohol i przestał uganiać się za kobietami. Gdybyś tylko miał trochę więcej ambicji. Chciałbym wiedzieć dokładnie, co skłania cię do pracy...”

„*Od razu mogę kogoś wymienić. Nie spodoba ci się to, ale on ma tak samo dobry motyw, jak Ryan*”.

„Na litość boską - pomyślał. - Tylko nie zaczynaj teraz podejrzewać Mannixa. Cassie nie mówiła serio. Gabe, też mi... Gabe?”

Za kwadrans ósma, chwilę po tym, jak skończył umawiać się z lokalnym przedstawicielem Camden Home Security Systems, firmy sprzedającej systemy alarmowe, zadzwonił telefon. To był Mannix, z głosu smętny i jakby na kacu.

- Spieprzyłem sprawę - powiedział. - Miałem wczoraj tyle rzeczy na głowie... Po prostu zapomniałem zadzwonić.

- Kobieta, mam rację?

- Śliczna, mała sztuka z Paloma Valley. Jedyne jej wada to to, że o wiele za dużo pije.

- A ty nie?

- Słaby i łatwo wodzony na pokuszenie, taki właśnie jestem.

- I tam wczoraj byłeś, w Paloma Valley?

- Nie, u mnie.

- Przez cały dzień?

- Dopiero po południu wyszliśmy z łóżka. A co?

- Nic. Teczka wygląda świetnie. Wszystko zrobiłeś dokładnie tak, jak trzeba.

- *My* zrobiliśmy wszystko tak, jak trzeba, cała nasza trójka. Czyli zostawiamy tak, jak

jest? Czy chcesz wprowadzić jakieś zmiany?

- Zostawiamy. Przyniosę ją dziś po południu.
- Mogę wpaść po nią po drodze.
- Nie jestem inwalidą, Gabe.
- A powiedziałem, że jesteś? Pleciesz tak, jak ja się czuję.
- Jestem teraz trochę podenerwowany.
- Masz powód?
- Nasz dom wymaga trochę pracy.
- Jakiej pracy?
- Napraw. Trzeba na nowo umeblować i udekorować salon.
- To chyba dosyć nagła decyzja?
- Nawet bardzo - odparł. - Ale nie mamy innego wyjścia.
- To znaczy?
- Nieważne. Opowiem ci o wszystkim później.

Odkładając słuchawkę, było mu wstyd. W głosie Mannixa nie czuł nic poza grzeczną ciekawością - oczywiście, że tak. Więc dlaczego nie mógł się pozbyć tych malutkich, dokuczliwych podejrzeń? Przecież to niedorzeczne wyobrażać sobie, jak Gabe wkłada się do domu, tnie nożem obicia mebli, a w ręku trzyma farbę w sprayu, jak jakiś naćpany nastoletni graficiarz. Zdradą w stosunku do niego było poważnie zastanawiać się nad tym nawet przez chwilę.

*„Wiesz, co ja bym zrobił, gdybym był na twoim miejscu. Kupiłbym pistolet i zrobiłbym z niego użytek”.*

*„Takie tam, gadanie. Udawana brawura”.*

*„A założmy, że zrobiłbym to dla ciebie...”*

*„Niemożliwe”.*

*„Nie miałbym żadnych skrupułów, moralnych czy innych. To tak, jakby zastrzelić wściekłego psa”.*

*„Rakubian nie został przecież zastrzelony, prawda? Tylko pobity na śmierć”.*

*„Zrobiłbym to. Mówię naprawdę szczerze, nie wciskam kitu”.*

*„Owszem, wciskasz. Mannix rozwalający komuś czaszkę posążkiem? Kolejne niedorzeczne wyobrażenie”.*

*„Faceci w stylu Rakubiana nie zasługują na to, żeby żyć. Wyświadczyć światu przysługę, wyeliminuj go z puli genetycznej”.*

*„Daj spokój, Hollis!”*

Ale teraz zaczął przypominać sobie zeszły tydzień, lunch w tajskiej restauracji. Wtedy uznał uwagę Mannixa o tym, że postąpił dobrze, za znak, że Gabe posądza go o zabicie Rakubiana. Mogła jednak znaczyć co innego. Mogła być aluzją do zatuszowania zbrodni, zabrania i pozbycia się ciała. Mannix zgadł, że to była jego robota i w ten zawołowany sposób mu dziękował.

Nie, to nie miało żadnego sensu. Po co w jednej chwili mu dziękować, a w drugiej prześladować? Listy, włamanie... Jaki mógłby mieć Mannix powód, by gnębić Angełę, Cassie i Hollisa po tym, jak popełnił morderstwo, by ich chronić?

Szalone myśli, szalone podejrzenia. To nie Gabe, to absolutnie nie może być Gabe, to Pierce.

Pierce, Pierce, Pierce!

### ***Poniedziałek po południu***

To nie był Pierce. O piątej Hollis miał to udowodnione ponad wszelką uzasadnioną wątpliwość.

W ciągu dnia był zajęty. Dobrze, bo pozwalało mu to zbyt dużo nie myśleć. Odwiózł teczkę do biura, spotkał się z pracownikiem Camden Home Security i z dwoma wykonawcami (tłumacząc każdemu pokrótce, że szkody są wynikiem włamania, ale nie zagłębiając się w szczegóły). Już prawie kończył spotkanie z Tomem Finchleyem, wykonawcą, którego prawdopodobnie zatrudni, gdy o czwartej dziesięć zadzwoniła Cassie.

- Jack, chciałabym, żebyś po mnie przyjechał.

Jakaś ostrość w jej głosie podpowiedziała mu, że coś jest nie tak.

- Dlaczego? Coś się stało z furgonetką?

- Porozmawiamy, jak już tu będziesz. Jestem w klinice.

- Już jadę.

Klinika dla Zwierząt znajdowała się w wąskiej części Los Alegres, na wschód od rzeki, nazywanej przez długoletnich mieszkańców „strefą zdemilitaryzowaną” - była to dzielnica starszych domów niższej klasy średniej, małych przedsiębiorstw i przemysłu lekkiego, leżąca pomiędzy dawno już zabudowaną zachodnią częścią miasta a nowszymi osiedlami i centrami handlowymi na wschodzie. Klinika mieściła się w starym budynku z cegły i drewna, dawnych biurach i magazynie firmy zajmującej się handlem systemami nawadniania. Przed budynkiem wydzielono parking dla klientów, a od tyłu, schowany za budami dla psów, znajdował się mały parking pracowniczy.

Kiedy Hollis dotarł na miejsce, znalazł Cassie na parkingu dla pracowników, rozmawiającą z brodatym kierowcą wozu pomocy drogowej, stojącym za furgonetką. Wszystkie cztery opony furgonetki były sflaczałe, samochód zdawał się stać bezpośrednio na ziemi. Na parkingu nie było już miejsca na lexusa. Zostawił go więc kawałek dalej i wrócił pieszo, kuląc się przed zimnym wiatrem.

- Tak, to cukier, pani Hollis - mówił kierowca. - Wymiana kół tutaj też nie ma sensu. Wszystko, co mogę zrobić, to zabrać go do serwisu.

- No cóż, proszę to zrobić.

Podeszła do miejsca, w którym czekał Hollis.

- Kolejny akt wandalizmu - odezwał się cicho.

- Cukier w baku. - Pusta torebka leżała obok, na samym środku. Jedna opona przebita czymś ostrym, z pozostałych spuszczone powietrze i zabrane wentyle.

- A w środku?

- Na szczęście zawsze zamykam drzwiczki na klucz. - Jedną rękę miała w kieszeni kurtki, wyjęła z niej kartkę papieru. - To było włożone pod wycieraczkę.

Nie musiał czytać kartki, żeby wiedzieć, co było na niej napisane. Jednak i tak spojrział. CIERP! Drukowanymi literami, tym razem czarnym markerem. Nierówne, odchylone w tył litery, może w celu ukrycia charakteru pisma. Nie wydały mu się w żaden sposób znajome.

- Dwa razy w ciągu dwóch dni - powiedziała Cassie. - To takie dziecinne, jakby...

- Jakby co?

- Nie wiem - odparła, potrząsając głową. - Wiem tylko, że teraz się boję. Co będzie następne? I kiedy?

Hollis nie odpowiedział. Przyglądał się, jak brodaty kierowca uruchamia mechanizm wciągający furgonetkę na platformę swojego wozu.

- Nikt nic nie widział. Po tym, jak do ciebie zadzwoniłam, pytałam w okolicy. Ktokolwiek to jest, jest ostrożny i chytry. I ma dużo szczęścia.

- Hm, ktokolwiek to jest...

- Nie Ryan, jeśli o to ci chodzi.

- Dokładnie o to mi chodzi.

- To nie Ryan. Kiedy zabierałam rano Kenny'ego do przedszkola, zapytałam go o tę sobotę w maju, o lunch z mamą i tatą. Myśleliśmy, że byli tylko we trójkę, ale nie, była tam też Rhona.

- No to co?

- Potem Ryan wrócił z nią do domu.

- Kenny ci to powiedział? Cass, on ma sześć lat. Nie możesz ufać pamięci sześciolatka.

- Daj mi skończyć. Po odwiezieniu Kenny'ego zadzwoniłam do Rhony. Resztę tamtego dnia Ryan spędził z nią i jej rodziną. Zjadł z nimi obiad i wyszedł dopiero po ósmej.

- A ty jej uwierzyłaś. Skąd wiesz, że nie kłamała?

- Czy jej mąż by kłamał, jej dzieci? Oni też tam byli. Po co Ryan prosiłby ich, żeby dla niego kłamali? Nic nie łączy go ze śmiercią Rakubiana, nie miał powodu przygotowywać sobie alibi.

Nie mógł zaprzeczyć logice tego rozumowania i nie próbował. Ale pozostał nie przekonany, dopóki nie wrócili do domu i nie rozmawiał przez telefon z Fredem Gugliottą. Pierce cały dzień spędził na rancho, pracując z Fredem i dwoma innymi przy układaniu siana w bele. Między ósmą rano a czwartą trzydzieści Fred nie tracił go z oczu na więcej niż kilka minut.

## 20

### *Wtorek rano*

Po wyjściu Cassie - pojechała do Kliniki dla Zwierząt z koleżanką z pracy - nawet przy zamkniętych drzwiach do salonu w domu panowała atmosfera przygnębienia. Kiedy wczoraj Hollis był tu sam, nie odczuwał tego tak silnie. Miał dużo do pozałatwiania. Dziś nie było czym wypełnić sobie czasu aż do wizyty u Stana Otaki o pierwszej. Camden Home Security i Tom Finchley mogli zacząć pracę dopiero pod koniec tygodnia, a takie bezczynne siedzenie, czekanie na pocztę, czekanie, aż cokolwiek się stanie, sprawiało, że czuł się bliski obłądu. Potrzebował coś robić. Potrzebował kontaktu z ludźmi i iluzji normalności.

Wpuścił Fritza z tylnego ganku i pozwolił mu swobodnie biegać po domu. Pies był dobrze wytresowany, nie powinien więc sprawiać kłopotów, chyba że ktoś znów spróbuje się włamać. Hollis zdał sobie sprawę, że ma nadzieję, że tak właśnie się stanie. Wtedy po powrocie znalazłby w hallu Fritza warczącego nad zakrwawionym, pogryzionym i na wpół martwym włamywaczem. Wizja ta wywołała na jego twarzy złośliwy uśmiech. Gdyby tak się faktycznie stało, do końca swojego życia kupowałby dobermanowi codziennie po steku.

O dziewiątej trzydzieści pojechał do biura. Ranek upłynął spokojnie, poza telefonem od Pete'a Dulaca, który zakomunikował mu, że w domu Chestertonów jest jakiś niewielki



problem z główną sypialnią. Teraz, kiedykolwiek Hollis miał kontakt z Dulakiem albo Shelbym Chestertonem, odczuwał wyrzuty sumienia i wstyd, które pogorszyły się jeszcze od czasu, gdy dowiedział się o niewinności Erica. Rozmawiał tylko tyle, ile zajęło znalezienie odpowiedniego rozwiązania i usłyszenie, że firma PAD Construction nadal nie ma opóźnień i planuje zakończyć budowę pod koniec września.

Chwilę po jedenastej przyjechał Mannix, jak zwykle spóźniony, znów w jednym z tych swoich niekomunikatywnych nastrojów. Wraz z pojawieniem się Gabe'a rozviała się iluzja normalności, a Hollis stał się spięty i nie mógł się skoncentrować.

Gabe ubrany był w czarny sweter i spodnie. Gdy siedział nachylony nad deską kreślarską, sprawiał wrażenie niemal niebezpieczne, jak jakiś wielki drapieżny ptak. Głupie skojarzenie, ale gdy już raz przyszło Hollisowi do głowy, nie umiał się go pozbyć. Wciąż zerkał w jego stronę, obserwował, jak Mannix sprawdza coś w wytycznych projektu i normach, jak nagłymi, przerywanymi ruchami posługuje się przekładnicą i ołówkiem. Duże, silne dłonie. „To nie Gabe, to nie Gabe...” Niczym tekst jakiejś piosenki, powtarzający się rytmicznie, aż traci cały sens i znaczenie. Hollis wciąż, wbrew sobie, odwracał się i obserwował, jakby jego oczy stały się od niego niezależne i nie miał nad nimi kontroli.

Po jakimś czasie Mannix wyczuł jego zainteresowanie i odwrócił się. - Co jest? - zapytał.

- Nic. Przepraszam.

- Mam rozpięty rozporek? Smark zwisa mi z nosa?

- Ależ to obrzydliwe - powiedziała przysłuchująca się rozmowie Gloria, po czym roześmiała się z uznaniem.

- Jestem dziś zdenerwowany, to wszystko - usprawiedliwił się Hollis.

- Ja też, a ty tylko pogarszasz sytuację.

- Znowu kac?

- Gigantyczny. Kolekcjonuję je jak kapsle, nie wiedziałeś?

- Przepraszam - powiedział znowu.

- Nie przepraszaj, tylko pozwól mi cierpieć w spokoju.

Cierpieć. CIERP!

Hollis wycofał się do boksu. Zaczynała boleć go głowa. Podniósł żaluzje i wyjrzał przez okno. Znajdujący się w dole rzeki most zwodzony był właśnie rozdzielony na dwie, zwrócone ku górze połówki. Żagłówka z wysokim masztem i zwiniętymi żaglami płynęła w kierunku portu, jej kadłub i nadbudówka były kremowe na tle na nowo zachmurzonego, niespokojnego nieba, po którym ostre wiatry pchały chmury w głąb łądu. Kolory tam w górze

były głównie różnymi odcieniami szarości ze smugami czerni, wgryzającymi się jadownicę.

„Jak trucizna” - pomyślał.

Diabelska pogoda powodowała również i to powolne, zdradliwe, psychologiczne zatrucie, które zmieniało sposób widzenia rzeczywistości, podżerało do niej dystans, przyprawiało o mdłości i sprawiało, że człowiek niszczał od środka. Patrzył na ludzi inaczej, niczym przez ciemny filtr. Każdy zdawał się być potencjalnym wrogiem, a w najlepszym wypadku jakimś utrudnieniem czy powodem do irytacji - bliscy znajomi, nawet członkowie rodziny. Tak działo się właśnie z Hollisem. Nie mógł przebywać w tym samym pomieszczeniu co jego partner i najlepszy przyjaciel, nie zastanawiając się, czy może jednak, przypadkiem, pomimo wszelkich świadczących przeciwko temu argumentów, Gabe nie był jego prześladowcą. Kogo następnego zacznie podejrzewać? Glorię, która nie potrafiłaby skrzywdzić nawet muchy? Pete'a Dulaca? Shelby'ego Chestertona? Po raz kolejny Erica? Cassie, na litość boską?

To trucizna, tak silna jak mieszanka wybuchowa. Było na nią tylko jedno pewne antidotum - poznać mordercę Rakubiana.

Wczoraj wieczorem Cassie powiedziała: - Szkoda, że nie mamy już tej teczki o Rakubianie. Może coś byśmy w niej znaleźli, jakieś imię z przeszłości, jakąś poszlakę. Ta osoba nie musi być kimś, kogo znamy, prawda? - Ale Hollis nie potrzebował mieć przed sobą teczki, żeby wiedzieć, co w niej było. Znał ją na pamięć i nie było tam niczego, co mogłoby na kogoś ich nakierować. Ani z przeszłości, ani z czasów obecnych. A poza tym jaki motyw mógłby mieć nieznajomy, jeden z długiej listy wrogów Rakubiana, żeby napastować właśnie *ich*?

- A może to są dwie osoby - powiedziała jeszcze. - Zabił go nieznajomy, a nas prześladowuje ktoś, kogo znamy.

W to zupełnie nie mógł uwierzyć. Zbyt wiele zbiegów okoliczności, zbyt mało powodów. Zresztą Cassie też tak naprawdę w to nie wierzyła. Musiała to być jedna osoba, niezależnie od tego, jaki miała motyw. I musiał to być ktoś im znany, może nie - jak myślał na początku Hollis - jakiś przyjaciel rodziny, jednak na tyle znajomy, że mógł wykształcić w sobie i wypielegnować irracjonalną nienawiść do nich.

Nie Gabe. Na pewno nie Gabe.

Ale zatrute ziarno z wątpienia ciągle prześladowało Hollisa.

„Cholera - pomyślał. - *Potrafię się tego pozbyć, nie potrzebuję antidotum. Po prostu wziąć głęboki oddech i wywalić kawę na ławę.*”

Wrócił do głównej części biura. Mannix rozmawiał przez telefon. Hollis poczekał, aż

skończy. - Chodźmy się przejść - powiedział.

- Przejść? Po co?

- Muszę z tobą porozmawiać.

- To rozmawiaj. Na zewnątrz jest zimno, a ja za piętnaście minut jestem umówiony na lunch...

- To nie potrwa długo. I jest ważne.

Zdjął z wieszaka swoją kurtkę i wyszedł, wkładając ją. Mannix, marszcząc brwi, chwilę później poszedł za jego przykładem. Przeszli przez wąski trawnik, który oddzielał ich budynek od restauracji River House, minęli restauracyjne patio i, idąc dalej wzdłuż wału, doszli aż do portu. Wiatr był na tyle ostry, że szli skuleni.

- Zamarzniemy tu na śmierć - narzekał Mannix. - Co niby jest takie ważne?

- David Rakubian.

- Co z nim?

- Jak myślisz, co się z nim stało?

- Wiemy, co się stało. Zniknął.

- Jak? Dlaczego?

- O co ci, do cholery, chodzi, Bernardzie?

- Nie żyje? Jak myślisz?

- Jasne, że nie żyje. Gdyby żył, dawno już by się tu pokazał i zaczął zatruwać wszystkim życie.

- A myślisz, że jak umarł?

- Ktoś go zabił. I dla mnie ten ktoś jest bohaterem.

- Kto?

- Posłuchaj - zaczął Gabe, ale urwał. Zaraz potem powiedział: - Na litość boską, darujmy sobie to lawirowanie. Co chcesz ode mnie wyciągnąć? Że myślę, że ty załatwiłeś tego sukinsyna?

- A tak myślisz?

- Daj spokój. To bez różnicy, kto go zabił. Ważne, że nie żyje.

- Dla mnie jest różnica.

- Dobra, w porządku. Myślę, że ty to zrobiłeś. Myślę też, że zasługujesz za to na medal. Zadowolony?

- Nie zabiłem go - powiedział Hollis. - Planowałem, nawet przekonałem sam siebie, że mam odwagę to zrobić. I to dwa razy. Ale ktoś mnie uprzedził.

- Serio?

- Ty, Gabe?

- ...Co?

- Czy to byłeś ty?

Mannix zatrzymał się, odwrócił i zaczął się wpatrywać w Hollisa. Po chwili odrzucił głowę i wybuchnął śmiechem tak donośnym, że ludzie na żaglówce, która właśnie przycumowała do jednego z pomostów, odwrócili głowy w jego stronę. Gabe wciąż się głośno śmiał. Na jego szorstkiej twarzy oczy były zwięzione i zaczerwienione od wiatru.

- Z czego tak się śmiejesz?

- Z ciebie. Ze mnie. Jesteśmy dwoma głupkami.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

- Jasne, że odpowiedziałem, tylko ty nie słuchałeś. To jest właśnie takie śmieszne, Bernardzie. Ja myślałem, że ty wykończyłeś Rakubiana, a ty, że ja, i obaj nic nie mówiliśmy o swych podejrzeniach. I obaj śmiertelnie się myliliśmy.

- Czyżby?

- Śmiertelnie - Mannix znów się zaśmiał. - Chcesz, żebym ci przysiągł na Biblię, że jestem niewinny?

Hollis głęboko odetchnął, wypuszczone z płuc powietrze zaświstało niczym wiatr. Nic nie mówił.

- Przez moment - podjął Gabe - na jakiś tydzień przed jego zniknięciem, brałem to pod uwagę. Zupełnie poważnie. Nie myślałem wtedy, że ty mógłbyś być do tego zdolny, i nie mogłem znieść myśli, że ten skurwiel rani Angelę. Pewnie wiesz, co do niej czuję.

- Mniej więcej.

- To pewnie żenująco oczywiste? Córka mojego przyjaciela, a do tego o połowę ode mnie młodsza. Ale nigdy nie próbowałem niczego w tym kierunku robić i nigdy nie spróbuję. W to wierzysz?

- Wierzę.

- Dobrze. Bo to prawda. No więc miałem opracowany taki mały scenariusz. Ale jak przyszło co do czego, nie potrafiłem tego zrobić. Udawałem przed tobą, że potrafię, udawałem przed samym sobą, ale nie mam jaj, żeby zrobić coś takiego. W obronie własnej pewnie potrafiłbym zabić kogoś takiego jak Rakubian, jeśli dodałbym sobie odwagi alkoholem. Ale z zimną krwią, stojąc z nim oko w oko? Nie ma mowy.

- Nie ma mowy - powtórzył jak echo Hollis.

- Z tobą było tak samo?

- Właściwie tak. Tyle że w planowaniu poszedłem dalej, miałem ustalone czas i

miejsce, czekałem na niego z naładowaną bronią. Ale nawet gdyby się pojawił, wątpię, czy potrafiłbym to zrobić. Wystarczyło mi odwagi do tego momentu i więcej już nie miałem. Nawet, żeby ocalić życie córki.

- Jesteśmy parą głupków i do tego tchórzy.

- Nie, po prostu dwoma zwykłymi facetami, którzy nie potrafią przekroczyć pewnej granicy.

- Może masz rację - przyznał Mannix. - Więc kto potrafił ją przekroczyć? Masz jakieś podejrzenia?

- Już nie.

- Pomyliliśmy się co do siebie nawzajem. Może mylimy się też co do tego, że on nie żyje?

- On nie żyje.

- Brzmi to dość definitywnie.

- Bo tak jest. Znalazłem go, w jego domu, dwa dni przed wyjazdem Angeli. Miał rozwaloną czaszkę. Myślałem wtedy, że zrobił to Eric, więc pozbyłem się dowodów, a ciało zabrałem i zakopałem.

- Jezu - rzucił Gabe cicho.

- Nie powiem ci, gdzie. To pozostanie między mną a moim sumieniem.

- Nie chcę wiedzieć. Więc to nie był Eric, jesteś tego pewien?

- Absolutnie. Ale to nie wszystko, to jeszcze nie koniec. Ktoś wie o tym, co zrobiłem. Jest prawie tak źle, jak za życia Rakubiana...

I opowiedział partnerowi i przyjacielowi szczegóły. Zbierając odwagę i wypluwając resztkę trującego ziarna. Jedno długie spojrzenie w oczy Mannixa wystarczyło, by zniknął nawet gorzki posmak z ust.

### ***Wtorek po południu***

Jest jeszcze zbyt wcześnie, żeby stwierdzić, czy antyandrogeny zmniejszają guz. Jest jednak nadzieja - orzekł Stan Otaki.

- Ale? - spytał Hollis.

- W leczeniu prostaty zawsze jest jakieś „ale”. Jak już kiedyś mówiłem, nie ma dwóch identycznych przypadków - pod niektórymi względami choroba jest przewidywalna, pod innymi nie. W razie gdyby terapia hormonalna nie pomogła, chyba powinniśmy zacząć rozważać pozostałe możliwości.

- Operacja i co jeszcze? Jest coś innego?
- Badania kliniczne, wypróbujące nowe metody radioterapii. Inne eksperymenty.
- Jak na przykład?
- Jak na przykład hormonalna ablacja. Chemiczna kastracja.

Świetnie. Kastracja chemiczna, to znaczy leczenie przez kompletne zablokowanie produkcji hormonów, w celu pozbawienia guza testosteronu, który jest mu potrzebny do rozrostu. Odwracalne w skutkach, jeśli pacjent zaprzestanie terapii, ale wtedy rak prawdopodobnie znów zacznie rosnać... O ile w ogóle podczas terapii guz przestanie się powiększać. Paragraf 22. W najlepszym razie można się spodziewać wiecznie bezwładnego członka. Oczywiście w połączeniu ze zwykłym, jakże zachęcającym, wachlarzem potencjalnych efektów ubocznych, jak słabe kości, utrata masy mięśniowej i zmiany osobowościowe.

- Zwykle - mówił Otaki - jest to procedura radykalna, stosowana po operacyjnym usunięciu prostaty, kiedy pojawiają się sygnały, że mogą być przerzuty. Daje to pacjentowi pięć razy większą szansę na przeżycie.

- A bez operacji?
- Tego nie potrafię ci powiedzieć.
- Aha. Polecałbyś to rozwiązanie?
- Nie przed operacją.

- A jakie mam szanse w przypadku operacji? Chodzi o przeżycie, ale też o funkcjonowanie seksualne.

- Na tym etapie, zakładając brak komplikacji, przeżywalność jest bardzo duża. Problemy z potencją mogą wystąpić niezależnie od drogi, jaką wybierzemy.

- Kiedy będziemy wiedzieli, czy terapia hormonalna działa?
- Najdalej za kilka tygodni.
- A jeśli nie będzie skuteczna, od razu powinienem iść pod nóż?

Otaki uniósł brew. - Czy to znaczy, że zaczynasz zmieniać zdanie?

Tak było? Może. Dziwne, ale perspektywa oddania ciała chirurgowi pod skalpel nie wydawała mu się aż tak przerażająca jak zawsze. Jeśli istniała szansa, nawet niewielka, że dzięki operacji przeżyje i będzie zdrowy, to czy nie był winien tego nie tylko sobie, ale i Cassie? Uparty, egoistyczny, wściekły, zamknięty w sobie... Było tak, albo nawet gorzej. Przykuty łańcuchem do swojego ojca przez te wszystkie lata. I do matki także, przez to, jak umarła. Nie musiało jednak i teraz tak być. Cassie sprawiła, że jego umysł stał się bardziej otwarty na to, co pozytywne. Więc dlaczego nie pozwolić, żeby pieprzony skalpel zrobił to

samo z jego ciałem?

- Powiedzmy, że podejść do tego w sposób bardziej otwarty - odparł. - Wtedy, kiedy przyjdzie na to czas, jeśli przyjdzie...

### *Wtorek wieczorem*

Myślę, że patrzymy na tego prześladowcę ze złej strony - powiedziała Cassie.

- Nie rozumiem.

- Męczyło mnie to cały dzień. Wciąż zakładamy, że to musi być mężczyzna. Eric, Ryan, Gabe... Sami faceci. Ale im więcej o tym myślę, tym bardziej mi się wydaje, że to jednak kobieta.

- Kobieta roztrzaskała Rakubianowi czaszkę?

- Dlaczego nie? Kobiety, w odpowiednich - albo nieodpowiednich - okolicznościach też potrafią używać przemocy. Wiesz przecież. I narzędzie zbrodni... Statuetka, ciężka, ale jednak nie zanadto... To przedmiot, jaki mogłaby złapać kobieta w obronie własnej albo w furii.

Milczał, rozważając tę nową możliwość.

- A do tego to wszystko, co się nam do tej pory przydarzyło - ciągnęła Cassie. - Napisane groźby, listy z pogroźkami... To bardziej kobiece metody. Także i sam sposób wyrażania się w listach - „Co zrobiłeś z jego ciałem?” „Będziesz cierpieć za to, co zrobiłeś”. Czy mężczyzna nie napisałby raczej „Gdzie ukryłeś ciało?”, „Zapłacisz za to, co zrobiłeś” albo „Dopadnę cię za to, co zrobiłeś”?

- Może - powiedział powoli. - Może.

- I to włamanie. Wszystko, co można było w salonie zepsuć i połamać, zniszczone. Kanapy i fotele pocięte na drobne paseczki, cała ta farba... Wyglądało to trochę tak, jakby ktoś dostał napadu wściekłości. Nie, żeby mężczyźni nie mieli napadów wściekłości, bynajmniej, ale to, jak ten pokój wyglądał... Jakoś nie sprawiało to wrażenia dzieła mężczyzny. Tak samo jak wsypywanie cukru do baku furgonetki. To pierwsza rzecz, jaką bym zrobiła, gdybym chciała popsuć komuś samochód. Jedna opona przebita, z trzech spuszczone powietrze... To też.

Wiedział, co ma na myśli. Powiedział:

- Wepchnięcie czegoś ostrego w grubą oponę na tyle głęboko, żeby uciekło z niej powietrze, wymaga siły. Raz można spróbować, zorientować się, że to zbyt ciężka robota, i zabrać się za odkręcanie wentyli.

- Właśnie. Oczywiście nic z tego nie możemy niezbitcie udowodnić, ale wszystko razem... Wydaje mi się, że mam rację, Jack.

- Więc kto to jest? Nie przychodzi mi do głowy żadna znajoma, która by nas nienawidziła.

- Ktoś, z kim spotykał się Rakubian po tym, jak zostawiła go Angela, a może i zanim go zostawiła.

Potrząsnął głową. - Niemożliwe, nie przy tym, jaką miał na jej punkcie obsesję.

- Więc jakaś kobieta z przeszłości. Mówił przecież Angeli, że zanim ją spotkał, był w jakimś poważnym związku?

- Tak, mówił. Nie powiedział kiedy ani kim była ta kobieta. Uważał swoje życie prywatne za o wiele zbyt prywatne.

- Policja mogła się o tym dowiedzieć.

- Mogę zapytać Macatee'ego. Ale to się wciąż nie zgadza, Cass. Dlaczego jakaś kobieta, ktokolwiek z przeszłości Rakubiana, miałaby prześladować akurat nas? Angelę, owszem, to byłoby zrozumiałe - z powodu jakiejś obłąkańczej zazdrości - ale po co wybrałaby sobie za cele ciebie i mnie?

- Nie mam pojęcia. Gdybyśmy chociaż wiedzieli, kim jest...

- Zadzwoń do Macatee'ego jutro z samego rana. Ale jeśli nie będzie nam w stanie pomóc...

- Wtedy wymyślimy coś innego.

## 21

### *Środa rano*

Macatee nie potrafił im pomóc.

- Rozmawiałem co najmniej z dwudziestoma czterema osobami, które znały Davida Rakubiana - powiedział. - Opowiadały mi praktycznie o wszystkim, co chciałem wiedzieć na temat jego kancelarii, wykształcenia, etyki zawodowej czy jej braku. Ale żadna z tych osób, włącznie z pracownikami kancelarii, nie posiadała jakiegokolwiek głębszej wiedzy o jego życiu prywatnym. Strzegł go niczym najgłębszej tajemnicy. Tak naprawdę cała wiedza, jaką o nim posiadamy, pochodzi od pana córki, a ona nie potrafiła powiedzieć mi nic o tym, z kim się spotykał, zanim ją poznał.

- W jego domu nic nie było? Żadnych starych listów, fotografii...?



- Absolutnie nic - odparł Macatee, jakby trochę zniecierpliwiony. - Moja rada jest taka sama, jak poprzednio. Proszę przestać martwić się Davidem Rakubianem. Proszę przestać martwić się o to, co się z nim stało i kto mógł mieć coś wspólnego z jego zniknięciem. Niech pan po prostu będzie wdzięczny za to, że zostawił pana w spokoju.

Po odłożeniu słuchawki Hollis zaczął trzeć oczy wierzchem dłoni. Czuł się dziś zmęczony i otępiały. Zbyt dużo stresu, zbyt mało snu... Był w kiepskim stanie. Wstał, powolnym, ociężałym krokiem wyszedł z gabinetu i skierował się do kuchni, by porozmawiać z Cassie, która poszła tam, żeby przy drugim telefonie posłuchać rozmowy z Macatee'em.

Teraz szperała zapamiętałe w szufladach stojącego w rogu biurka, gdzie gromadzili różne rzeczy, które nie miały stałego miejsca.

- Wiem, że gdzieś je tu włożyłam - powiedziała, gdy usłyszała, jak mąż wchodzi do pokoju.

- Czego szukasz?

Brak odpowiedzi. Nagle: - Są! - Wyprostowała się i odwróciła, trzymając znalezisko w ręku.

- Klucze?

- Angeli, do domu i systemu alarmowego Rakubiana. Wtedy wieczorem, kiedy go zostawiła i przyszła tutaj, przysięgła, że nigdy tam nie wróci i rzuciła je na podłogę. Pamiętasz? Włożyłam je do szuflady biurka i zupełnie o nich zapomniałam, aż do teraz.

- Co zamierzasz?

- Chociaż zrezygnowała ze wspólnoty majątkowej, Angela ma jednak prawo odebrać rzeczy osobiste. A my, jako jej rodzice, mamy prawo pójść tam w jej imieniu.

- Chyba żartujesz?

- Oczywiście, że nie.

- Słyszałaś przecież, co powiedział Macatee. Przeszukał dom, pewnie niejednokrotnie, i nic nie znalazł.

- Możliwe, że coś przeoczył. Dlaczego nie mielibyśmy tam pojechać i sprawdzić?

Miała rację. Nieszczególnie przypadła mu do gustu możliwość ponownego kręcenia się po tych ciemnych i przygnębiających pokojach, ale perspektywa biernego oczekiwania była jeszcze mniej pociągająca.

- Warto spróbować - powiedział.

- Możemy jechać od razu. Zadzwoń do kliniki i powiem, że dziś mnie nie będzie.

- Jeśli mają mieć przez to za mało ludzi, mogę jechać sam.

- Nie, podróż do San Francisco i z powrotem jest długa.

- Czuję się już wystarczająco silny.
- Nie próbuj znowu być Supermanem, dobrze? To nic złego, jeśli czasem ci pomogę.
- Wiem.
- Poza tym chcę jechać. A dwie osoby dokładniej przeszukają dom niż jedna.
- Dzwon do kliniki - powiedział. - Ja przyniosę kurtki.

To był jeden z tych zwariowanych pogodowo dni, pochmurnie w North Bay, ale raczej słonecznie w San Francisco. Kiedy jechali przez park w stronę Nineteenth Avenue, Hollis raz było słońce. Aby ochronić oczy, założył ciemne okulary. Gdy Cassie skręciła furgonetką - odebrała ją z serwisu wczoraj wieczorem - na Sloat Boulevard i znaleźli się w St. Francis Wood, poczuł zdenerwowanie. „Przestępca powraca na miejsce zbrodni” - pomyślał i zdał sobie sprawę, że myśl tę wypowiedział na głos.

- Przestań, Jack.
- To nie będzie dla mnie przyjemne.
- A myślisz, że dla mnie będzie?

W St. Francis Wood panował cichy letni ranek - w parku właściciele spacerowali z psami, listonosz dostarczał pocztę, kobieta w kapeluszu na głowie pracowała w ogródku przecznicę od domu Rakubiana. Cassie zaparkowała pod samym domem w stylu hiszpańskim. Nie było powodu się ukrywać. Budynek, częściowo skąpany w słońcu, wydał się Hollisowi delikatnie zmieniony, mniej przytłaczający i ponury. Po prostu jeszcze jeden drogi dom w jednej z najlepszych dzielnic miasta. Jednak gdy wysiadali z samochodu i wchodzili na ganek, wciąż czuł zdenerwowanie.

Alarm był włączony, wyłączył go więc kluczem Angeli. Cassie zaglądała do skrzynki na listy. - Pusta - stwierdziła. - Ale przecież na pewno wciąż coś do niego przychodzi. Ciekawe, gdzie to wszystko jest.

- Policja może to tymczasowo przechowuje.
- Ale pewnie to i tak nic ciekawego.
- Też tak myślę.

Otwierając drzwi, Hollis spodziewał się, że w domu będzie panował ciężki zaduch zamkniętych pomieszczeń, jednak tak nie było. Zimne powietrze, trochę wilgotne, a trochę zatechłe. Cassie też to zauważyła.

- Wygląda na to, że ktoś tu niedawno wietrzył - rzuciła.

Nie odpowiedział. Jego pamięć zaczęła odzywać, podrzucać mu mnóstwo obrazów z tamtej koszarnej soboty. Duchy, dziecinne zwidy. W jego głowie, ale też w zimnej

martwocie domu, w ciemnych kątach... Znalazł włącznik i zapalił światło. Elektryczność wciąż działała, blady, miodowy poblask odpędził część posepnego mroku z korytarza.

- Ależ ulga - rzekła Cassie. - Bałam się, że będziemy musieli robić wszystko przy świetle latarek. Ciekawe, kto płaci rachunki.

- Mógł sam opłacić je na miesiąc czy dwa do przodu. Nawet jeśli tego nie zrobił, nie minęło jeszcze wystarczająco dużo czasu, żeby elektryczność czy woda zostały odcięte.

- Od czego powinniśmy zacząć?

- Chyba od biblioteki.

- Czy to tam...?

- Tam go znalazłem. Tam też trzymał większość papierów.

Poszli w tamtą stronę, stukając obcasami na płytkach podłogi.

Przed łukiem stanowiącym wejście do biblioteki Hollis zawahał się tylko na moment. Cassie szła o krok za nim, więc gdy zatrzymał się nagle, wpatrzony w podłogę przy biurku Rakubiana, wpadła na niego.

- Co się stało?

- Dywan - odpowiedział. - Zniknął.

- Jaki dywan?

Nagle wspomnienia - te płytki, takie gołe po tym, jak wywlókł ciało i zmył z nich krew. Jakoś źle to wyglądało, więc zabrał mniejszy, ale podobny perski dywanik z salonu dla gości, i rozłożył go tutaj. Teraz płytki znów były odsłonięte. Odwrócił się, przebiegł obok Cassie i podążył w stronę salonu.

Mierzący metr na półtora dywanik został odłożony na pierwotne miejsce przed kominkiem. I meble... Wszystkie stały tak samo, jak na początku ustawił je Rakubian, zanim Hollis je poprzestawiał.

- O mój Boże.

- Jack?

Wracając do biblioteki, wytłumaczył jej, co się stało.

- Policja by czegoś takiego nie zrobiła - orzekła Cassie.

- Nie, zresztą skąd mieliby wiedzieć, jak to wyglądało przedtem?

- Czemu ktoś inny miałby...?

Jego wzrok badał zaciemniony pokój. Kilimy rozwieszane na ścianach, czarne malowidła Goi przedstawiające krzyczące dusze, zdawały się w niego wpatrywać. A na kominku...

Czarna statuetka.

Ptak, kruk - kruk Poego.

Z nagle zaschniętym gardłem Hollis podszedł mu się przyjrzeć. Była to replika narzędzia zbrodni i statuetki z biura Rakubiana, była jednak od pozostałych nieco większa i bardziej ozdobna. Miała nawet plaketkę z napisem *Nigdy już!*

- Tak, jakby ktoś próbował wymazać to, co się stało - powiedział do Cassie. - Nie z tego samego powodu, co ja, żeby zatrzeć ślady... Ale odkładając wszystko na swoje miejsce, wywołać wrażenie, jakby morderstwo nigdy się nie zdarzyło.

- Zabójca?

- Nikt inny nie miałby powodu tego robić.

- W takim razie, to musi być kobieta. Ktoś pełen poczucia winy i wyrzutów sumienia... Ktoś, kto go zarazem kochał i nienawidził. Nienawiść sprawiła, że zginął, a miłość kazała jej tu wrócić. Na miejsce *jej* zbrodni...

Przeszukali biurko Rakubiana i resztę biblioteki. Dokumenty, dyskietki, wszystko było dokładnie poukładane i posegregowane. Znów robota tej kobiety - policja nie zostawiłaby domu w tak nieskazitelnym porządku. Było kilka oczywistych braków w postaci przedmiotów, które Macatee uznał za słuszne zabrać i które wciąż były w jego posiadaniu. Żaden z dokumentów nic im nie powiedział. Wszystkie dyskietki były oznaczone, z zanotowanym miesiącem, rokiem i zawartością - rachunki, wydatki służbowe, darowizny na rzecz instytucji dobroczynnych. Jakikolwiek inne, które mogłyby zawierać coś bardziej osobistego, zostały zabrane albo przez Macatee'ego, albo przez tę kobietę. Przeglądanie, tu czy później w domu, tych, które zostały, nie wydawało się mieć sensu.

W salonie też nie było nic godnego uwagi. Łazienka dla gości wyglądała identycznie jak wtedy, gdy Hollis opuszczał ją dwa miesiące temu. Sypialnia dla gości i znajdujący się obok mały salonik były zakurzone, zatęchłe i pozbawione jakichkolwiek interesujących ich poszlak. Przeszli przez hall do głównej sypialni. Drzwi były zamknięte, więc Cassie je otworzyła.

- Och! - Wyrwało jej się.

Kadzidełka. To było pierwsze, co zwróciło uwagę Hollisa - słaby, ale wciąż przenikliwy zapach wypalonych kadzidełek. Po chwili jego oczy przyzwyczyły się do panującego w pokoju półmroku i zobaczył to, co Cassie, mająca lepszy wzrok, ujrzała od razu.

Świece. Mnóstwo świec, grube i chude, krótkie i długie, poustawiane na różnych talerzykach i podstawkach. Na meblach, na dywanie, naokoło łóżka, na każdej płaskiej powierzchni w pokoju.

- Boże - wymamrotała Cassie. - To jakby sanktuarium.

Hollis włączył górne światło. Duże, podwójne łóżko było posłane, ale kapa położona była krzywo i na jednym końcu łóżka była trochę sfałdowana. Drzwi do garderoby, jak i te do łazienki, były zamknięte. Poza świecami nie było w pokoju nic nadzwyczajnego. Dominowały nad przestrzenią, niczym falliczne przedstawienia z czerwonego, białego, zielonego i żółtego wosku. Nawet w stojącej na szafce miseczce, w której palone były kadzidełka, stała wysoka, cienka świeca.

- Ona tu sypia - powiedział.

- Tak, w jego łóżku.

- Tylko jak często?

- Trudno powiedzieć. Nie każdej nocy... Nie wydaje mi się, żeby tu mieszkała, przynajmniej nie na stałe. Zapach kadzidełek nie jest świeży.

- To wariatka. Powinna siedzieć zamknięta w szpitalu.

- Na początku była pewnie nieźrównoważona - odparła Cassie. - A zabicie go ostatecznie pogorszyło jej stan. Cała ta miłość wymieszana z nienawiścią.

Hollis podszedł do drzwi garderoby i szeroko je otworzył. Garnitury, koszule, krawaty, parę ubrań na co dzień - wszystko to należało do Rakubiana i było porządnie poukładane i porozwieszane. I prawdopodobnie nie tknięte od dnia jego śmierci. Mała część szafy, z tyłu, zawierała kobiece ubrania i półki z kobiecymi butami. Cassie podeszła, by je przejrzeć.

- To Angeli - powiedziała. - To jedwabna bluzka, którą daliśmy jej dwa lata temu na Gwiazdkę.

- Wszystkie te ubrania są jej?

- Tak mi się wydaje. Wszystko, co zostawiła.

Przeszukali łazienkę. Zarówno kabina prysznicowa, jak i okrągła wanna były suche. Jedyнным przedmiotem, który wyglądał na niedawno używany, była szczoteczka do zębów - włosie miała suche, ale leżała na umywalce, zamiast stać w chromowanym pojemniku z dwoma innymi. W szafce na leki nie było niczego, co nie mogło należeć do Rakubiana lub Angeli.

Kiedy wrócili do sypialni, pootwierali szuflady komody i szafek nocnych. Znów to samo - cała zawartość była albo Rakubiana, albo Angeli.

Zapach kadzidełek, którego Hollis nigdy nie lubił, sprawiał, że zaczęły boleć go zatoki. Zostawił Cassie, by wciąż szukała w sypialni, i poszedł obejrzeć kuchnię. Lodówka była pusta, tak samo jak kosz na śmieci stojący pod zlewem. Kobieta nie spożywała tutaj

posiłków, a nawet jeśli, to przynosiła je tutaj gotowe, a resztki zabierała ze sobą, gdy wychodziła. Dołączyła do niego Cassie i wspólnie przeszukali szafki i szuflady, zarówno tu, jak i na tylnym ganku. Jeszcze w trakcie szukania zdali sobie sprawę, że nic tu nie znajdują.

Nie było tutaj żadnej poszlaki, która mogłaby wskazać na tożsamość kobiety.

Teraz jednak mieli przynajmniej jakiś sposób, by dowiedzieć się, kim jest. Jeśli wróci, by znów przenocować, i jeśli robi to szybko. Zatrudnić prywatnego detektywa i umieścić dom pod stałą obserwacją. Będzie to pewnie kosztowne i czasochłonne i będzie oznaczało więcej oczekiwania, ale to wszystko, co mogli zrobić. I przynajmniej dawało możliwość zrobienia *czegokolwiek*.

W furgonetce przedyskutowali natychmiastowe zatrudnienie detektywa, na tyle szybko, by już dziś w nocy ktoś obserwował dom. Nie było to jednak wykonalne. Po pierwsze dlatego, że Hollisa opuszczały siły, czuł się coraz słabszy i miał dreszcze. Po drugie wybranie i zatrudnienie odpowiedniego prywatnego detektywa wymagało czasu. Nie można po prostu wybrać w książce telefonicznej pierwszego lepszego nazwiska, przyjść do biura bez zapowiedzi i spodziewać się, że doświadczony detektyw rzuci wszystko, by zająć się twoją sprawą, tak, jak w filmach i powieściach. Należało wybrać odpowiednią osobę, umówić się z nią na spotkanie, przedyskutować sprawę, omówić kwestie finansowe - tak samo jak w przypadku jakiegokolwiek spotkania w sprawach zawodowych.

Pojechali prosto do domu, żeby tam zająć się przygotowaniami.

### ***Środa po południu***

Książka telefoniczna San Francisco zawierała pełne dwie strony prywatnych detektywów - agencje duże i małe, pojedyncze osoby, sporo reklam oferowanych usług. Pierwsze sześć telefonów, których numery wybrali na chybił trafił, były stratą czasu. Pod czterema powiedziano im, że nie wykonują tego rodzaju obserwacji, pod jednym, że owszem, ale dopiero w przyszłym tygodniu, a pod ostatnim włączyła się automatyczna sekretarka. Wtedy Cassie zauważyła, że dużo agencji prowadzonych było przez kobiety i że może detektyw-kobieta byłby w ich przypadku lepszym rozwiązaniem. Hollis też tak myślał.

Siódmy telefon wykonali do agencji McCone Investigations - mieszczącej się na przystani pod numerem 24½ na Embarcadero. Rozmawiali z właścicielką, Sharon McCone, która przez telefon sprawiała wrażenie osoby otwartej i kompetentnej. Powiedziała im, że jeśli po spotkaniu z nimi i omówieniu szczegółów zdecyduje się wziąć tę sprawę, ktoś będzie obserwował dom już od następnego wieczoru. Umówili się w jej biurze w czwartek o

pierwszej trzydzieści.

### *Środa wieczorem*

Zjedli wczesny obiad w restauracji sieci Mill z Angellą, Kennym i Pierce'em. Wymyśliła to Angella. Zdawała się teraz jeszcze bardziej niż zwykle potrzebować rodzinnej bliskości i tego, żeby Cassie i Hollis znów zaakceptowali Pierce'a jako członka rodziny.

- Ustawia nas naokoło siebie jak tarcze - skomentowała ten pomysł Cassie. Hollis po krótkiej drzemce czuł się lepiej, więc jak mogliby odmówić córce?

Obiad minął dobrze, nawet lepiej, niż się spodziewał. Pierce zachowywał się nienagannie, był grzeczny, ale nie uległy, zdawał się coraz lepiej czuć w ich towarzystwie. Jeśli Angella powiedziała mu cokolwiek o śmierci Rakubiana, nie dawał tego po sobie poznać. Było oczywiste, że naprawdę zależy mu na niej i na synu, było to widać po spojrzeniach, jakie na nich kierował, po sposobie zachowania się w stosunku do nich. Patrząc uważnie, można też było dostrzec, jak dużą rolę zdążył już odegrać w ich życiu. Kiedy byli z Angellą razem wtedy, po raz pierwszy, a szczególnie po urodzeniu Kenny'ego, zdawali się nie wiedzieć, jak powinni się wobec siebie zachowywać, nie umieli się odnaleźć w roli męża i żony, ojca i matki. Byli wtedy zbyt młodzi, zbyt niedojrzali. Teraz czuli się swobodnie, nawet po tak krótkim czasie trwania tego nowego związku.

Hollis zdał sobie sprawę, że było tak już od jakiegoś czasu. Nie dostrzegł tego wcześniej, bo nie chciał tego dostrzec - to zresztą tylko jedna z wielu rzeczy, których nie widział lub nie chciał widzieć, dopóki Cassie nie otworzyła mu na nie oczu.

### *Czwartek rano*

Tom Finchley i jego pomocnik umówieni byli na ósmą trzydzieści i, w przeciwieństwie do większości takich fachowców, przybyli na czas - był to zresztą jeden z powodów, dla których Hollis wybrał do odnowienia salonu właśnie jego. Ani Cassie, ani on sam nie chcieli być w domu podczas wyrzucania wszystkiego z pokoju, pojechali więc oddzielnie do centrum, spotkali się tam na Main Street przy kawie i croissantach, po czym znów się rozstali. Każde miało iść na pół dnia do pracy, po czym mieli spotkać się w południe, by razem pojechać do San Francisco na spotkanie z Sharon McCone.

Gdy dotarł do Mannix & Hollis, była dopiero dziewiąta trzydzieści. Czekająca go tam niespodzianka w postaci Gabe'a, który przyszedł do biura przed nim. Rozmawiał z Glorią, która wydawała się czymś wyraźnie zdenerwowana.

- Co my tu widzimy? - zagadnął Hollis. - W pracy przed dwunastą? Czyżbyś po tych wszystkich latach przypomniał sobie jednak o etyce zawodowej?

Mannix nie uśmiechnął się. Hollis zauważył, że ma zaciśnięte usta.

- Powiedzmy. Właśnie miałem do ciebie dzwonić.

- Dlaczego? Coś się dzieje?

- Gloria, powtórz mu to, co właśnie powiedziałaś mnie.

- Trochę mi głupio. To znaczy nie przypuszczałam, że wciąż masz kłopoty... - zaczęła.

Hollis zerknął na swego partnera, który z kolei potrząsnął głową. Oczy Mannixa mówiły: „Nie zdradziłem twojego zaufania. Nie o to tu chodzi”.

- Mów śmiało - zachęcił Głorię.

- No więc wczoraj poszłam na lunch do River House. Wiesz, jak było zimno, prawda? Właśnie dlatego zauważyłam tę kobietę. Siedziała sama na tarasie, otulona parką, pijąc kawę i gapiąc się w naszą stronę. Jakby obserwowała ten budynek, nasze biuro. Na nic innego nie mogła patrzeć z miejsca, w którym siedziała - tylko na nasze okna.

Hollis poczuł, że napinają mu się mięśnie.

- Udało ci się jej przyjrzeć?

- Wystarczająco dobrze, żeby ją rozpoznać.

- Ktoś, kogo znamy?

- Nie, ale już ją widziałam. Dwukrotnie.

- Gdzie?

- Raz w zeszłym tygodniu, też na tarasie River House. Siedziała przy tym samym stoliku i też patrzyła w tę stronę. Wtedy nie dało mi to do myślenia. Było słonecznie, dużo osób jadło lunch na zewnątrz.

- A drugi raz?

- W niedzielę rano. Pod twoim domem.

- Moim domem...?

- Gdy podjeżdżałam, właśnie schodziła z frontowych schodów - powiedziała Gloria. - To było koło jedenastej piętnaście, jak zostawiałam teczkę dotyczącą Dry Creek. Myślałam, że to jakaś znajoma Cassie. Nic nadzwyczajnego nie robiła, po prostu schodziła ze schodów, odchodziła, bo nikogo nie było w domu. Dlatego wcześniej o tym nie wspominałam. Ale wczoraj znowu ją widziałam, to już trzeci raz w przeciągu niecałego tygodnia, jak tak siedziała na tym zimnie i się gapiła... I im bardziej o tym myślałam, tym bardziej wydało mi się to dziwne. Więc powiedziałam o tym Gabe'owi, gdy przyszedł, a on uznał, że natychmiast trzeba powtórzyć tobie.



- Jak wyglądała? Opisz ją.  
- Około trzydziestu pięciu lat. Chuda i raczej płaska. Ciemne włosy, takie jak moje, ale krótkie. Twarz wąska z dużym nosem, podobnym do dzioba. Okulary w złotych oprawkach.  
- Jezu!  
- Znasz ją? - spytał Mannix.  
- Tak - odpowiedział. - Tak, znam ją.  
Asystentka Rakubiana - Valerie Burke.

## 22

Tak po prostu.

Błądzisz w ciemności, spekulujesz, snujesz całe mnóstwo błędnych przypuszczeń, twoje życie jest równoznaczne z bezustannym poczuciem zagubienia i frustracji, a odpowiedź przez cały czas jest w zasięgu ręki. Tak oczywista, a zarazem tak nieoczywista, dopóki ktoś ci jej nie podsunie pod nos. Valerie Burke. Blisko związana z Rakubianem, pracowała u niego przez pięć lat. Ale nigdy nawet nie przyszło ci do głowy jej podejrzewać, bo on zdawał się tak dokładnie oddzielać życie prywatne od zawodowego, bo była od niego starsza i, w porównaniu z Angellą, nieatrakcyjna. Przeoczyłeś jednak to, że nie młodość czy uroda pociągały takiego faceta jak Rakubian, tylko bezbronność. Chciał kobiety, którą mógłby zdominować, uformować niczym rozgrzany plastik, w swoją idealną towarzyszkę. Tylko że Valerie Burke, z Bóg wie jakich przyczyn, nie do końca spełniała jego wymagania i zostawił ją dla Angeli. A ona nigdy tego nie przeboleła...

Mannix coś do niego mówił. Hollis zamrugał oczami i skoncentrował się. - Co mówiłeś?

- Zapytałem, kto to.  
- Asystentka prawna, pracowała w kancelarii Rakubiana. Valerie Burke.  
- Ach, więc to jest to ogniwo, które łączy ją z Angellą.  
- Tak.  
- Ale dlaczego tak nienawidzi ciebie i Cassie?

Hollis przypuszczał, że teraz zna już odpowiedź i na to pytanie, ale nie chciał o tym mówić przy Glorii. Właściwie nie chciał też mówić o tym z Gabem. Pokręcił głową i zwrócił się do Glorii.

- Gdzie jest książka telefoniczna San Francisco?  
- Tam, gdzie zawsze, na dolnej półce, razem z pozostałymi książkami telefonicznymi.

Jack, o co chodzi?

- Wyjaśnię później. Gabe opowie ci przynajmniej część.

- A co mam zrobić, jak znów zobaczę tę kobietę? Zawołać gliny?

- Nie, żadnej policji. Nie rób nic. - Ruszył w stronę znajdujących się po drugiej stronie pomieszczenia półek, ale zatrzymał się i odwrócił. - Nie zauważyłaś może, jaki miała samochód? Wtedy, w niedzielę?

- Nie, nie zwróciłam uwagi.

- Jeśli znów się tu gdzieś pojawi, spróbuj się zorientować. I zapamiętać rejestrację.

- Co zamierzasz zrobić? - zapytał Mannix.

- Jeszcze nie wiem. Ale na pewno coś zrobię.

- Chcesz, żebym ci jakoś pomógł?

- Dzięki, ale nie. Musimy poradzić sobie sami, Cassie i ja.

Zamknął się w swoim biurze i otworzył książkę telefoniczną na literze „B”. Nie było Valerie Burke, ale znalazł V. Burke i adres: Parnassus Street 9871. To *musiała* być ona. Chciał się jednak upewnić, zadzwonić pod jakimś pretekstem do Macatee'ego i poprosić, żeby sprawdził to w aktach.

Zadzwonił do Pałacu Sprawiedliwości, gdzie rozmawiał z pracownikiem Wydziału Osób Zaginionych, którego nazwiska nie zapamiętał. Macatee'ego nie było, miał przyjść dopiero później. Hollis próbował namówić osobę po drugiej stronie, żeby podała mu informacje dotyczące Burke, nie uzyskał jednak nic oprócz odmowy, po której gwałtownie się rozłączono.

Hollis odłożył słuchawkę, ale niemal natychmiast ponownie ją podniósł, by zadzwonić do Kliniki dla Zwierząt. Pierwszym, co Cassie powiedziała po tym, jak skończył opowiadać jej o najnowszych odkryciach, było: - Nie możemy trzymać tego w tajemnicy przed Angellą, nie teraz.

- Wiem, ale lepiej, żebyś to ty jej powiedziała. Ja jestem zbyt zdenerwowany. Zapytaj ją, czy utrzymywała jakieś stosunki z Valerie Burke, czy spotkały ją z jej strony jakieś nieprzyjemności. I co o niej wie.

- A co zrobimy potem?

- Spróbujemy ją znaleźć. W książce telefonicznej San Francisco jest jedno nazwisko i adres, które pasują. Próbowałem skontaktować się z Macatee'em, żeby to potwierdzić, ale nie ma go.

- Skonfrontujemy się z nią i spróbujemy ją odstraszyć?

- Tak.

- Jeśli z jej stanem umysłowym jest tak źle, jak nam się wydaje, nic to nie pomoże.
- Musimy spróbować. Nie mamy wyboru.
- Może policja.
- Nie, jeszcze nie. Potrzebne są jakieś dowody. Do glin zwrócimy się w ostateczności.
- Chyba masz rację.
- Zadzwoń do Angeli - powiedział. - Będę po ciebie za dziesięć minut.

Gdy Cassie wsiadała do lexusa, zauważył, że była blada i spięta. Chciał powiedzieć jej coś, co by ją uspokoiło, ale w głowie miał pustkę.

- Jak Angela? - spytał tylko w końcu.
- Rozmawiałam z nią. Teraz wszyscy troje jesteśmy zdenerwowani.
- Co powiedziała o Burke?

- Niewiele. Właściwie jej nie zna. Kilka razy widziała ją w kancelarii Rakubiana, ale nigdy w sytuacjach towarzyskich. Ale odczuła, że Burke jej z jakiegoś powodu nie lubiła i żywiła do niej urazę.

- Kłóciły się albo coś takiego?
- Nie.
- A wie cokolwiek o życiu osobistym Burke?
- Nic kompletnie i nie ma pojęcia, gdzie ona mieszka.

W samochodzie zapanował smętny nastrój do momentu, aż nie dostali się na autostradę 101 w kierunku południowym. Panował duży ruch i trudno było nie zmieniać wciąż pasa i nie przekraczać dozwolonej prędkości. Gdy cisza stała się nieznośna, Hollis przerwał ją, wypowiadając swe wcześniejsze przypuszczenie, że Rakubian myślał, że będzie potrafił Burke zdominować. Cassie, która do tej pory gapiła się przed siebie, teraz uniosła się w fotelu i odwróciła w jego stronę.

- Bezbronna i nie zrównoważona - rzekła. - Przy takim typie osobowości miłość bardzo łatwo może zmienić się w nienawiść.

- Był taki arogancki i zajęty sobą, że pewnie tego nie zauważył.

- A nawet jeśli zauważył, nic go to nie obchodziło. Ciekawe, co wtedy, u niego w domu, doprowadziło ją do zbrodni. Czy poszła tam po to, żeby go zabić? Czy aby błagać go, żeby do niej wrócił? Czy może miało to coś wspólnego z Angellą?

Coś wspólnego z Angellą. Hollis przypomniał sobie swoją wizytę w kancelarii Rakubiana dzień wcześniej, w piątek. Możliwe, że Burke podsłuchiwała, usłyszała część z tego, co mówili, może właśnie kłamstwo, że Angela gotowa jest wrócić do Rakubiana. Przez

całą noc o tym myślała, a w sobotę pojechała do niego do domu, desperacko próbując go namówić, żeby odwołał spotkanie w Tomales Bay. To by mu się nie spodobało - zwymyślałby ją, wyśmiał i pewnie zagroził zwolnieniem z pracy, dzięki czemu pozbyłby się jej ze swojego życia na dobre. A kiedy nie mogła znieść już więcej obelg, statuetką zamknęła mu usta na wieki.

Mogło tak być. Jeśli tak, to czy Burke wspomni coś o Tomales Bay przy Cassie? Choć nie chciał tego robić, znów musiałby skłamać. Udać, że to brednie wypowiedane przez wariatkę. Cassie nigdy nie może się dowiedzieć, jak bliski był popełnienia morderstwa.

Zmienił temat. - Musiała przeżyć ogromny szok, kiedy się zorientowała, że ciało zniknęło.

- Tak, ale skąd wiedziała, że to ty jesteś za to odpowiedzialny?

Na pewno podsłuchiwała. Wiedziała o umówionym spotkaniu. Zgadła, że Hollis pojechał do Rakubiana, żeby sprawdzić, dlaczego się nie stawił, a potem odgadła też powód, dla jakiego wszystko sprzątnął i usunął ciało.

- Jakikolwiek jest tego wytłumaczenie - powiedział - to ona wie, że to ja, i nienawidzi mnie za to. Najpierw Angela go jej zabrała - tak to sobie tłumaczyła - a potem ja zabrałem i schowałem to, co z niego zostało. Nie mogła go sama pochować, przeprosić, pożegnać się.

- Może nawet obwiniać nas za jego śmierć. Rozumiesz: „Nie chciałam go skrzywdzić, kochałam go, to przez nich to zrobiłam, to wyłącznie ich wina”. Ale dlaczego tak długo czekała? Dwa miesiące to długo jak na planowanie zemsty.

- Musi być jakiś inny powód, coś, co tłumaczy tę przerwę.

- Angela - powiedziała Cassie po krótkiej chwili.

- Co Angela?

- To *ona* jest tym powodem. W dwa dni po morderstwie zabrała Kenny'ego do Utah. Burke nie wiedziała, gdzie jest, nie miała jak się dowiedzieć.

- Tak, to musi być to. Czekala, aż Angela znów pokaże się na horyzoncie, wróci do domu. Pierwszy list przyszedł w niespełna tydzień po ich powrocie. Gdyby zaczęła prześladować nas wcześniej, powiedzielibyśmy Angeli, żeby nie wracała. Burke chciała, żebyśmy myśleli, że jesteśmy bezpieczni. I żebyśmy znów wszyscy byli razem, żeby mogła się do nas dobrać.

- Nie było jej trudno kontrolować sytuację - dodała Cassie. - Podjechać do Los Alegres raz czy dwa razy na tydzień, sprawdzić nasz dom, rozejrzeć się w twojej i mojej pracy, zadać parę dyskretnych pytań. W ciągu kilku dni mogła się zorientować, że wrócili.

Zadrzała, jakby przebiegł ją nagły dreszcz. Dodała:

- Ciarki mi po plecach przechodzą na myśl, że nas szpiegowała, że przez cały ten czas nas obserwowała.

- Stała się też odważniejsza, jak gdyby...

Nie dokończył zdania, ale Cassie myślała to samo.

- Jak gdyby było jej wszystko jedno, czy wiemy, że to ona - dokończyła za niego. - Przeraza mnie to. Tak samo jak przeraza mnie to, co widzieliśmy wczoraj w domu Rakubiana. Bóg jeden wie, co ona jeszcze może zrobić, jeśli jej nie powstrzymamy!

Podany w książce telefonicznej adres na Parnassus Street okazał się kamienicą o frontonie z cegły i kamienia, położoną o dwie przecznice od Centrum Medycznego Uniwersytetu Kalifornijskiego. Skrzynki na listy, z wypisanymi nazwiskami lokatorów, zajmowały jedną ścianę hallu wejściowego. Nie było pośród nich ani Valerie Burke, ani V. Burke.

Hollis, wybrawszy skrzynkę, na której widniało „Dozorca”, znalazł odpowiednie do niej mieszkanie i nacisnął dzwonek. Młoda kobieta trzymająca na ręku niemowlę powiedziała im, że owszem, Valerie Burke mieszkała w tej kamienicy, ale zrezygnowała i wyprowadziła się pod koniec czerwca. Nie zostawiła żadnego adresu, na który można by przesyłać jej pocztę, ani nie powiedziała, dokąd się wybiera. Młoda kobieta nie miała pojęcia, gdzie Burke pracowała i w ogóle nic o niej nie wiedziała - raczej nie była rozmowna, a poza tym mieszkańcy zajmowali się tu swoimi sprawami. To ostatnie wymówiła tonem ostrym, jak gdyby formułowała oskarżenie.

- Co teraz? - zapytała Cassie, gdy znaleźli się z powrotem w samochodzie.

- Nie wiem. Niech pomyślę... South Beach. Adaptowany magazyn, w którym mieściła się kancelaria Rakubiana. Może tam ktoś będzie wiedział, gdzie można ją znaleźć.

\*

Kolejny ślepy zaułek.

W budynku przy Harrison Street znajdowało się z pół tuzina małych kancelarii prawniczych. Pytali we wszystkich, ale odpowiedź była zawsze ta sama. Nikt nie wiedział, co stało się z Valerie Burke ani z sekretarką, Janet Yee, po tym, jak opuściły kancelarię Rakubiana. Dozorca budynku też nie potrafił im pomóc.

Frustracja, niczym kwas, zżerała Hollisa.

- Możemy spróbować zlokalizować Janet Yee - powiedział. - Ale szanse, że będzie znała obecny adres Burke, są nikłe.

- Czy istnieje jakaś organizacja zrzeszająca asystentów prawnych? Jeśli tak, i jeśli ona jest członkiem, mogą coś wiedzieć.

- Może, ale wątpię. Stan, w jakim była przez ostatnie dwa miesiące, wyprawy do Los Alegres... Nie bardzo mogę sobie wyobrazić, że informuje jakąś organizację o miejscu zamieszkania, ani nawet, że potrafi przez dłuższy czas utrzymać pracę.

- Więc z czego żyje?

- Nie wiem, z oszczędności, może zaciągnęła u kogoś pożyczkę?

- Kręcimy się tylko w kółko - stwierdziła Cassie. - Zadajemy pytania, na które nie umiemy odpowiedzieć. Sami nie damy sobie rady. Czy nam się to podoba, czy nie, potrzebujemy pomocy. Profesjonalnej.

- Myślisz, że faktycznie powinniśmy pojechać na spotkanie w McCone Investigations?

- Jest za niecałą godzinę, a jesteśmy niemal na tyle blisko, że do przystani możemy dojść piechotą. Prywatny detektyw posiada zaplecze, dzięki któremu jest mu o wiele łatwiej, niż amatorom takim jak my, kogoś znaleźć.

- OK - zgodził się. - Porozmawiamy z nią i zobaczymy, co ma do powiedzenia.

### ***Czwartek po południu***

Numer 24½ znajdował się obok przystani, gdzie przycumowane były łodzie Morskiej Straży Ratowniczo-Pożarnej. Był to wielki budynek adaptowany na biura dla różnych firm. Hollis nie wiedział, czego spodziewać się po agencji detektywistycznej znajdującej się w takim miejscu - choć firmie McCone Investigations musiało powodzić się dobrze. Taka pierwszorzędna lokalizacja, z widokiem na morze, nie mogła być tania. Należące do agencji biura zrobiły na nim wrażenie, tak samo jak sama Sharon McCone. Nie kazała na siebie czekać nawet pięciu minut, a gdy się pojawiła, była tak samo konkretna i ożywiona jak przez telefon. Miała około czterdziestki, ciemne włosy i była bardzo atrakcyjna w sposób, który rzucał się w oczy. Ponadto promieniowała z niej zawodowa kompetencja, która z kolei wzbudzała zaufanie.

Gabinet, do którego ich zaprowadziła, miał wysokie okna, dające szeroki widok na zatokę i wzgórze East Bay. Jedynym minusem był hałas - przeszło Bay Bridge znajdowało się dokładnie nad nimi, dudnienie i warkot samochodów były przyciszone, ale bezustanne. Hollis pomyślał, że gdy obok włączał się alarm przeciwpożarowy, nie robiło to już wrażenia na pracownikach.

Usiedli w wygodnych krzesłach ustawionych przed funkcjonalnym biurkiem. McCone

spytała, czy będzie im przeszkadzało, jeśli nagra rozmowę, a Hollis wyraził zgodę. Włączyła mały dyktafon, zadała kilka wstępnych pytań, po czym poprosiła ich o szczegółowe przedstawienie sprawy. Hollis opowiedział jej większość, tyle, ile uważał, że powinna wiedzieć. Powiedział też, że nie wiedzieli, dlaczego Burke ich prześladowa, chyba że z jakiegoś powodu obwinia ich o zniknięcie Rakubiana.

McCone nie przerywała mu, niektóre informacje notowała.

- Jeden prześladowca, to wystarczająco dużo jak na jeden życiorys, ale dwóch w przeciągu kilku miesięcy, to najgorszy możliwy scenariusz. Współczuję państwu, proszę mi wierzyć. Rozumiem też, dlaczego nie chcą państwo włączyć w to policji. Niewiele można by działać drogą oficjalną na podstawie tego, co stało się do tej pory - powiedziała, gdy Hollis umilkł.

- Mówi to pani tak, jakby miała doświadczenie w podobnych sprawach - wtrąciła Cassie.

- Ależ tak. - Co najmniej jedno takie nieprzyjemne doświadczenie, jeśli sędzić po tym, jak McCone smutno zadrgały usta. - Nie będę udawać, że łatwo sobie z nimi poradzić, bo tak nie jest. Jest tyle różnych rodzajów prześladowców, co ludzi. Każdy jest pod pewnymi względami przewidywalny, pod innymi - nie. Wydaje się, że David Rakubian był z tej dwójki bardziej niebezpieczny. To, co zrobiła państwu do tej pory Valerie Burke - anonimowe listy, włamanie - to dziecinne złośliwości. Możliwe, że planuje dalej działać w ten sam sposób, możliwe też jednak, że zechce działać w sposób bardziej otwarty. Nie wiemy o niej jeszcze wystarczająco dużo, żeby móc to przewidzieć.

- Nie mówi nam pani nic, czego nie wiemy - rzekł Hollis.

- Zdaję sobie z tego sprawę, panie Hollis. Ale wierzę w pełną komunikację z klientami, w upewnianie się, że się rozumiemy i że rozumiemy sytuację, z którą mamy do czynienia. Czasem wymaga to mówienia rzeczy oczywistych, powtarzania tego, co jest już wiadome.

- Tak, oczywiście. Przepraszam.

- Nie szkodzi. Na pana miejscu też byłabym zdenerwowana. I jeszcze coś. Większość działalności Valerie Burke była do tej pory skierowana przeciw państwu, nie znaczy to jednak, że koniecznie pozostanie jej pierwszoplanowymi celami. List do waszej córki sugeruje, że ona też może być w niebezpieczeństwie.

Hollis skinął głową. - Co może pani zrobić, żeby nam pomóc?

- W tej chwili najważniejszą rzeczą - odparła McCone - jest zlokalizowanie Burke. Jeśli ma stałe miejsce zamieszkania w San Francisco lub w okolicach, powinniśmy znaleźć je

dość szybko. Jeśli jednak mieszka u znajomych, w hotelu bądź motelu, zajmie to więcej czasu. Dom Davida Rakubiana każe obserwować od zaraz. Jeśli się tam pokaże, detektyw będzie poinstruowany, żeby ją śledzić, kiedy stamtąd wyjdzie. Sprawdzimy też w Wydziale Komunikacji, żeby dowiedzieć się o markę i rejestrację jej samochodu - oczywiście zakładając, że jeździ pojazdem zarejestrowanym zgodnie z przepisami. Sprawdzimy też jej przeszłość, znajomości - stworzymy jej portret osobisty, zawodowy i psychologiczny. Im więcej o kimś wiadomo, szczególnie o prześladowcy, tym większa szansa przewidzieć, co zrobi.

- Ile to wszystko zajmie?

- Sprawdzenie jej przeszłości? To zależy, ile z życia Burke zapisane jest w dokumentach urzędowych. Niektóre informacje - przynajmniej materiały z Wydziału Komunikacji - powinniśmy mieć już dziś wieczorem. Dodatkowe informacje, może nawet portret, jutro wieczorem. Oczywiście nic nie mogę państwu obiecać, mogę jednak powiadomić pracowników, że sprawa państwa jest priorytetowa.

Jej bezpośredniość odpowiadała Hollisowi.

- Co radzi pani, żebyśmy robili w czasie, gdy zbieracie informacje? - zapytał.

- Powinni państwo być uważni i czujni - odpowiedziała McCone. - Jeśli chodzi o działania konkretne, namówcie córkę, żeby do czasu zakończenia sprawy wprowadziła się razem z wnukiem z powrotem do państwa domu. Jeśli nie jest to konieczne, nie wychodźcie sami z domu po zapadnięciu zmroku. Uprzedźcie przyjaciół i sąsiadów i poproście ich, aby natychmiast was zawiadomili, jeśli zauważą kobietę odpowiadającą rysopisowi Burke. Upewnijcie się, że państwa dom jest na tyle zabezpieczony, na ile to możliwe, tak w dzień, jak w nocy. Tak samo państwa samochody - tylko bezpieczne miejsca do parkowania w domu, w pracy i w miejscach publicznych.

- Czy radziłaby pani, żeby ktoś obserwował również i nasz dom? - spytała Cassie.

- Nie. Jest mało prawdopodobne, że Burke będzie próbowała się włamać, czy że w ogóle pojawi się w państwa okolicy. Wie, że będziecie ostrożni, a prześladowcy tacy jak ona są przede wszystkim chytry. Cokolwiek planuje teraz zrobić, najprawdopodobniej nie będzie to powtórką tego, co już zrobiła. Nie będzie też działaniem otwartym. Jest także inny powód, dla którego nie radziłabym obserwować państwa domu na tym etapie. Jeden detektyw nie da rady pracować dwadzieścia cztery godziny na dobę, potrzeba do tego trzech. A jeszcze większego zespołu potrzeba, gdyby obserwować bezustannie całą państwa rodzinę. Po jakimś czasie koszty stałyby się ogromne, a nie wiadomo, ile czasu minie, nim zlokalizujemy Burke. Poza tym nie ma gwarancji, że moi ludzie przyłapią ją na czymś, za co będzie można posłać



ją do więzienia. Możemy uważać, że cierpi na manię prześladowczą, ale proszę pamiętać, że nie ma na to dowodów.

Chwilę jeszcze porozmawiali, zanim przeszli do kwestii finansowych. Kwota, jaką wymieniła McCone, była zbliżona do tego, czego Hollis się spodziewał - była spora, odpowiednia do wielkości i usytuowania agencji, ale daleko jej było do wygórowanej. Podpisali typową umowę, a on wypisał czek pokrywający zaliczkę. W pięć minut później wychodzili już z budynku, mając zapewnienie McCone, że skontaktuje się z nimi, jak tylko będzie miała cokolwiek do zaraportowania.

- Trochę mi ulżyło. Chyba słusznie postąpiliśmy - powiedziała Cassie, gdy byli już na zewnątrz.

- Też tak myślę.

Uśmiechnęła się do niego, a on odpowiedział jej tym samym. Oba uśmiechy miały być pokrzepiające, w rzeczywistości jednak były tylko grymasami. Zniknęły momentalnie, jakby porwane chłodnym wiatrem wiejącym od zatoki.

## 23

Podczas jazdy do Los Alegres Cassie zadzwoniła do Angeli i przez piętnaście minut próbowała namówić ją, by z powrotem przeprowadziła się do nich. Angela wciąż powtarzała, że nie uważa tego za konieczne. Uparta, często chodzi z klapkami na oczach - zupełnie jak jej ojciec. W końcu zgodziła się przedyskutować to z Pierce'em. Jeśli on uzna, że to dobry pomysł, wtedy może zmienić zdanie.

Tom Finchley wraz ze swoim pomocnikiem właśnie kończyli, gdy Cassie i Hollis dotarli do domu. Salon był zupełnie pusty a ściana, pomazana przez Burke, odmalowana. Teraz był to po prostu pokój, jak wiele innych pustych pokoi, czekających na wprowadzenie akcentów osobistych. Jednak aura włamania była wciąż obecna.

Hollis zadzwonił do biura i krótko rozmawiał z Glorią, a potem z Mannixem. Dziś ani w River House, ani nigdzie indziej w pobliżu, nie było śladu Burke.

Parę minut przed piątą zadzwoniła Sharon McCone, żeby powiadomić ich, że samochód zarejestrowany na nazwisko Burke to nissan sentra, rocznik 1992, czterodrzwiowy, biały, ze spersonalizowaną rejestracją VALBLAW. Jej obecny adres nie został jeszcze odnaleziony, ale dwóch pracowników McCone pracowało nad tym oraz nad przeszłością i portretem Burke.

Cassie i Hollis obeszlili sąsiadów, ogólnikowo przedstawiając im sytuację i podając im

rysopis Burke i opis jej samochodu. Tak jak w przypadku Rakubiana, spotkali się ze współczuciem i obietnicami pomocy.

O piątej czterdzieści znów odezwał się telefon, dzwonił Pierce. A to, co miał do powiedzenia, ogromnie przypadło Hollisowi do gustu. Zgadzał się z tym, że Angela i Kenny będą bezpieczniejsi, mieszkając u Hollisów, i udało mu się namówić ją na tymczasową przeprowadzkę. Dodał też, że on sam zostanie w jej mieszkaniu, by obserwować, czy coś się tam nie będzie działo.

- Angela właśnie się pakuje. Jak tylko będzie gotowa, przyjedzie z Kennym.
- Jedź za nimi swoją ciężarówką. I czuj się zaproszony na obiad.
- Dziękuję, panie Hollis. Z chęcią.
- I mów mi już po imieniu. Pan Hollis brzmi, jakbym był równie stary, jak się czuję.

### *Czwartek wieczorem*

Angela z pozoru była uśmiechnięta, ale jej niechęć była oczywista - nie chciała już być zależna, w szczególności od Cassie i Hollisa. Kenny zachowywał się zbyt cicho, co zawsze oznaczało, że coś jest nie tak. Hollis wziął go na ręce, zabrał do swojego gabinetu i posadził przed komputerem. Ale tego wieczora chłopiec był znacznie mniej zapalony do gier wideo niż zazwyczaj.

- Dziadku? - odezwał się, gdy Hollis już chciał odejść. - Czy David wraca, żeby zrobić nam krzywdę?

„Mój Boże.” - Nie ma mowy! Skąd przyszedł ci do głowy taki pomysł?

- Słyszałem, jak mama i tata rozmawiali. Mama boi się, tak jak wcześniej.

- Tak, ale to nie Davida Rakubiana się boi.

- Więc dlaczego znów będziemy mieszkać z tobą i babcią?

- A co powiedziała ci mama?

- Powiedziała, że to na krótko. Mówiła też, że już nigdy nie będziemy musieli się bać Davida, ale ja jej nie wierzę. Kogo się boi, jeśli nie tego dupka?

- To nie jest ładne słowo.

- Mama czasem je mówi. Mnóstwo ludzi je mówi.

- Ale nie powinni i ty też nie powinienes.

- Kogo się teraz boimy, dziadku?

- Złej pani. Ale to nie będzie trwało długo.

- Jakiej złej pani?

- Nie znasz jej. Nie bój się, ona nie skrzywdzi mamy. Dopóki ja tu jestem, nikt nie skrzywdzi nikogo z naszej rodziny, nigdy.

Przed samym obiadem zadzwonił Eric. Hollis opowiedział mu o najnowszych wydarzeniach, a potem oddał słuchawkę Angeli.

Rozmowa po obiedzie, kiedy Kenny znajdował się w gabinecie poza zasięgiem słuchu, dotyczyła wyłącznie Valerie Burke.

- Nie miałam pojęcia, że była tak głęboko związana z Davidem ani że jest zdolna do takiej nienawiści - powiedziała Angela. - Zawsze wydawała mi się... Właściwe słowo to chyba beznamiętna. I bez wyrazu.

- Dobrze skrywała uczucia - dodała Cassie. - Ludzie tacy jak ona często tak właśnie robią.

- Czy Rakubian kiedykolwiek coś o niej wspomniał? - zapytał Pierce.

- Raz, może dwa razy, ale wyłącznie w kontekście zawodowym. Nie potrafię wyobrazić sobie ich razem. Nie była atrakcyjna, David z kolei był szalenie przystojny... Jakoś mi do siebie nie pasują.

- Nie zawsze chodzi o wygląd.

- Wiem, ale i tak... Co w niej było takiego, że David chciał z nią być?

Hollis zmienił temat, pytając: - Nie wiesz o niej zupełnie nic? Gdzie się urodziła, gdzie chodziła do szkoły, coś o początkach jej kariery jako asystentki?

Angela potrząsnęła głową. - W czasie kiedy byłam z Davidem, ledwo zdawałam sobie sprawę, że ta kobieta istnieje. To znaczy, widziałam ją kilka razy w jego kancelarii, ale raczej nie zwróciłam na nią uwagi. On zresztą też nie wydawał się jej zauważać, chyba że zwracała się wprost do niego. Tak jakby była... Nie wiem...

- Częścią wystroju, przedmiotem? - odpowiedziała Cassie.

- Nie. Raczej jakby jej tam praktycznie w ogóle nie było.

- Jak cień - dodał Pierce.

„Jak widmo” - pomyślał Hollis.

## ***Piątek***

Dzień pozornie był taki sam jak ostatnio wszystkie, ale Hollis czuł, jakby znajdował się na skraju urwiska - jakby się powoli cofał, bacznie obserwując, gdzie stąpa, i próbując nie patrzeć w dół.

Cassie poszła do kliniki. Była tam potrzebna, ponieważ brakowało im personelu.

Angela została w domu z Hollisem i Kennym. Tom Finchley przyjechał ze swym pomocnikiem, żeby dokończyć malowanie salonu. Połączone siły komputera, telewizora i matki sprawiły, że Kenny nie sprawiał kłopotów, dzięki czemu Hollis mógł trochę popracować w gabinecie. O jedenastej pojawił się pracownik Camden Home Security, uzbrojony w katalogi i wyćwiczoną mówkę mającą na celu zachęcenie klientów. Gdy wychodził czterdzieści minut później, miał ze sobą czek na tysiąc dolarów, a Hollis rachunek na najnowocześniejszy system, jaki oferowało Camden, oraz obietnicę, że zainstalowany zostanie na początku przyszłego tygodnia.

Telefon dzwonił dwukrotnie. Mannix chciał wiedzieć, czy są jakieś wieści, a Gloria miała pytanie dotyczące jakiegoś projektu. Cisza ze strony McCone Investigations musiała oznaczać, że Burke nie pojawiła się wczoraj nigdzie w pobliżu domu Rakubiana.

Dwunasta trzydzieści. Zapakował córkę i wnuka do lexusa i pojechali do Mill, gdzie mieli spotkać się z Cassie na lunch. Nikt, nawet Kenny, nie miał apetytu. Siedząc w zatłoczonej restauracji, Hollis czuł się niezwykle widoczny, jak gdyby był postacią w filmie akcji - jednym z tych głośnych, pełnych krwi obrazów, gdzie nagle wpada ktoś w kominiarce i otwiera ogień z broni automatycznej. Nic takiego oczywiście się nie stało, ale po powrocie do domu Hollis miał już z nerwów migrenę.

Bezsukutecznie spróbował się zdrzemnąć, potem kiepsko szło mu projektowanie, zagrał z Kennym w kilka bezsensownych gier komputerowych... Popołudnie mijało powoli. O trzeciej dziesięć zadzwonił telefon - ktoś chciał mu sprzedać aluminiowy siding. O trzeciej pięćdziesiąt wróciła Cassie, o czwartej dwadzieścia pojawił się Pierce. I właśnie w momencie, kiedy Hollis miał wykręcać numer McCone Investigations, zadzwoniła sama Sharon McCone.

Miała dla nich trochę informacji, ale to nie było to, co chciał usłyszeć. Ciągłe jeszcze nie znaleźli Burke. Nie pojawiła się w domu Rakubiana, po wyprowadzeniu się z Parnassus Street nie miała stałego miejsca zamieszkania, nie było jej w żadnym spisie ani w Amerykańskim Stowarzyszeniu Asystentów Prawnych, nie wydawała się powiązana z żadną kancelarią w okolicach San Francisco. Sprawdzenie jej przeszłości dało wciąż jeszcze niedokładny, ale nabierający kształtu portret osoby niezrównoważonej - urodzona w Chicago, wychowywana przez samotnego, rządzącego w domu żelazną ręką ojca, który zmarł nagle na atak serca, kiedy miała osiemnaście lat. W wieku lat dziewiętnastu była już zamężna i w ciąży. Jej mąż również był typem dominującym - bił ją i spowodował, że dziecko urodziło się martwe. Rozwód i załamanie nerwowe, po którym trzy miesiące spędziła w szpitalu. Po wyjściu ze szpitala przeprowadziła się do San Francisco, żeby zacząć nowe życie. Studiowała prawo w Heald College, uzyskała dyplom i zdobyła uznanie w środowisku. Zanim pięć lat

temu przeszła do kancelarii Rakubiana, pracowała w jednej z większych kancelarii asystentów prawnych i w kancelarii prywatnej. Po rozwodzie, oprócz związku z Rakubianem, nie odnotowano żadnego istotnego mężczyzny w jej życiu.

McCone powiedziała Hollisowi, że nie był to dobry portret psychologiczny, ale też nie był alarmujący. Przemoc, jaka miała miejsce w jej przeszłości, skierowana była przeciwko niej, a nie odwrotnie. Nawet przy jej niezrównoważeniu może okazać się niezdolna do otwartego aktu przemocy. Hollis, którego to stwierdzenie nie podtrzymało na duchu, pomyślał, że przynajmniej bardzo szybko zbierają informacje.

Drinki, obiad, rozmowa. Dwie gry w Monopol, w który jednak nikt nie grał z przyjemnością, a raczej odruchowo, jakby znali grę na pamięć. Wcześniej poszli spać, ale Hollis leżał z otwartymi szeroko oczami, jak zwykle. Ciężki, nudny, stresujący dzień. Dobry, bo nic się nie stało, ale zarazem zły, bo to oznaczało, że jutro będzie to samo, i Bóg wie ile jeszcze dni potem będzie się to ciągnęło.

### *Niedziela rano*

Pogoda poprawiła się, było wietrznie, ale ciepło. Kenny był w kłótliwym nastroju i połączenie tego z zapachem świeżej farby dolatującym z salonu sprawiło, że Hollis wyszedł z domu zaraz po śniadaniu. Nie bardzo chciało mu się pracować w ogródku albo w ogóle cokolwiek robić, ale praca powinna przynajmniej sprawić, że będzie czymś zajęty. Zdecydował się zająć szopą ogrodową. Jej drzwi się wypaczyły i trzeba je było wyrównać i uszczelnić. Miał naprawić to już na wiosnę, ale z powodu wszystkich tych wydarzeń nie miał kiedy się za to zabrać. Równie dobrze mógł to zrobić teraz.

Zebrał narzędzia, zdjął drzwi z zawiasów i zabrał się za heblowanie ich od dołu. Wysilek zmęczył go szybciej, niżby chciał. Nie przerwał jednak, tylko zwolnił tempo, i pracował, aż naprawione i zamocowane drzwi nie zahaczały o podłogę. Zdjął je ponownie, by je uszczelnić.

Cassie wyszła do niego kilka minut po dziesiątej i zobaczywszy pot na jego twarzy - pracował teraz w pełnym słońcu - ostrzegła go przed przemęczeniem. Odburknął jej coś w odpowiedzi. Nie miał dziś rano ochoty na jej matkowanie.

- Trzeba zrobić zakupy - powiedziała. - Angela i Kenny pojedą ze mną do Safeway.

- Dobrze.

- A po lunchu możemy wszyscy pojechać do Santa Rosa, poszukać mebli i dywanów do salonu. Przynajmniej będziemy mieli coś do roboty.

- Dobrze.

Skończył z drzwiami i znów je zamocowawszy, uznał, że odwalił kawał dobrej roboty. Wciąż jednak nie chciał wracać do domu, żeby odpocząć, został jeszcze jakiś czas w szopie, porządkując jej zawartość. Gdy skończył i siedł do garażu, żeby zobaczyć, co tam znajdzie do roboty, usłyszał, że dzwoni telefon.

Pomyślał, że może to być Sharon McCone i że ma dla niego jakieś wiadomości. Wbiegł do domu i za piątym lub szóstym sygnałem odebrał telefon w kuchni.

- Jack! - Cassie, jej głos był o całe oktawy wyższy niż zazwyczaj. Dzwoniła z komórki, w tle było słycać szum. I coś jeszcze... Szlochanie? - O Boże, to straszne... Tu, na parkingu przy Safeway...

Oblał go zimny pot. Po wszystkich jego zakończeniach nerwowych przebiegł dreszcz, czuł się, jakby był naelektryzowany.

- Co się stało? Burke?

- Była tu, ale nie zauważyliśmy jej, dopóki nie było za późno. Miała broń, wszystko stało się tak szybko, nie mogłam... Próbowaliśmy ją dogonić, ale uciekła, nie wiem dokąd... Jest policja... Właśnie tam jedziemy...

- Na litość boską, mów wolniej, nic nie rozumiem. Co zrobiła Burke?

Urywany, świszczący oddech.

- Nasz Kenny... Zabrała Kenny'ego!

## 24

Komisariat policji znajdował się na ulicy North Main, niedaleko supermarketu Safeway, w którym zwykle robili zakupy. Dotarł tam w niecałe dziesięć minut, jadąc tak szybko, jak tylko to było możliwe w mieście. Poczekalnia była pusta, podbiegł więc do przedzielającej poczekalnię kuloodpornej szyby z pleksiglasu i mocno przytrzymał się brzegu blatu w miejscu, gdzie nad ladą znajdowało się okienko.

- Nazywam się Hollis, Jack Hollis - powiedział do umundurowanego gliny siedzącego za ladą. - Moja żona i córka...

- Tak, są tutaj. Pani Hollis jest z porucznikiem Davidsonem, a pana córka odpoczywa w poczekalni dla kobiet.

- A mój wnuk? Coś wiadomo?

- Jeszcze nie. - Ton gliniarza był współczujący. Był o kilka lat starszy od Hollisa i pewnie sam miał wnuki. - Przeszukujemy okolicę w poszukiwaniu samochodu. Nie tylko

hrabstwo Paloma, ale całą północną Kalifornię. Znajdziemy ich.

„Kiedy? Jak szybko?”

- Chciałbym zobaczyć się z córką.

- Oczywiście. Pytała o pana.

Gliniarz pozwolił mu przejść i zaprowadził go do poczekalni. Angela leżała na kanapie, była z nią policjantka.

- Tatusiu - powiedziała, gdy go zobaczyła.

Z trudem usiadła. Miała na twarzy czarne od rozmazanego tuszu ślady łez. Jej oczy były ogromne, zbyt rozszerzone. Nie wydawały się zupełnie przytomne. Szalejąca w Hollisie wściekła, bezsilna furia stawała się nie do zniesienia. Angela chciała wstać, ale podszedł do niej, pocałował ją, wyszeptał słowa pocieszenia, które nawet jemu samemu wydawały się puste, i kazał jej się położyć. Gdy spojrział na policjantkę, cicho powiedziała mu, że lekarze są już w drodze.

- Dlaczego? - Głos Angeli był przytłumiony. - Dlaczego porwała Kenny'ego?

- Nie wiem, kochanie.

- A jeśli zrobi mu krzywdę? Jest taki malutki...

- Nie zrobi mu krzywdy. - Tak strasznie chciał w to wierzyć, że aż powtórzył: - Nie zrobi mu krzywdy.

- Muszą go znaleźć całego i zdrowego. Muszą!

- Znajdą.

Zaszlochała. - A Ryan... Wie?

- Jeszcze nie. Zaraz do niego zadzwonię.

- Powiedz mu, żeby się spieszył. Powiedz mu... że Kenny... Bycie tam z nią było zbyt bolesne. Było mu niezręcznie i czuł się bezsilny, nie był nic wart w swoich oczach i myślał, że w jej też nie. Zostawił ją z policjantką, poprosił dyżurnego o pozwolenie skorzystania z telefonu, zadzwonił na rancho Gugliotty i powiedział o tym, co się stało, Pierce'owi. Chłopak nie tracił czasu na pytania.

- Jadę natychmiast - powiedział i odłożył słuchawkę.

Dotarli lekarze i Hollis zauważył, jak wchodzi do poczekalni dla kobiet. Kilka sekund później pojawił się siwy gliniarz. Porucznik Max Davidson - Hollis znał go z widzenia ze spotkania klubu Rotarian. Davidson uścisnął mu rękę z profesjonalną powagą, zapewnił, że robią wszystko, co w ich mocy, by znaleźć wnuka Hollisa, i zaprosił go do swojego biura, gdzie czekała Cassie. Pozwolił, by Hollis wszedł tam sam i zamknął za nim drzwi, żeby dać im chwilę prywatności.

Gdy Hollis ją przytulił, Cassie trzymała go tak mocno, że czuł, jak jej palce wbijają mu się w ciało. Delikatnie odsunął ją na odległość wyciągniętego ramienia tak, by móc na nią spojrzeć. Była blada i wstrząśnięta, ale potrafiła zachować nad sobą kontrolę.

- Ze mną wszystko w porządku - powiedziała. - Ale Angela...

- Wiem, właśnie się z nią widziałem. Jest w szoku. Przyjechali lekarze, coś jej na to dadzą.

- Ona nie zgodzi się pojechać do szpitala.

- Nie, a oni nie będą jej do tego zmuszali.

Cassie w nerwach tak mocno ciągnęła za dolną wargę, że aż stała się biała. - To wszystko nasza wina, Jack. Powinniśmy byli przewidzieć, że ta wariatka dobierze się do Kenny'ego.

- Skąd mieliśmy to wiedzieć?

- Powinniśmy być bardziej ostrożni, bardziej przewidujący.

„Doświadczenie, najlepszy nauczyciel. Nikt nigdy nie jest całkowicie bezpieczny. Nie można zabezpieczyć się przed wszystkim i wszystkimi”. Puste frazesy. Powiedział: - No tak. - I kiwnął głową jak marionetka.

- Nie robi mu krzywdy. Ciągle sobie powtarzam, że tak daleko się nie posunie.

- Nie. - „Może to zrobić. Oboje wiemy, że może”. - Potrzyma go dzień lub dwa, a potem puści.

- Angela nie wytrzyma tego oczekiwania.

- Nie będzie musiała. Znajdą go.

- FBI? Są już zawiadomieni?

- Nie wiem, spytam Davidsona. Ile mu powiedziałaś o Burke?

- Wszystko, co wiemy.

- Powiedziałaś też o McCone?

- Tak.

- Mogła się już dowiedzieć, gdzie Burke mieszka. Na pewno tam zabrała Kenny'ego.

- Jeśli robi mu krzywdę, przysięgam ci, że ją zabiję.

- Nie mów tak.

- Mówię poważnie. Wydrapię jej oczy. - Znów złapała się za wargę, jej oczy przybrały szaleńczy wyraz. - Powinnam była ją *zauważyć*. Ale nie zauważyłam, po prostu nie zauważyłam.

- Gdzie ją zauważyć?

- Na parkingu przy Safeway. Rozejrzałam się, gdy wyszliśmy ze sklepu. Angela też,



ale musiała pilnować Kenny'ego. To ja jestem za to odpowiedzialna.

- Nie dręcz się - powiedział. - Gdybyś mogła ją powstrzymać, zrobiłabyś to.

- Nie było cię przy tym, nie wiesz.

- Opowiedz mi, jak to się stało.

Cassie zamknęła oczy, zadrżała i natychmiast je otworzyła. - Na parkingu wyglądało, że wszystko jest w porządku - zaczęła. - Furgonetka była zaparkowana w ostatnim rzędzie, od strony Main Street. Gdy do niej dotarliśmy, otworzyłam drzwiczki... Angela wyjmowała z wózka jedną z siatek, Kenny był obok niej. Nagle krzyknęła „Nie!”. To ta Burke... Pojawiła się jakby znikąd, ale była tam od początku. Trzymała Kenny'ego za rękę, a on szarpał się i próbował się uwolnić. W dłoni miała... taki mały automatyczny rewolwer. Powiedziała coś w rodzaju: „Niech żadna z was nie próbuje się ruszyć albo krzyczeć, bo go zabiję”. Kazała mi włożyć moje kluczyki do kieszeni jej kurtki. Musiałam to zrobić, broń trzymała tylko o kilka centymetrów od głowy Kenny'ego. Potem zaciągnęła go do swojego samochodu, wepchnęła do środka - wcześniej zostawiła otwarte drzwiczki - i wsiadła za nim, a ja usłyszałam, jak zamyka centralny zamek. Musiała mieć już włączony silnik, tak szybko odjechała, ale nie pamiętam warkotu. Tylko dźwięk centralnego zamka. I twarz Kenny'ego... Nigdy nie zapomnę, jak wyglądał. Przyciśnięty do szyby, usta otwarte, jakby krzyczał...

- Spokojnie.

- Wszystko stało się tak szybko, trwało zaledwie kilka sekund. A potem ona wjechała na North Main. Angela krzyczała, ludzie się gapili, ale nikt nie podszedł, żeby nam pomóc. Pobiegłam, żeby wyjąć zapasowe kluczyki, ale byłam tak roztrzęsiona, że je upuściłam i nie mogłam ich podnieść. Zanim wsiadłyśmy do furgonetki i ruszyłyśmy, nie było po nich śladu. Myślałam, że może dogonimy ich na którychś światłach... Boże, jechałam jak wariatka aż do Corona Road! Ale musiała gdzieś skręcić... Nie wiem. Angela była w hysterii, krzyczała na mnie, żebym jechała aż do zjazdu na autostradę. Ale było już za późno, marnowałyśmy tylko czas. Próbowала złapać kierownicę, gdy zawracałam na Corona Road, i musiałam ją spoliczkować, żeby się uspokoiła.

- Powiedziałaś, że Burke przez cały czas była na parkingu. Gdzie?

- W samochodzie zaparkowanym zaraz obok furgonetki. Nie jak tam dotarliśmy, tylko jak już wyszłyśmy z zakupami. Albo śledziła nas przez całą drogę od domu, albo jakoś się dowiedziała, że w sobotę robię zakupy i tam na nas czekała.

- Cass, ale jak to możliwe, że ona zaparkowała obok furgonetki, a ty nic nie zauważyłaś? Taki biały nissan...

- Właśnie o to chodzi. My rozglądałyśmy się za białym nissanem, a ona była srebrnym

bmw.

- Srebrnym...

- Samochodem Rakubiana. Jej nissan jest pewnie w jego garażu.

### ***Sobota w południe***

Pierce dotarł dokładnie wtedy, kiedy lekarze mieli wychodzić. Mimo że był bardzo zdenerwowany, radził sobie z sytuacją o wiele lepiej, niż gdyby działo się to kilka lat wcześniej. Zaopiekował się Angelą, a jak tylko został dokładnie o wszystkim poinformowany, wsadził ją do swojej ciężarówki i zabrał do domu.

Hollis spotkał się potem z porucznikiem Davidsonem, komendantem Reese'em i dwoma wysokimi rangą policjantami z hrabstwa Santa Rosa. FBI nie zostało jeszcze zawiadomione i Hollis chciał, by zrobiono to natychmiast. Powiedzieli mu, że jest na to za wcześnie. Ale prawda była taka, że policjanci na szczeblu lokalnym nie lubili federalnych. Byli przez nich źle traktowani i uważali, że federalni tylko pogarszają problemy w sferze jurysdykcji, jakie istnieją pomiędzy policją na szczeblu miejskim a tą odpowiedzialną za całe hrabstwo. Hollis, ze złością, nalegał w imieniu całej rodziny, a ponieważ uważany był za ważnego i wpływowego obywatela, a policja panicznie bała się krytyki w mediach, zgodzili się. Jeśli Burke i Kenny nie zostaną znalezieni do pierwszej, powiadomione zostanie biuro FBI w San Francisco. Jedyne, co do czego wszyscy byli zgodni, to że należało sprawić, by informacje o porwaniu dotarły do mediów możliwie jak najpóźniej. Dziennikarze, ekipy telewizyjne i tłumy ciekawskich tylko skomplikują wszystkim sytuację.

Po zakończonym spotkaniu Hollis i Cassie wrócili do domu, każde swoim samochodem. Żeby być z Angelą. I żeby czekać.

### ***Sobota po południu***

Pierwsza.

Nie zadzwonił ani telefon, ani dzwonek.

O pierwszej dziesiąt Hollis zadzwonił do komendanta Reese'a. Tak, FBI zostało poinformowane, zgodnie z ustalonym planem. Agenci byli już w drodze. Jeśli nic się nie zmieni, w przeciągu kilku godzin przyjadą, by porozmawiać z rodziną. Reese usiłował nadać swemu głosowi pewny siebie ton, nie udało mu się jednak ukryć przygnębienia.

Czas, który z początku zdawał się pędzić, teraz zwolnił tak, że każda minuta była jak wolno formująca się i powoli skapująca kropla wody. Czekali w czwórce w domu, potem

przez jakiś czas w ogrodzie, potem znów w domu... Angela była dość spokojna, nawet po tym, jak środki uspokajające przestały działać. Obecność Pierce'a, bardziej niż Hollisa i Cassie, wpływała na nią kojąco. Siedziała, trzymając go mocno za rękę i wpatrując się w telefon, jakby zaklinając aparat, żeby zadzwonił. Zaraz po powrocie do domu Hollis wykręcił numer do Erica i, trafiwszy na automatyczną sekretarkę, zostawił wiadomość, żeby Eric zadzwonił do niego na komórkę. Jednak ten telefon też milczał. Wypili zbyt dużo kawy. Rozmawiali mało, bo jedyne, o czym mogli mówić, było zbyt bolesne do wypowiedzenia. Prostata Hollisa zaczęła mu dokuczać. Kilkakrotnie wracał do łazienki, gdzie udawało mu się wykapać trochę moczu - tak powoli, jak powoli mijał czas. Nie przynosiło mu to jednak ulgi.

Druga. Kwadrans po. Wpół do trzeciej. Telefon wciąż nie dzwonił, nikt nie przychodził, a minuty wciąż monotonicznie skapywały, jedna po drugiej.

Trzecia pięć. Dzwonek do drzwi. Wszyscy podskoczyli, a Hollis pobiegł otworzyć. FBI, ale nie z wiadomością, którą tak potrzebowali usłyszeć. Żyd około sześćdziesiątki i czarna kobieta koło czterdziestki - czasy kierownictwa Hoovera, kiedy agenci FBI mieli stereotypowy wygląd młodych, obciętych na jeża, anglosaskich klonów o twarzach jak maski, dawno minęły. Agenci specjaliści Feldman i Lincoln. Kompetentni - grzeczni, rzeczowi, sprawni. Pół godziny szczegółowych pytań i odpowiedzi, a wszystko nagrywane. Jedyna informacja, której im udzielono, dotyczyła kontaktu z McCone Investigations. Wciąż nie było wiadomo, gdzie znajduje się Burke, ale jej skompletowany portret mógł okazać się przydatny. Feldman i Lincoln wyszli, pozostawiając za sobą ledwie mgliste pocieszenie.

Czwarta.

Wpół do piątej.

Piąta.

Nie odzywa się nikt, nawet Eric.

Wpół do szóstej. Cassie odgrzała zupę, wystawiła talerz z pokrojonym chlebem. Nikt nie zjadł więcej niż kilka łyżek, Angela zupełnie nic.

Szósta.

- Nie wytrzymam dłużej tego siedzenia, zwariuję od niego - powiedział nagle Pierce. - Muszę coś *zrobić*. Pojechać przez Corona Road, sprawdzić jakieś boczne drogi... Może gliny przeoczyły to bmw. Przecież Burke może przetrzymywać Kenny'ego gdzieś w pobliżu.

Hollis uznał to za dobry pomysł.

- Pojedziemy obaj.

- Razem czy osobno?

- Dwa samochody sprawdzą dwa razy więcej miejsc.

Angela nie chciała, żeby wychodzili. Poczucie bezpieczeństwa i bliskość rodziny pomagała jej radzić sobie z sytuacją, ale Pierce delikatnie wyperswadował jej obiekcje. Cassie powiedziała tylko: - Nie szukajcie po zmroku, chyba że będziecie mieli jakiś ważny powód. - A oni obaj przyznali jej rację.

Dała Ryanowi swoją komórkę, a Hollis zapisał mu numer do siebie, tak, żeby wszyscy mogli być w kontakcie. Razem z Pierce'em zaplanowali, gdzie mają szukać: Ryan na wschodzie, od North Main do Paloma Mountains, Hollis na zachodzie, aż do Two Rock Valley. O szóstej piętnaście każdy był już w samochodzie i jechał w swoim kierunku.

### ***Sobota wieczorem***

Jeżdżenie bez celu było tylko odrobinę lepsze od beczynnego czekania. W domu było przynajmniej kilka rzeczy, na których można było skoncentrować uwagę, w lexusie nie było nic. Jechać przypadkową trasą, wpatrywać się w zbyt znane widoki, za dużo myśleć. Za bardzo się martwić. Zbyt wiele sobie wyobrazać i za bardzo się bać.

Boczne drogi, motele, kempingi, a nawet kilka opuszczonych farm. Nie widział nic nadzwyczajnego, czekał, aż zadzwoni komórka. Modlił się, żeby tak się stało, a zarazem bał się, co to mogło oznaczać.

W jadącym samochodzie czas mijał szybciej. Siódma, wpół do ósmej. Wrócił do miasta, żeby nabrać benzyny, po czym znów ruszył na zachód. Ósma. Ósma piętnaście.

O ósmej dwadzieścia, kiedy zadzwonił telefon, był na Roblar Road, na zachód od baru i restauracji Washoe House. Leżał obok niego, na fotelu pasażera. Nagły dźwięk był niczym nóż przecinający nerw. Złapał aparat i odebrał.

- Cass? Czy coś...?

- Jak to jest, Hollis? Jak to jest naprawdę cierpieć?

Serce zaciążyło mu jak kamień. Prawie nie myśląc, nacisnął hamulec i przekręcił kierownicę. Podskakując, lexus zjechał na pobocze i zatrzymał się.

- Teraz wiesz, jak ja się czułam. - Głos po drugiej stronie był spokojny i opanowany, nie zdradzał szaleństwa. Ale ono tam było, schowane, ale obecne, jak śmiech za murami szpitala dla umysłowo chorych. - Ciągły ból, ból, ból. Jakbym płonęła w ogniu piekła.

- Pozwól... - Głos mu się załamał. Odkasznął. - Pozwól mi porozmawiać z wnukiem.

- Nie.

- Nic mu nie jest? Nic nie...?

- Jeszcze nie. *Jeszcze* nie.

Zagotowała się w nim nienawiść i furia. „Nie prowokuj jej!” Zmusił się, by przez zaschnięte usta przeszła mu prośba. - Proszę, nie rób mu krzywdy. To tylko mały chłopiec.

- Też miałam kiedyś takiego małego chłopca. Umarł, jeszcze zanim się urodził.

- Chcesz, żebym cię błagał, Valerie?

- O, więc już wiesz, kto mówi. To dobrze. Chcę, żebyś wiedział.

- Dobrze więc, będę błagał...

- To nie ma już znaczenia - odparła. - Nie znajdziesz mnie na czas. Nikt mnie nie znajdzie.

- Co chcesz zrobić?

- Dowiesz się. - Podczas krótkiego milczenia pomiędzy tym zdaniem a następnym usłyszał w tle jakiś dźwięk. Na drodze i w samochodzie było cicho, słychać było tylko lekki warkot silnika, a połączenie telefoniczne nie miało zakłóceń. Dźwięk był więc wyraźny - jakby gwizdanie. - Niedługo, Hollis. Bardzo niedługo.

- Zrobię wszystko, co zechcesz - powiedział. - Weź mnie zamiast chłopca. Możesz mnie zabić, jeśli chcesz...

- Nie, to byłoby zbyt proste.

- Powiedz mi więc, co nie byłoby zbyt proste? Powiedz, co mam zrobić, żebyś nie skrzywdziła mojego wnuka?!

- Nadal nie rozumiesz. Mam już to, co chciałam, i teraz zrobię to, co pozostało do zrobienia. - Kolejna chwila ciszy i znów usłyszał ten sam dźwięk. Głośniej i jeszcze wyraźniej - gwizd, a potem jakby donośne wycie. - Powiedziałam twojej żonie, a teraz mówię tobie. Zabraliście mi Davida, ty i ta kurwa, twoja córka. To przez was go zabiłam. Zniszczyliście mi życie. Teraz ja pozbawię was kogoś, kogo kochacie. Teraz ja zniszczę *wasze* życie.

- Poczekaj, posłuchaj mnie.

- Cierp tak, jak ja cierpię. - I rozłączyła się.

„Mówi poważnie, zabije Kenny'ego i robi to szybko. Dziś, kiedy zapadnie zmrok... Zło potrzebuje ciemności”.

Telefon zadzwonił ponownie.

To na pewno Cassie, żeby mu powiedzieć o telefonie od Burke. Zamiast odebrać, wyłączył komórkę i rzucił ją na fotel pasażera. Nie mógł z nią teraz rozmawiać. Wrzucił bieg i docisnął gaz - gdy odjeżdżał, słychać było pisk opon. Teraz prowadził pośpiesznie i celowo, modląc się, żeby zdążył na czas.

Wiedział, gdzie są. Kenny i ta wariatka. Zorientował się po dziwnym gwizdaniu i

wyciu. Były to dźwięki szczególne, które znał tylko z jednego miejsca - dźwięki, jakie wywołują silne wiatry w starym, wypaczonym przewodzie kominowym. Zabrała chłopca w jedno jedyne miejsce, gdzie nie przyszło nikomu do głowy, żeby ich szukać - do domku w Tomales Bay.

## 25

### *Sobota w nocy*

Dwadzieścia cztery kilometry.

Tak blisko, a tak daleko. Jechał za szybko i równocześnie niedostatecznie szybko na dwupasmowych wiejskich drogach, prowadząc bardzo nerwowo - jechał zbyt blisko innych samochodów, mrugał światłami i trąbił - choć zwykle takie zachowanie bardzo drażniło go u innych kierowców. W głowie miał świetlisty obraz Kenny'ego - maleńkiego, bezbronnego, tak pełnego radości i niewinnych figli, mówiącego „Kocham cię, dziadku” i „Kogo się teraz boimy?” Widział też siebie, jak patrzy w dół na tę promienną twarzyczkę i przysięga, dwukrotnie, z głupią, płytką arogancją, że nie pozwoli, by skrzywdzono go czy któregośkolwiek innego członka rodziny.

Dwadzieścia cztery kilometry.

Valerie Burke. Czuł do niej nieprzepartą nienawiść, ale był to inny rodzaj nienawiści, niż czuł - wciąż - do Rakubiana. Były w niej ziarnka współczucia. Była jeszcze jedną ofiarą tego sukinsyna, instrumentem nie tylko swojej, ale też jego zemsty - zupełnie jakby Rakubian rzeczywiście mścił się z za grobu. Chora, złamana kobieta, ale jednak przebiegła. Tak przebiegła jak Rakubian. Wybrała idealne miejsce na ukrycie się z Kennym. Wiedziała o domku z jego rozmowy z Rakubianem... Z urzędowych dokumentów dowiedziała się, gdzie się znajduje, tak samo też dotarła do numeru jego komórki... Pojechała tam się rozejrzeć i zorientowała się, że rzadko ktokolwiek tam bywa. Równie dobrze mogła tam pomieszkiwać od czasu, gdy wyprowadziła się ze swego mieszkania w San Francisco.

Dwadzieścia cztery kilometry.

Cichy, ale uparty wewnętrzny głos mówił mu, że powinien zadzwonić do FBI i na policję, albo chociaż do Cassie, żeby ona się tym zajęła. Nie słuchał go jednak, nie mógł go usłyszeć. Wyjaśnienia, powolne wprawianie w ruch policyjnych trybów - dojedzie do Tomales Bay, zanim policjanci lub agenci Feldman i Lincoln zdążą zareagować. Poza tym stróża prawa przyjadą tam, obwieszczając wszem i wobec swoją obecność, z megafonami i

wyciągniętą bronią, a jeśli nawet wymyślą jakieś dyskretniejsze podejście, to zorganizowanie go zajmie im i tak zbyt wiele czasu. A czasu było tak mało. Poza tym Hollis znał teren, zarówno wokół domu, jak i dalej, o wiele lepiej niż ktokolwiek inny.

Dwadzieścia cztery kilometry.

Czas, czas, czas...

Two Rock Valley, placówka szkoleniowa straży przybrzeżnej, Tomales, wąski, kręty odcinek autostrady nr 1, prowadzący do zatoki - ostatnie kilometry były dla Hollisa fragmentarycznym, zamazanym obrazem, jak wtedy, kiedy jechał przez San Francisco z ciałem Rakubiana w bagażniku. Prawie już się zmierzchało, gdy zobaczył z prawej strony wodę - szarą jak metal, z którego robi się broń, i ozłoconą ostatnimi promieniami słońca. Drzewa i skały Hog Island skąpane były w tej samej złotej poświacie. Fantazja, iluzja - postępująca ciemność, powoli pochłaniająca światło.

Przejeżdżając obok Nick's Cove, był skoncentrowany i świadom swojego otoczenia. Domek znajdował się o niecały kilometr stąd. Zmusił się do zmniejszenia prędkości i ostrożnego pokonywania ostrych zakrętów bez nagłego hamowania i szarpania się z kierownicą. Czas, czas! Wody zatoki były teraz ciemnoszare, całe złoto zniknęło, a niebo nad wzgórzami Inverness miało jasnoróżową barwę. Za piętnaście czy dwadzieścia minut będzie zupełnie ciemno.

Wreszcie zobaczył przed sobą drzewa, które oddzielały dom od szosy. Na drodze był sam. Zwolnił jeszcze bardziej i, przechylony przez fotel pasażera, próbował dojrzeć coś między zasłaniającymi mu widok sosnami. Dostrzegł dom - nie świeciło się światło, nie było widać srebrnego bmw. Ale to o niczym nie świadczyło. Na tej ścianie budynku znajdowało się tylko jedno okno, a z drogi nie można było stwierdzić, czy okiennice były zamknięte. A bmw mogło być schowane w garażu. Burke nie musiała się napracować, żeby dostać się do któregośkolwiek budynku. Zamki były kiepskie. Nigdy nie było tu włamania i Hollis nie widział powodu, żeby je wymieniać. Nawet dzieciak mógłby je rozwalić kamieniem czy jakimś narzędziem.

Powstrzymał odruch skręcenia w alejkę prowadzącą do domu. Byłby zbyt widoczny, podjeżdżając od tej strony. Ona może siedzieć przy kuchennym stole i mając otwarte okiennice, wyglądać w stronę szosy. Gdy przejeżdżał obok, po raz ostatni mógł przyjrzeć się domowi, choć był teraz częściowo zasłonięty. Znów nic nie dostrzegł.

Przyspieszył, jadąc nadal pod górę, pokonał dwa małe zakręty i potem, już zjeżdżając, jeszcze jeden, długi, schowany w gęstym lesie. Na dole była porośnięta trawą polanka, przez którą przebiegały głębokie bruzdy, wiodące do zamkniętej bramy. A za bramą, już za lasem,

znajdował się mały półwysep, na środku którego wznosił się pagórek - była to ziemia należąca do hodowcy bydła i używana jako pastwisko. Zatrzymał samochód w poprzek bruzd i przechylił się, by otworzyć schowek po stronie pasażera. Odwinął spowijający kołta woodsmana zamsz i wepchnął broń do kieszeni kurtki.

Wiatr był tu silny. Wiał od zatoki na tyle mocno, że gdy Hollis podbiegał do bramy, wydymał mu kurtkę, a jemu samemu kazał się schylić. Szosa była pusta. Szybko przeskoczył bramę i biegł wzdłuż zarośniętych bruzd, dopóki nie zlały się w jedną, wydeptaną przez krowy ścieżkę w pobliżu szczytu pagórka. Przy każdym kroku dokuczał mu ból w plecach i w prostacie. Wyparł go ze świadomości, razem ze zmęczeniem, jakie odczuwał. Funkcjonował teraz na adrenalinie i poczuciu, że musi się spieszyć.

Kawałek w bok krótko ścięta trawa i kępki niskich krzewów schodziły prawie do samej wody. Pęknięcia spowodowane trzęsieniami ziemi widoczne były wśród tej zieleni niczym czarne szramy. Szedł wzdłuż najdłuższego z nich, wciąż pochylony przed wiatrem, czując silny zapach morskiej wody i błotnistej ziemi, odkrytej przez cofający się odpływ. W połowie drogi skręcił w stronę maleńkiej zatoczki, położonej po północnej stronie półwyspu. Znajdujący się tam kawałek ziemi kiedyś należał do dawno już nieistniejącej firmy zajmującej się połowem ostryg - stare, rozpadające się pale wystawały z błota pod różnymi kątami, niczym gnijące zęby. Przebiegł przez krótki odcinek plaży i rozsypane po niej skorupy ostryg, posuwając się wzdłuż zewnętrznego wygięcia linii brzegu.

Było już prawie ciemno. Wzdłuż horyzontu widać było tylko cienki pas światła, reszta nieba podobna była do purpurowego aksamitu. Nie widział dalej niż na kilka metrów przed sobą, musiał więc zwolnić. Latarka, którą zostawił w samochodzie, bardzo by się teraz przydała, ale nie chciał ryzykować brania jej, żeby nie było widać światła. Zresztą już niedługo będzie w miejscu, z którego da się zobaczyć dom - zaraz za tym porośniętym krzakami przewężeniem.

Gdy przedzierał się przez nie, znad odsłoniętych przez odpływ terenów przeleciała nisko mewa, a jej cienki wrzask przyprawił go o zgrzytanie zębów. Napierający wiatr stanowił jedyny inny dosłyszalny dźwięk. Hollis z powodu zimna tracił czucie, a jego ręce pokryte były gęsią skórą. Dłonie trzymał w kieszeniach; palce luźno, ale niespokojnie ścisnęły pistolet.

Mógł już dojrzeć dom, oddalony od niego o pięćdziesiąt metrów, ciemny i jakby przyczajony pomiędzy sosnami a migoczącą wodą zatoki. Był dokładnie przed nim i od tej południowej strony nie miał żadnych okien. Nawet jeśli Burke wyglądała w stronę zatoki, nie mogła zauważyć go pod tym kątem, i to w ciemności. Spodziewał się zobaczyć światło zza



przesuwanych drzwi prowadzących na taras - zasłony były stare i źle dopasowane, z przerwami po bokach i w środku - nic jednak nie dostrzegł. W klatce piersiowej, w okolicach mostka odczuł głucho zgrzytanie. Czyżby się pomylił co do dźwięków gwizdu i wycia? Czyżby wcale nie przywiozła tu Kenny'ego? Czy może była tu, ale spełniwszy groźbę, odjechała? Obie możliwości były straszne, wypchnął je ze świadomości tak samo, jak wcześniej zrobił to z bólem i zmęczeniem.

Linia brzegu stała się szerokim pasem żwiru i błota, wszedł więc w głąb łądu, na twardsze podłoże. Potknął się o jakiś niedostrzegalny kamień i o mało się nie przewrócił. Poruszał się niczym we śnie. Ciemności pogłębiały się, wszystko traciło konkretny kształt, cienie układały się w groteskowe kształty. Pot spływał po jego ciele i ziębił je. Dom zdawał się nie zbliżać, nie powiększać - jakby stąpał w miejscu, nie posuwając się do przodu - złudzenie trwało, dopóki nie dojrzał nadbrzeża i tego pomostu, na którym umarł jego ojciec. Nagle dom był niemal zbyt bliski, zbyt duży, jak wielka, ciemna bryła.

Gdy dotarł do pomostu, poczuł słaby zapach benzyny. Spojrzał na wodę - nie było w pobliżu żadnych motorówek, nie widział żadnych poruszających się świateł. Drewniany podest, znajdujący się na dole schodów łączących dom z wybrzeżem, zaskrzypiał, ale wiatr zbyt był głośny, żeby ktoś mógł to usłyszeć. W połowie schodów zatrzymał się i nasłuchiwał, słychać było jednak tylko wiatr. Nawet mewy zamilkły.

Kiedy dotarł na szczyt, skręcił i poszedł naokoło, obok starego garażu. W jego tylnej ścianie, w miejscach, gdzie deski się wypaczyły, były przerwy. Schylił się i zajrzał przez największą z nich. Widział tylko czarną czeluść. Wyjął breloczek z kluczami i wsadził w dziurę maleńką latarkę, która była do niego przyczepiona. Włączył ją tylko na moment, by móc zerknąć do środka.

W środku stało zaparkowane bmw.

Burke była tu, Kenny też musiał tu być.

Ale dlaczego nie włączyła światła? Ukrywa się w chacie po ciemku... Nie podobało mu się to. Zbiera odwagę? Tak, na pewno. Gdyby skrzywdziła chłopca, już by jej tu nie było.

Szybko zawrócił, podchodząc do chaty z ukosa. Odgłos jego kroków na suchych sosnowych igłach zagłuszał wiatr. Okno kuchenne miało zamknięte okiennice, nie mógł zajrzeć do środka - ani ona wyjrzeć na zewnątrz. Jego oddech był krótki i urywany. Kiedy wyjmował woodsmana, wciągał powietrze otwartymi ustami. Wiatr, jęcząc, zmienił kierunek, jakby on też miał kłopoty ze złapaniem powietrza. Przez chwilę znów poczuł zapach benzyny.

Nie mógł tak stać pod domem i czekać, aż coś się stanie. Musiał wejść szybko i najciszej jak to możliwe, od razu zapalić światło i zrobić to, czego będzie wymagała sytuacja.

Wycelować i strzelić, po prostu. Jeśli będzie trzeba. Wiedział, że tym razem już naciśnie spust, bez wahania i bez wyrzutów sumienia.

Lewą rękę położył na klamce. W razie potrzeby użyje klucza.

Drzwi nie były zamknięte na zamek.

Nacisnął klamkę i ostrożnie popchnął drzwi. Zapach benzyny buchnął na niego jak uwolniony z niewoli, mocny i ostry, podrażniając mu nos i dławiąc go.

Benzyna. W dużych ilościach, rozlana w środku.

„O Boże, nie!”

Wiatr wyrwał mu drzwi z ręki, popchnął je w głąb, aż zatrzymały się wpół otwarte na nierównej podłodze. Wszedł, usiłując zwalczyć narastającą panikę. Odór benzyny przenikał gęstą ciemność, powalający, powodujący nudności.

Na ścianie nie było kontaktu, najbliższe źródło światła to włączana pociągnięciem sznurka lampa wisząca nad kuchennym stołem. Każdy centymetr wnętrza wypalony był w jego pamięci - stół o trzy kroki w lewo, po drodze nie ma przeszkód. Zrobił krok, dwa...

Dźwięk zapalanej zapalniczki. Nagle w ciemności pojawił się mały płomień. Żółty poblask wytworzył cienie, ukazał mu koszmarną scenę, jak z jakiegoś obrazu Goi, należącego do Rakubiana.

Burke siedziała w starym fotelu taty, przodem do Hollisa. Siedziała niemal w sposób ugrzeczniony, kolana razem. Zapalniczkę trzymała przed sobą, a płomień był nieruchomy, bo jej ręka była nieruchoma. Dawała na tyle światła, że Hollis mógł dojrzeć stojącą obok, wypchaną końskim włosiem wersalkę, i rozpoznać leżący na niej mały, nieruchomy, spowity kocem kształt. Zobaczył też coś jeszcze, coś, co zmroziło mu krew w żyłach i spowodowało wewnętrzny krzyk przerażenia.

W migotliwym świetle wszystko połyskiwało jakby od wilgoci - podłoga, zasłony, fotel, wersalka, przykryty kocem kształt, podniesiona ręka Burke, jej zapięta pod szyję bluzka, spokojna twarz i rozszerzone oczy, wpatrujące się w niego z wypełnionej cieniami ciemności. Wszystko, Kenny'ego i siebie oblała benzyna.

To nie tylko morderstwo. To zarazem samobójstwo.

„Jakbym płonęła w ogniach piekła”.

- Więc jednak mnie znalazłeś - odezwała się spokojnym, pewnym siebie głosem. - Ale za późno, Hollis.

- Na litość boską, nie...

- Za późno. Za późno.

- Nie!

- Cierp! - Powiedziała to z jakąś przerażającą radością i rzuciła zapalniczkę na wersalkę.

Hollis, upuszczając na ziemię broń, rzucił się w tamtą stronę. Zapalniczka upadła na oparcie, odbiła się od niego i spadła na przykrywający Kenny'ego koc, po czym, wciąż płonąca, upadła na podłogę. Płomienie zatliły się, przybrały na sile i buchnęły we wszystkich kierunkach. Oszalały z przerażenia Hollis zdarł z chłopca płonącego koc i odrzucił go na bok. „Kenny, Kenny!” Złapał go i porwał na ręce - jego drobne ciało nie było mokre, oblała benzyną jedynie koc - a sekundę później wersalka cała już stanęła w ogniu.

Kobieta krzyknęła.

Hollis gwałtownie obrócił się w jej stronę, pochylony, z przyciśniętym do piersi bezwładnym ciałem Kenny'ego, osłaniając głowę i twarz dziecka wolną ręką. Rozchodzące się w szaleńczym tempie płomienie zdążyły już dotrzeć do fotela ojca, pożerając go, pożerając Valerie Burke. Wskoczyła z fotela jakby z niego wyrzucona, cała w płomieniach, rozdzierająco krzycząc na dowód swej męczarni. Odskoczył na bok, gdy rzuciła się w jego stronę, zobaczył, jak zatoczyła się i wpadła na kominek, od którego odbiła się z szeroko rozpostartymi rękami - taniec demona, wizja czeluści piekielnych.

Hollis był teraz otoczony przez płomienie, które rozprzestrzeniały się z niewiarygodną szybkością. Rzucił się w kierunku drzwi, dławiąc się kłębam dymu i swądem płonącego ciała, pochylony, obiema rękami przytrzymując i osłaniając dziecko. Ogień zaczął przypalać mu włosy i brwi. Miał wrażenie, że płoną mu podeszwy butów, iskry parzyły mu twarz i kark. Nic nie widział. Wpadł na coś - drzwi! - i próbował je obejść, czując już zimne nocne powietrze na zewnątrz, słysząc trzask płomieni i przerażające krzyki Burke, które rozsadały mu uszy. Nagle znalazł się po drugiej stronie, na zewnątrz, biegł, łapiąc oddech.

Wiatr chłodził jego stopy i twarz, nie czuł już za plecami ognia. Nie słyszał też krzyku. Zaczął się trząść. Zwolnił, zatrzymał się i po raz pierwszy spojrzął za siebie. Przebiegł ponad pięćdziesiąt metrów, pod górę, w stronę drzew - to wystarczająco daleko.

Kenny.

Podniósł chłopca i obrócił jego głowę tak, że w poświacie widział dokładnie jego twarz.

Żywy... Dzięki Bogu!

Oddychał mniej więcej normalnie, czasem tylko trochę pojękiwał i kaszłał. Płomienie nie dotknęły go - nie miał śladów oparzeń, ani nawet osmalonych włosów. Nie wyglądało też na to, że Burke skrzywdziła go w jakiś inny sposób. Jego twarz wyglądała na napiętą, oczy miał zaciśnięte, a sen niespokojny. Musiała dać mu jakiś środek nasenny, który teraz

przestawał działać.

Ulga sprawiła, że pod Hollisem ugięły się kolana. Chwiejnym krokiem przeszedł kilka kroków w lewo, mocno przytulił wnuka i ciężko oparł się o pień sosny. Oczy miał załzawione i piekące. Zapatrzył się na dom, który był teraz piekłem, wypełnionym dymem i strzelającymi wysoko płomieniami, zabarwianymi nocne niebo na kolor ochry i krwi. Niedługo pozostaną tylko szerniałe kości i popiół. Nie odczuwał straty czy żalu. „To zawsze było twoje, tato. Nigdy tak naprawdę nie należało do mnie”.

Żółtawa czerwień wykwitła też na suchych igłach leżących na dachu garażu. Niedługo porywane wiatrem iskry zapalą korony pobliskich sosen i cała ta okolica zajmie się ogniem. Tego było mu szkoda. Ponad hałasem pożaru słyszał za sobą jakieś dźwięki - zatrzymujące się na szosie samochody, krzyżące głosy. Jeszcze przez kilka chwil stał nieruchomo. Przed oczami wciąż przewijał mu się widziany i przeżyty właśnie koszmar, zarazem jednak wypełniał go dziwny spokój.

Przetrwanie. Od niego zależało wszystko inne. Miłość, nienawiść, wszystkie uczucia - życie, jakie prowadzimy, to, kim jesteśmy. Dzisiaj podarował je Kenny'emu, a w inny sposób też Cassie, Angeli i Ericowi. A jeśli Bóg pozwoli, Stan Otaki i jemu je podaruje, a on będzie miał mnóstwo czasu, by zadośćuczynić wszystkim popełnionym błędom.

Odwrócił się plecami do płonącej przeszłości, do rozpaczliwej walki ze śmiercią w tym diabelskim czasie i wyruszył w stronę tego, co miało nadejść.